

JAYNE CASTLE

Namiętna miłość
w świecie duchów
i pułapek iluzji
w paranormalnym
romansie gwiazdy
literatury kobiecej

Po zmroku



Redakcja stylistyczna Elżbieta Novak
Korekta
Katarzyna Pietruszka Katarzyna Stan lewaka
Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Poniok
Zdjęcie na okładce
© Datha Thompson/Arcangel Images
Skład
Wydawnictwo AMBER
Monika E. Zjawińska
Druk
Opolgraf S.A., Opole

Tytuł oryginału After Dark
Copyright © 2000
by Jayne Ann Krentz All rights reserved.
For the Polish edition
Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber
Sp. ISBN 978-83-241-3815-9

Warszawa 2010. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa,
ul. Wiertnicza 63 tel. 620 40 13, 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

Rozdział 1

Gdyby nie makabrycznie oczywisty fakt, że Chester Brady już nie żył, Lydia Smith byłaby gotowa udusić go gołymi rękoma. Kiedy skręcała w cieniste Grobowce Wymarłego Miasta - skrzydło Domu Pradawnej Grozy Shrimptona - w pierwszej chwili myślała, że to kolejny głupi numer Chestera. To musiał być jakiś osobliwy przekręt; pewnie chciał ukraść jej wprost sprzed nosa nowego klienta, nim ten zdąży złożyć podpis na umowie.

To by było takie typowe dla tego małego oszusta. I to po tym wszystkim, co dla niego zrobiła. Przystanęła i przez chwilę wpatrywała się w nogę i rękę wystające ze starego sarkofagu. Może tym razem to tylko taki dziwaczny kawał. Bądź co bądź, poczucie humoru Chestera przypominało czasem dziecinne kawały.

Ale było coś zbyt realistycznego w tym, jak został wciśnięty w tę trumnę, której kształt niezbyt pasował do kształtu człowieka.

- Może po prostu zemdlął albo coś w tym rodzaju -powiedziała, bez większej nadziei.
- Nie wydaje mi się. - Emmett London zręcznie ją wyminął i zajrzał do sarkofagu z zielonego kwarcu. - Bardziej martwy już nie będzie. Lepiej zadzwoń po policję.

Ostrożnie postąpiła o krok naprzód i zobaczyła krew. Musiała sączyć się z gardła Chestera na dno sarkofagu.

Patrzyła na coś tak realnego, że przeszył ją nieprzyjemny dreszcz. Nie mogła w to uwierzyć. Nie Chester. Był wprawdzie złodziejem i oszustem, ciemnym typem rzucającym cień na dobre imię wszystkich uczciwych handlarzy antyków i szanowanych paraarcheologów, ale był też jej przyjacielem. Tak jakby.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Zadzwoń po karetkę?

Emmett spojrział na nią. Coś w jego wzroku sprawiło, że poczuła się nieswojo. Może to ten dziwny, złoci-stozielony kolor jego oczu. Za bardzo przypominał barwę drugiej pary oczu jej kurzaka - tej, której używał do polowania.

- Z karetką nie ma pośpiechu - stwierdził Emmett. -Na twoim miejscu wezwałbym policję.

Łatwo powiedzieć, pomyślała Lydia. Problem w tym, że to ona będzie pewnie pierwszą osobą, z którą zechcą porozmawiać. Wszyscy z Alei Ruin doskonale wiedzieli, że miesiąc temu strasznie się pokłóciła z Chesterem, bo ten oszust podkraść jej potencjalnego klienta.

O mój Boże. Chester był martwy. Kompletnie martwy. Nie mieściło jej się to w głowie. To nie kolejny jego numer, wygodne zniknięcie, by uciec przed rozwścieczonymi klientami. Tym razem nie żył rzeczywiście.

Nagle poczuła, że kręci jej się w głowie. To nie może dziać się naprawdę.

Oddychaj głęboko, pomyślała. Weź kilka głębokich oddechów. Nie rozklei się tutaj. Nie straci nad sobą panowania. Choć to dla niej stres, nie załamie się, tak jak tego wszyscy oczekują.

Silą woli wzięła się w garść.

Podniosła wzrok znad ciała Chestera i zobaczyła, że Emmett London ją obserwuje. Na jego twarzy pojawiło się dziwne zamyślenie, a nawet chyba obojętne zaciekawienie. Zupełnie jakby chciał się przekonać, jak się zachowa - tak jakby jej reakcja na widok zwłok w sarkofagu była interesującym problemem akademickim.

Nieświadomie spojrzała na jego nadgarstek. Zauważyła zegarek już parę minut temu. Tarcza osadzona była w bursztynie. To nic takiego, pomyślała. Panowała moda na akcesoria z bursztynu. Wielu ludzi nosiło bursztyn tylko dlatego, że to modne. Jednak niektórzy nosili go również z innych powodów. Stanowił medium, dzięki któremu silni pararezonery mogli lepiej skupić się na swych paranormalnych talentach.

Znów przeszył ją dreszcz.

- No tak, oczywiście. Policja - szepnęła. - W moim biurze jest telefon. Przepraszam na chwilę, panie London. Pójdę zadzwonić.

- Zaczekam tutaj - odparł Emmett.

Jaki spokojny, pomyślała. Może znajdowanie zwłok to dla niego chleb powszedni?

- Naprawdę bardzo za to wszystko przepraszam. - Nic innego nie przyszło jej do głowy. Emmett obrzucił ją niewzruszonym spojrzeniem; wyrażało uprzejme zainteresowanie.

- Zabiła go pani?

Pytanie tak ją zszokowało, że zaniemówiła.

- Nie - wysapała w końcu. - Nie. Ja na pewno nie zabiłam Chestera.

- W takim razie to nie pani wina, prawda? Więc nie trzeba przepraszać.

Wyraźnie odniosła wrażenie, że nie byłby szczególnie zmartwiony, gdyby przyznała, że to jednak ona zamordowała biednego Chestera. Poczuli się nieswojo. Zaczęła się zastanawiać, w jakim świetle go to stawia.

Odwróciła się i ruszyła mrocznym korytarzem do swojego biura. Kątem oka dostrzegła stopę Chestera opartą o krawędź zielonego sarkofagu. Jego buty były z taniej imitacji skóry jaszczurki.

Zawsze się krzykliwie ubierał, pomyślała Lydia, zaskoczona, że nagle ogarnął ją smutek. To prawda, był szemranym typkiem oportunistą, jednak tylko jednym z wielu, którzy z trudem wiązali koniec z końcem, prowadząc działalność na marginesie handlu antykami kwitnącego tutaj, w Kadencji. Dziwaczne ruiny z zielonego kwarcu, które pozostały po obcej, dawno zapomnianej, wspaniałej cywilizacji na Harmonii, stworzyły dla obrotnych przedsiębiorców bardzo rentowną niszę. Chester nie był najgorszy spośród tych, którzy pracowali w cieniu murów Wymarłego Miasta.

Może i sprawiał kłopoty, ale przynajmniej był barwną postacią. Będzie jej go brakowało.

Tego popołudnia o piątej w drzwiach maleńkiego biura Lydii stanęła Melanie Toft. Jej ciemne oczy płonęły ciekawością.

- I co powiedzieli? Nic ci nie grozi?

- Niezupełnie. - Lydia, wyczerpana wielogodzinnym przesłuchaniem, zapadła się w swój fotel. - Detektyw Martínez twierdzi, że Chester został zamordowany między dwunastą w nocy a trzecią nad ranem. Byłam wtedy w domu, w łóżku.

Melanie gwizdnęła.

- Sama, jak przypuszczam?

Melanie nigdy nie przepuszczała okazji, by poruszyć temat seksu. Przed sześcioma miesiącami zakończyła swoje trzecie, a może czwarte Małżeństwo z Rozsądku. I bynajmniej nie kryła się z tym, że jest gotowa na piąte.

Na podstawie swych bogatych doświadczeń Melanie sama uznała się za osobistą doradczynię Lydii w sprawach seksu. Nie żeby potrzebowała takich fachowych porad, myślała Lydia. Jej życie seksualne, którego nikt nie określiłby mianem bujnego, w ciągu ubiegłego roku zaczęło zamierać.

W zamyśleniu dotknęła bursztynu w swojej bransoletce.

- Jak niewinny człowiek może udowodnić, że gdy kogoś mordowano, spał we własnym łóżku?

Melanie skrzyżowała ręce i oparta się o framugę drzwi.

- Z całą pewnością byłoby to o wiele łatwiej udowodnić, gdybyś nie była w tym łóżku sama. Od miesięcy cię ostrzegałam, czym grozi brak życia towarzyskiego. Teraz widzisz, z jakim ryzykiem wiąże się długotrwały celibat.

- Racja. Nigdy nie wiadomo, kiedy kogoś zamordują i przyda ci się alibi.

Na wyrażającej żywe zainteresowanie twarzy Melanie pojawiła się troska.

- Lydio, czy... No wiesz, nic ci nie jest? Już się zaczyna, pomyślała Lydia.

- Nie martw się. Jeszcze nie musisz wzywać gości w białych fartuchach. Nie zamierzam się tu załamać. Nerwy puszcza mi dopiero wieczorem, w domu.

- Przepraszam. Ale przecież mówiłaś mi, że psychiatrzy od pararezonatorów radzili, żebyś unikała stresujących sytuacji.

- A skąd ci przyszło do głowy, że miałam stresujący dzień? Jak do tej pory znalazłam tylko zwłoki w Galerii Grobowców, przez parę godzin przesłuchiwały mnie gliny i prawdopodobnie straciłam szansę pozyskania klienta, dzięki któremu przekroczyłabym kolejny próg podatkowy.

- No tak, racja. W takim dniu nie ma nic stresującego. Absolutnie nic. - Melanie oderwała się od framugi i ruszyła w głąb biura. Usiadła w jednym z foteli przy biurku. - Tb jak spacer po parku.

Lydia zaczęła martwić się o coś innego. Nie mogła pozwolić sobie na utratę tej pracy.

- Ciekawe, co powie Shrimpton, kiedy jutro wróci z urlopu i dowie się, co się stało?

- Żartujesz sobie? Pewnie da ci podwyżkę - roześmiała się Melanie. - Co mogłoby być lepszą reklamą dla Domu Pradawnej Grozy Shrimptona niż odkrycie zwłok w jednym z eksponatów?

Lydia jęknęła.

- I to jest w tym najsmutniejsze, nie sądzisz? Jeśli to trafi do wieczornych gazet, jutro rano pewnie ustawi się tutaj kolejka.

- Mhm. - Melanie znów spoważniała. - Myślałam, że to było czysto rutynowe przesłuchanie. Naprawdę cię podejrzewają?

- Nie mam pojęcia. Wciąż siedzę tu przy swoim biurku, a to znaczy, że jak do tej pory jeszcze nikt mnie nie aresztował. To chyba dobry znak. - Lydia zabębniła palcami w poręcz fotela. - Ale policja wiedziała, że miesiąc temu strasznie się pokłóciłam z ehesterem w Łoży Surrealistycznej.

Melanie zmarszczyła brwi.

- Niedobrze.

- Właśnie. Na szczęście detektyw Martinez zdaje sobie sprawę, że Chester miał w Alei Ruin mnóstwo niezadowolonych klientów, a jeszcze więcej wrogów. Minie trochę czasu, nim przyjrzy się wszystkim potencjalnym podejrzanym. A lista będzie długa.

Melanie wzruszyła ramionami.

- Wątpię, by policja poświęciła dużo czasu tej sprawie. Chester Brady nie był zbyt popularną postacią czy przykładowym obywatelem. Był trochę na bakier z prawem, a Stowarzyszenie Paraarcheologów miało go za śmiecia.

- Zgadza się. Na jego pogrzeb przyjdą prawdopodobnie wyłącznie ci, których oszukał. Zjadą się tylko po to, by się upewnić, że naprawdę nie żyje.

- A potem pewnie będą to świętować w najbliższym barze.

- No tak - westchnęła Lydia. - I nie sądzę, żeby na pogrzebie zjawiała się rodzina. Chester powiedział mi kiedyś, że nie ma żadnych bliskich krewnych. Zawsze powtarzał, że między innymi to nas łączy.

Melanie prychnęła cicho.

- Ty i Chester Brady nie mieliście z sobą nic wspólnego. Był klasycznym frajerem. Ciągłe czekał na wielki sukces i zawsze, kiedy wyglądało na to, że zaraz go osiągnie, jakoś udawało mu się wszystko schrzanić.

- Wiem. - I wcale się pod tym względem aż tak nie różnimy, pomyślała Lydia. Nie powiedziała tego jednak głośno. - Dziwne, ale chyba będzie mi go brakowało.

Melanie przewróciła oczami.

- Nie rozumiem, jak możesz współczuć temu palantowi po tym, jak miesiąc temu ukradł ci pierwszego klienta.

- Wiesz, Mel, wyglądał tak żałośnie, gdy tak leżał w tym sarkofagu. Krew i to wszystko... - Lydia aż się wzdrygnęła. - Coś strasznego. Widzisz, Chester był drobnym oszustem i dziwi mnie, że ktoś aż tak się na niego wściekł, by go zamordować.

- Do wspaniałych cnót Brady'ego należała między innymi ta, że był złodziejem. To działa ludziom na nerwy.

- Masz rację - przyznała Lydia. - A w ramach pożegnalnego prezentu w drodze w zaświaty udało mu się zniszczyć ten wspaniały kontrakt, który miałam zawrzeć dzisiaj rano.

- Myślisz, że straciłaś tego klienta, który przyszedł dziś z tobą porozmawiać?

- A jakże. Biedak musiał spędzić godzinę na policji przez to, co się stało. Był uprzejmy, ale odniosłam wrażenie, że pan London nie przywykł do znoszenia takich niedogodności. To bogaty biznesmen z Rezonansu. Człowiek sukcesu. Wcześniej, kiedy do mnie dzwonił, dobitnie dał do zrozumienia, że bardzo zależy mu na tym, by nie rzucać się w oczy. Domagał się wszelkich zapewnień dyskrecji i poufności. A teraz dzięki mnie pewnie wyląduje w wieczornych gazetach.

- No tak. To chyba rzeczywiście niezbyt dyskretne i poufne - przyznała Melanie.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, zachował się niezwykle kulturalnie. - Lydia oparła podbródek na rękach. - Nie powiedział nic nieuprzejmego, ale myślę, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

- Hmm.

Lydia uniosła brew.

- A to co niby znaczy?

- Nic. Właśnie zaczęłam się zastanawiać, dlaczego bogaty biznesmen, człowiek sukcesu, któremu zależy na dyskrecji, miałby zatrudniać paraarcheologkę pracującą w takim miejscu jak Dom Pradawnej Grozy Shrimp-tona.

- ...skoro mógłby przebierać wśród konsultantów akademickich ze Stowarzyszenia Paraarcheologów - dokończyła ponuro Lydia. - W porządku, muszę przyznać, że mnie też to zastanawia. Ale nie chciałam przeciągać struny, więc ugryzłam się w język i nie zadawałam mu tak delikatnych pytań.

Melanie pochyliła się nad biurkiem, żeby poklepać ją po ramieniu.

- Trzymaj się, dziewczyno. Będą inni klienci.

- Ale nie tacy jak ten. Ten był bogaty, a ja miałam swoje plany. - Lydia uniosła kciuk i palec wskazujący. - Tyle mi brakowało, by móc wypowiedzieć umowę na tę klitkę, którą mój gospodarz nazywa mieszkaniem.

- Cholera.
- Tak... Ale może wyjdzie mi to na dobre.
- A to dlaczego? - spytała Melanie.

Lydia pomyślała o tym, jak swobodnym tonem London zapytał ją, czy to ona zamordowała Chestera.

- Coś mi mówi, że współpraca z Emmettem Londonem mogłaby być równie stresująca, jak znajdowanie zwłok w Galerii Grobowców.

Rozdział 2

Cjodzinę później Lydia wyłoniła się z klatki schodowej na piątym piętrze Apartamentów z Widokiem na Wymarłe Miasto.

Mam już niezłą kondycję, stwierdziła, idąc ciemnym korytarzem w stronę swoich drzwi. Po przejściu tych pięciu pięter miała o wiele mniejszą zadyszkę niż w pierwszym tygodniu po tym, jak zepsuła się winda. To lepsze niż trening na siłowni, a przy tym o wiele tańsze.

Musi myśleć pozytywnie.

Wsunęła bursztynowy klucz do zamka, wysłała do niego lekki impuls energii psi i otworzyła drzwi.

Jej kurzak, Futrzak, przemknął ku niej po podłodze. Gdyby nie spodziewała się, że ją powita, nie dostrzegłaby go aż do chwili, gdy zjawił się u jej stóp. Na kafelkach przedpokoju wielkości znaczka pocztowego jego sześć łapek nie wydawało dźwięku.

Dzienne oczy miał otwarte, w szarym futerku błyszcząły jasnym, niewinnym błękitem. Teraz był cały napuszony, więc nie rozróżniała jego uszu ani łapek. Wyglądał jak kłębek kurzu, który właśnie wytoczył się spod łóżka.

- Cześć, Futrzak. Nie uwierzysz, jaki miałam dziś dzień. - Lydia schyliła się po niego i posadziła go na swoim ramieniu. - Uch! Znowu się najadłeś precelków?

Zawsze ją dziwiło, że jest taki ciężki. Łatwo zapomniała, że pod zmierzwionym, niezbyt ładnym futerkiem zwierzątka kryją się prężne mięśnie i ścięgna małego, lecz niebezpiecznego drapieżnika.

- Chester Brady dał się zamordować w moim nowym sarkofagu. W tym, o którym ci opowiadałam, że załatwiłam go supertanio dla muzeum Shrimpa, bo ci z Muzeum

Uniwersytetu mieli w piwnicy jeszcze takich dwieście. No i byli mi winni przysługę, bo znalazłam dla nich kilkadziesiąt najlepszych eksponatów.

Futrzak radośnie zamruczał i usadowił się wygodniej na jej ramieniu.

- Wiem, wiem. Nigdy nie lubiłeś Chestera, prawda? Nie ty jeden. Ale i tak jakoś dziwnie myśleć o tym, że już go nie ma.

Kilka miesięcy temu przestała się zamartwiać, że może jej monologi z Futrzakiem świadczą o pogarszającym się stanie zdrowia psychicznego. Jej uwagę pochłaniały pilniejsze sprawy. Przede wszystkim musiała znaleźć sobie pracę i ustabilizować swoje finanse po katastrofie.

Poza tym wszyscy byli przekonani, że po Zaginionym Weekendzie kompletnie się załamała. Biorąc pod uwagę diagnozę, jaką wystawili jej po tym incydencie psychiatrzy, głośne rozmowy ze zwierzątkiem wydawały się całkiem normalne.

Katastrofa w Wymarłym Mieście pół roku temu nie tylko zniweczyła jej karierę uniwersytecką i zrujnowała

finanse. Sprawiała również, że teraz w jej kartotece lekarskiej nie raz pojawiały się zwroty takie jak „psychiczny dysonans” czy „paratrauma”.

Lekarze zalecili, by unikała stresu. Niestety, łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Przecież musiała zbudować nową karierę na ruinach tej, która legła w gruzach.

Jednak mimo ich pompatycznych oświadczeń Lydia wiedziała, że rezopsychiatrzy nie mieli zielonego pojęcia o prawdziwym stanie jej zdrowia psychicznego. I mówiąc szczerze, ona sama też nie. Prawie nic nie pamiętała z tych czterdziestu ośmiu godzin, które minęły od chwili, gdy wpadła w pułapkę iluzji.

Psychiatrzy uważali, że wypierała wspomnienia. Twierdzili, że biorąc pod uwagę, iż Lydia jest potężnym rezonerem, obdarzonym silnymi zdolnościami psi, tak jest prawdopodobnie lepiej.

Paranormalna zdolność rezonowania z bursztynem i wykorzystywania go do skupiania energii psi zaczęła się pojawiać u ludzi wkrótce po tym, jak koloniści przeszli przez Kurtynę, by osiedlić się na planecie Harmonia. Na początku ten talent był ledwie ciekawostką. Dopiero później stopniowo zaczęto pojmować prawdziwy potencjał tego zjawiska.

Dziś, niemal dwieście lat po odkryciu harmonijskie-go bursztynu, używano go powszechnie do wszystkiego, od uruchamiania silników samochodowych po włączanie zmywarek. Każde dziecko powyżej czwartego roku życia potrafiło wygenerować tyle energii psi, by rezonować z niedostrojonym bursztynem. Jednak niewielu ludzi umiało zebrać tak dużo energii, by zrobić coś więcej niż wykorzystywać ją do prowadzenia samochodów czy zasilania komputera. Istniały wszakże wyjątki.

U niektórych zdolność pararezonansu przybierała dziwne, niezwykle potężne formy. Lydia była właśnie jednym z takich przypadków, formalnie rzecz biorąc - para-rezonerką energii efemerycznej. Powszechnie nazywano takich ludzi „splataczami”. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu potrafiła używać dostrojonego bursztynu, by re-zonować z niebezpiecznymi pułapkami iluzji psychicznych, pozostawionymi przez dawno wymarłych Harmonijczyków. Zdolność rozbrajania tych koszmarnych pułapek praktycznie gwarantowała karierę w dziedzinie paraarcheologii. No i umożliwiała handel kradzionymi antykami.

Jeszcze przed sześcioma miesiącami Lydia szybko pięła się w hierarchii świata akademickiego. Uzyskanie tytułu profesora na Wydziale Paraarcheologii wydawało się tylko kwestią czasu.

A potem nastąpiła katastrofa.

Z tego, co w głębi duszy nazywała Zaginionym Weekendem, wyraźnie pamiętała to, że weszła do katakumb w Wymarłym Mieście i odkryła, że nie tylko jest tam całkiem sama, lecz że zgubiła swój bursztyn. A bez niego czekało ją niemal niewykonalne zadanie odnalezienia drogi do jednego z wyjść.

Ale znalazł ją futrzak. Nigdy się nie dowiedziała, jakim cudem udało mu się wydostać z mieszkania, a potem krążyć po Wymarłym Mieście, póki jej nie wytropił. Ale zrobił to. Ocalił jej życie.

Nie była pierwszym silnym paraarcheologiem, który stracił kontrolę i dał się owładnąć wplecionym w pułapki koszmaram obcej rasy. Należała wszakże do tych nielicznych, którzy po takich przejściach nie wylądowali w szpitalu psychiatrycznym.

Lydia chciała się przebrać, więc zdjęła Futrzaka z ramienia i posadziła go na łóżku. Gdyby nie te jasnoniebieskie oczy, można by go pomylić z kłębem kłaczków leżącym na kołdrze.

- Kiepskie wieści o klientach, Futrzaku. Wygląda na to, że jednak nie wyprowadzimy się pod koniec miesiąca do tego szykownego, nowego mieszkania. I niewykluczone, że będę ci musiała ograniczyć twoją porcję precelków.

Futrzak znów zamruczał. Obserwował bez zainteresowania, jak Lydia zrzuca buty na wysokich obcasach i zdejmuje kostium.

Włożyła znoszone dżinsy i luźną białą koszulkę, po czym znów posadziła Futrzaka na ramieniu.

Ruszyła bosą do miniaturowej kuchni, naląła sobie kieliszek wina z kartonu, który trzymała w lodówce, i położyła na talerzu parę krakersów i trochę sera. Zdjęła wieczko ze słoika z precelkami i wzięła garść dla Futrzaka.

Zaniosła wino i przekąski na swój mały balkon. Zapadła się w jeden z leżaków, podała Futrzakowi precelek, oparła stopy o barierkę i ułożyła się wygodnie, by obserwować zachód słońca nad potężnym murem z zielonego kwarcu, otaczającym Wymarłe Miasto.

Biorąc pod uwagę jego wielkość, przedpotopową kuchnię i kiepską dzielnicę miasta, jej małe mieszkanie było koszmarnie drogie, miało jednak dwie ważne zalety: mogła stąd dotrzeć pieszo do Domu Pradawnej Grozy Shrimptona, co oznaczało, że nie musiała kupować samochodu; i co pod pewnymi względami jeszcze bardziej istotne, znajdowało się w Starych Dzielnicach, niedaleko zachodnich murów Wymarłego Miasta. Z balkonu widziała fragment ruin Wymarłego Miasta Starej Kadencji.

Lydia uważała, że ta przedwieczna, tajemnicza metropolia najbardziej niesamowicie wygląda w świetle zachodzącego słońca. Zamyślona przyglądała się wąskiemu klinowi muru, widocznemu z balkonu, i obserwowała, jak ostatnie promienie słońca oświetlają lśniące szmaragdowe kamienie. Niemal niezniszczalny zielony kwarc był ulubionym budulcem Harmonijczyków. Wszystkie cztery wymarłe miasta, jakie do tej pory odkryto - Starą Frekwencję, Stary Rezonans, Stary Kryształ i Starą Kadencję - wzniesiono z tego właśnie materiału.

Nadziemne budowle obcych przyjmowały zapierające dech w piersiach rozmaite dziwne, wymyślne kształty i wielkości. Nikt nie wiedział, do czego Harmonijczycy wykorzystywali te struktury, w których teraz na zlecenie uniwersytetu mrówczo pracowały zespoły archeologów.

Paraarcheologowie jednego tylko mogli być pewni: że niezależnie od tego, jak wspaniałe były naziemne, niesamowite ruiny, nie dorównywały one temu, co znajdowało się pod ziemią. Szacowano, że do tej pory zbadano mniej niż dwadzieścia procent katakumb. Pułapki iluzji i duchy energetyczne spowalniały pracę, czyniąc ją bardzo niebezpieczną.

Kiedy powiedziała lekarzom, że nie pamięta nic z tego, co się wydarzyło w ciągu tych czterdziestu ośmiu godzin, jakie spędziła w fosforyzujących zielonych katakumbach, nie była to w pełni prawda. Czasem, gdy siedziała sama na balkonie - tak jak teraz - i patrzyła, jak nad Wymarłym Miastem zapada noc, w najdalszych zakamarkach jej umysłu majaczyły ulotne obrazy. Te widma zawsze trzymały się poza zasięgiem jej wzroku, znikwały za każdym razem, gdy próbowała je pochwycić i wydobyć na światło dzienne.

Jakaś część jej była zadowolona, a nawet szczęśliwa, pozostawiając je w cieniu. Intuicja ostrzegała ją jednak, że jeśli nie znajdzie sposobu, aby się z nimi zmierzyć, zjawy będą ją nękać aż do końca jej dni.

Zapatrzona w zielone mury, upiła łyk wina i poczuła, jak po kręgosłupie przebiegła dobrze jej znany lekki dreszcz.

Pukanie do drzwi przestraszyło ją tak bardzo, że ręka jej zadrżała i wino chlapnęło z kieliszka. Futrzak zamruczał poirytowany.

- To pewnie Driffield. - Lydia zlizwała krople wina z palców i szybko wstała. - Może dostał mój ostatni list, w którym groziłam mu, że wynajmę prawnika, i w końcu zdecydował się zrobić coś z tą windą. Ale nie, nie bardzo sobie potrafię wyobrazić, że wspiał się na piąte piętro tylko po to, żeby mi powiedzieć, że zamierza ją naprawić.

Z Futrzakiem na ramieniu weszła do mieszkania i przez miniaturowy salon doszła do drzwi; stanęła na palcach i spojrzała przez wizjer.

W korytarzu stał Emmett London. Nie wydawał się zdyszany po wspinaczce na piąte piętro.

Przez parę sekund po prostu się na niego gapiła, nie wierząc własnym oczom. Emmett spokojnie się w nią wpatrywał. Nie uśmiechał się, lecz na jego twarzy dostrzegła ślad rozbawienia. Najwyraźniej doskonale wiedział, że jest obserwowany.

Zauważyła, że podniósł wieczorne wydanie „Gwiazdy Kadencji”, które leżało na jej progu, i trzymał je teraz w ręce. Odczytała nagłówek artykułu na pierwszej stronie: „Asystentka z muzeum przesłuchiwana w sprawie morderstwa”.

Pomyślała, że London zajrzał do niej tylko po to, by jej powiedzieć, jak bardzo mu się nie podoba, że jego nazwisko jest teraz łączone ze śledztwem w sprawie morderstwa.

Wzięła głęboki oddech, zebrała się na odwagę i wreszcie otworzyła drzwi.

- Pan London. - Posłała mu swój najpiękniejszy, profesjonalny uśmiech. - Co za niespodzianka. Nie spodziewałam się pana.

- Byłem w pobliżu - odparł sucho.

Tralala, pomyślała. Nie mieszkała w okolicy atrakcyjnej dla zamożnych biznesmenów. Tu mogli się raczej obawiać rabunku.

Z drugiej strony, coś jej mówiło, że Emmett nie boi się ulicznych bandziorów. Wyglądał na kogoś, kto doskonale potrafi o siebie zadbać.

Futrzak zamruczał. Nie ostrzegał, wydawał się zaciekawiony.

- Rozumiem. - Lydia zerknęła na gazetę w ręce Emmetta. - Naprawdę nie musiał się pan aż tak fatygować, by mi powiedzieć, że jednak nie chce mnie pan zatrudnić jako konsultantki. Z góry założyłam, że nie dostanę tej pracy.

- Doprawdy?

- No cóż... Dał mi pan do zrozumienia, że bardzo zależy panu na dyskrecji. Stwierdziłam więc, że ze względu na to zwłoki, przesłuchanie i nagłówki w wieczornych gazetach mógł pan dojść do wniosku, że dyskrecja nie jest moją mocną stroną.

- Najwyraźniej. - Spojrzał za siebie, w obskurny korytarz, a później znów utkwiał w niej wzrok. - Wolałbym nie rozmawiać tutaj, na korytarzu. Mogę wejść?

- Słucham? - W pierwszej chwili wydało jej się, że go nie rozumiała. - Chce pan wejść do środka?

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Zaczerwieniła się i szybko cofnęła w głąb przedpokoju.

- Och, oczywiście. Zapraszam.

- Dziękuję.

Wchodząc, nie zrobił więcej hałasu niż Futrzak. Ale na tym podobieństwo się kończy, pomyślała Lydia. Emmett London w niczym nie przypominał kłębka kurzu sunącego po podłodze. Nie był ani niechlujny, ani nastroszony.

Wyglądał jak ktoś, kto sam ustala swoje reguły gry. Jego niewzruszone spojrzenie i ostre rysy twarzy mówiły jej, że według tych zasad również żył. Zły znak, pomyślała. Z doświadczenia wiedziała, że ludzie kierujący się sztywnym kodeksem nie są zbyt elastyczni. Zamknęła drzwi. Emmett, zamyślony, przyglądał się Futrzakowi.

- Pewnie gryzie?

- Niech pan nie żartuje. Futrzak jest kompletnie niegroźny.

- Czyżby?

- Dopóki widzi pan tylko jego oczy do światła dziennego, nie ma się czego obawiać. Trzeba się zacząć martwić dopiero wtedy, kiedy przestaje wyglądać jak kłębek kłaczeków.

Emmett uniósł brew.

- Słyszałem, że gdy zobaczy się zęby, jest już za późno.

- Tak, no cóż... Jak już mówiłam, nie ma się czego obawiać. Futrzak pana nie ugryzie.

- Trzymam panią za słowo.

Ta rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku, pomyślała Lydia. Trzeba czymś odwrócić jego uwagę.

- Właśnie nalałam sobie wina. Ma pan ochotę?

- Chętnie. Poproszę.

Trochę się rozluźniła. Może nie przyszedł tu, by jej powiedzieć, jak zirytowało go to, że wplątała go w sprawę z policją. Na pewno nie przyjąłby propozycji tylko po to, by ją poinformować, że ma zamiar pozwać do sądu ją i Dom Pradawnej Grozy Shrimptona.

A może jednak właśnie dokładnie to zrobi?

- Kiedy usłyszałam pukanie, pomyślałam, że to mój gospodarz. - Weszła do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła karton z winem. - Suszyłam mu głowę, żeby naprawił windę. Popsuła się... Ale pewnie pan to już zauważył.

Emmett stanął w drzwiach kuchni.

- Owszem. Zauważyłem.

- Driffield to beznadziejny administrator. - Nalała wina do jego kieliszka. - Staram się zebrać trochę pieniędzy, żeby się stąd jak najszybciej wynieść. A tymczasem prowadzimy ze sobą bezustanną wojnę. Jak do tej pory to on wygrywa. Ostatnio ściągnęłam na niego mnóstwo kłopotów, więc mam przeczucie, że szuka teraz wymówki, żeby się mnie stąd pozbyć.

- Rozumiem.

A jakże. Bardzo wątpiła, by ktokolwiek próbował wyeksmitować kiedyś Emmetta Londona, uznała jednak, że lepiej nie mówić tego na głos.

- Ale dość już o mnie - ucięła gładko. - To nudny temat. Chodźmy na balkon. Mam widok na ruiny.

Podążył za nią i ostrożnie usiadł na drugim leżaku.

To niesamowite, o ile mniejszy wydawał się jej ukochany balkon, gdy jej gość zajmował tak znaczną część niewielkiej przecież przestrzeni. Rzecz nie w tym, że jest wyjątkowo wysokim mężczyzną, pomyślała. Według wszelkich kategorii, można by go uznać za średniego. Średni wzrost, średnia budowa ciała. Tyle tylko, że jakoś strasznie... skoncentrowane.

Miała przeczucie, że z Emmettem jest tak jak z Futrzakiem - gdy zobaczyło się zęby, było już za późno.

Choć spędziła z nim niemal pół godziny tego ranka, wiedziała o nim niewiele więcej niż wówczas, gdy zadzwonił do niej do biura, by się z nią umówić. Powiedział jej tylko tyle, że jest konsultantem biznesowym z Rezonansu i że kolekcjonuje antyki.

- Dziś rano nie mogliśmy dokończyć naszej rozmowy - stwierdził Emmett.

Lydia pomyślała o zwłokach Chestera w sarkofagu i westchnęła.

- No tak.

- Od razu przejdę do rzeczy. Potrzebuję dobrego pa-raarcheologa i myślę, że nadaje się pani do tej pracy.

Spojrzała na niego zaskoczona. Najwyraźniej, mimo wszystko, nie zamierzał jej pozwać.

- Wciąż chce mnie pan zatrudnić? Choć przeze mnie trafił pan do wieczornych gazet?
- Gazety nic o mnie nie wspominają. - Skosztował wina. - Detektyw Martinez była tak uprzejma i postanowiła nie podawać mojego nazwiska prasie.

Lydia gwizdnęła cicho.

- Szczęściarz z pana.
- Szczęście nie miało z tym nic wspólnego. Rozluźniła się trochę.
- Cóż, jeśli to w jakikolwiek sposób pana usatysfakcjonuje, jestem naprawdę dobra w tym, co robię.
- Cieszę się, że to słyszę. - W jego uśmiechu nie było ani krzty szczerzej radości. - Nie mam zbyt wielkiego wyboru.

To jej dało do myślenia. Przypomniała sobie pytanie, jakie dziś po południu zadała jej Melanie. Skoro szukał paraarcheologa, dlaczego nie zwrócił się do Stowarzyszenia lub do jakiegoś renomowanego muzeum? Zakasłała.

- Nie chciałabym wykręcać się od tej pracy, panie London, można jednak odnieść wrażenie, że jest pan... jak by to ująć... w komfortowej sytuacji finansowej.

Wzruszył ramionami.

- Jestem bogaty, jeśli o to pani chodzi.
- Tak, o to mi chodzi. Bądźmy szczerzy. Z pańskimi pieniędzmi mógłby się pan zwrócić do Stowarzyszenia Paraarcheologów i wybrać sobie prywatnego konsultanta, cieszącego się najlepszą opinią wśród poważnych kolekcjonerów.
- Wiem - odparł po prostu. - Ale potrzebuję takiego, który nie będzie zbyt wybredny.

Te słowa ją zmroziły.

- Wybredny pod jakim względem?
- Pod względem zaangażowania się w nielegalny handel antykami.

Lydia zeszywniała.

- O cholera! Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Rozdział 3

Kiepsko to rozegrał. Emmett natychmiast zdał sobie sprawę ze swojego błędu. Lydia wyglądała tak, jakby zamarzła na swoim leżaku. Nie drgnął jej nawet jeden mięsień.

Kurzak na jej ramieniu poruszył się, ale ponieważ nie otworzył drugiej pary oczu, Emmett uznał, że na razie nic mu nie grozi.

Gniewem płonęły jednak błękitne jak laguna oczy Ly-dii. Pewnie sprawiały to jego wyobraźnia albo wieczorne światło, lecz mógłby przysiąc, że jej złocistorude włosy przybrały jeszcze bardziej ognisty odcień. W przeciwieństwie do kurzaka robiła wrażenie niebezpiecznej.

- Chyba powinienem to wyjaśnić - powiedział łagodnie.

- Niech się pan nie fatyguje. Wiem, o co panu chodzi. - Zmrużyła oczy. - Uważa pan, że jestem złodziejką? Że handluję nielegalnymi znaleziskami?

Najwyraźniej nadszedł właściwy moment na odrobinę dyplomacji, pomyślał Emmett.

- Sądzę, że ma pani znajomości na podziemnym rynku, tutaj w Kadencji - odparł powoli.

- Potrzebuję tych kontaktów i dobrze za to zapłacę.

Gwałtownie odstawiła kieliszek.

- Nie jestem szcurem ruin, lecz szanowanym członkiem Stowarzyszenia Paraarcheologów. Zgadza się, ostatnio nie pracowałam w żadnym licencjonowanym zespole wykopaliskowym, ale moje stosunki ze Stowarzyszeniem układają się doskonale. Mam dość referencji z uniwersytetu, by wytapetować nimi ścianę, i pracowałam z najlepszymi ekspertami w Kadencji. Jak pan śmie sugerować...

- Mój błąd. - Uniósł dłoń, żeby ją uciszyć. - Przepraszam.

Ale nie tak łatwo było ją udobruchać.

- Jeśli chce pan wynająć złodzieja, panie London, niech pan szuka gdzie indziej.

- Nie chcę wynajmować złodzieja, pani Smith. Chcę natomiast jednego znaleźć. I to najlepiej tak dyskretnie, jak się tylko da. Pomyślałem, że potrzebny mi do tego ktoś, kto zna podziemny rynek handlu antykami.

- Rozumiem - jej głos ciął ostro jak stłuczone szkło. -A dlaczego uznał pan, że mogę panu pomóc?

- Sprawdziłem to i owo.

- To znaczy szukał pan paraarcheologów niezatrudnionych w legalnym zespole wykopaliskowym?

Wzruszył ramionami i pociągnął łyk naprawdę paskudnego wina. Udało mu się nie skrzywić. Pogratulował sobie w myślach.

Uśmiech Lydii z każdą sekundą stawał się zimniej szy.

- Wyszedł pan z założenia, że paraarcheolog, który nie ma przyzwoitej pracy w jakimś zespole lub muzeum, musi zajmować się nielegalnym handlem?

- Uznałem to za rozsądną teorię. Przepraszam za nieporozumienie.

- Nieporozumienie? - Pochyliła się lekko do przodu. - Nazwanie mnie złodziejką to obelga, a nie nieporozumienie.

- Jeśli ma to dla pani jakiegokolwiek znaczenie, pani etyka zawodowa nie interesuje mnie szczególnie.

- Owszem, ma znaczenie - odparła złowieszczo. - I to ogromne.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, pani Smith. Nikt nie oczekuje, że znajdzie dobrego paraarcheologa w takim miejscu jak Dom Pradawnej Grozy Shrimptona. - Przerwał na chwilę. - No i jeszcze ta sytuacja ze zwłokami w sarkofagu, dziś rano.

- Wiedziałam, że użyje pan tego przeciwko mnie. - Z odrazą machnęła ręką. - Jedne głupie zwłoki i już stwierdza pan, że siedzę po uszy w nielegalnym handlu.

- Tb nie ze względu na zwłoki stwierdziłem, że może mieć pani pewne kontakty w tej branży. Chodzi o to, że znała pani dobrze ofiarę. Dowiedziałem się między innymi, że Chester Brady był szczurem ruin.

Otworzyła usta, zamknęła je i znów otworzyła.

- Och! - Po chwili ze znużeniem znów opadła na leżak. - Na tej podstawie można chyba wysnuć niezbyt precyzyjne wnioski.

- Cieszę się, że choć w tym przyznaje mi pani rację. - Ostrożnie upił kolejny łyk wina, patrząc na widoczny z balkonu maleńki fragment Starych Murów. - A więc jak poznała pani Brady'ego?

Lydia spojrzała na niego, zamyślona. Kątem oka obserwował jej wyrazistą, inteligentną twarz. Odnosił wrażenie, że zastanawia się teraz, jak dużo mu powiedzieć. Na pewno usłyszę bardzo okrojona wersję tej historii, pomyślał, bo niby dlaczego miałyby mi się zwierzać?

Nie żeby już o niej sporo nie wiedział. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin postanowił dowiedzieć się jak najwięcej. Wiedział o tych dwóch dniach, które spędziła w podziemiach Wymarłego Miasta pół roku temu. Jego ludzie z Rezonansu złożyli mu raport,

znalazł w nim też dane z jej kartoteki medycznej. Dane, które powinny być prywatne i poufne, a które jednak wyjątkowo łatwo zdobyć, jeśli ma się koneksje i pieniądze. A jemu nie brakowało ani jednego, ani drugiego.

Tego ranka, kiedy wszedł do jej biura i dostrzegł odwagę i determinację w jej oczach, natychmiast odrzucił opinię pararezopsychiatrów. Kimkolwiek by Lydia była, na pewno nie sprawiała wrażenia słabej czy delikatnej. Potrafił poznać wojownika, kiedy go zobaczył.

To lekkie tchnienie erotycznego napięcia, jakie poczuł w tej pierwszej chwili, było dla niego ostrzeżeniem. Postanowił wtedy to ignorować. Teraz pomyślał, że może podjął niebyt rozsądną decyzję. Znał jednak siebie na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że nie zmieni zdania.

- Poznałam Chestera kilka lat temu - odezwała się Lydia po chwili. - Był silnym pararezonem energii efemerycznej.

- Spłataczem?

- Tak. Ale pojawił się znikąd. Bez rodziny, bez odpowiedniego wykształcenia. Nigdy nie poszedł na uniwersytet. Nigdy nie studiował archeologii, tak jak to robi większość dobrych splataczy. Nigdy nie został przyjęty do Stowarzyszenia.

- To niekoniecznie musi o nim źle świadczyć. Wszyscy doskonale zdają sobie sprawę, że Stowarzyszenie Para-archeologów to arogancka, hermetyczna organizacja.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Przyznaję, że Stowarzyszenie kieruje się czasem zbyt sztywnymi zasadami. Ale tylko dzięki wysokim standardom i rygorystycznym wymogom wobec nowych członków splatacze nie mają tak okropnej reputacji jak łowcy duchów z Gildii.

- Gildie też mają standardy - zmusił się, by powiedzieć to obojętnym tonem.

- Jasne. I szefów, którzy rządzą nimi tak, jak gangsterzy swoimi gangami; wszyscy świetnie o tym wiedzą. Tu, w tym mieście, szefem Gildii jest Mercer Wyatt i mogę pana zapewnić, że standardy, które narzuca, nie mają nic wspólnego z akademickimi kwalifikacjami czy referencjami.

Emmett przyglądał się jej i dostrzegł gniew w jej oczach.

- To żadna tajemnica, że łowcy i splatacze często rywalizują na polu zawodowym, ale odnoszę wrażenie, że u pani przybiera to skrajną formę.

- Cokolwiek by pan powiedział o członkach Stowarzyszenia, jesteśmy szanowanymi profesjonalistami, w przeciwieństwie do członków organizacji, która bardzo niewiele różni się od mafii.

- Wydaje mi się, że rozmawialiśmy o Chesterze Bradym.

Lydia zamrugała kilka razy, skrzywiła się i znów opadła na leżak.

- A tak, biedny Chester.

- Wspominała pani, że nigdy nie przyjęto go do Stowarzyszenia.

- Wolał pracować... jak by to powiedzieć... na pograniczu rynku wykopalisk.

- To znaczy był złodziejem?

- No cóż, tak. Ale mimo to na swój sposób go lubiłam. Przynajmniej wtedy, kiedy mnie nie rozwścieczał. Wie pan, on naprawdę był niesamowitym splataczem. Bardzo niewielu ludzi potrafi tak jak on rezonować z energią efemeryczną pułapek iluzji. Widziałam kiedyś, jak rozbraja cały szereg złośliwych małych pułapek w katakumbach... - przerwała nagle i rękawem koszulki ukradkiem otarła kącik oka.

- Jak to się stało, że się zaprzyjaźniliście?

- Prowadzi... prowadził sklepik w Starych Dzielnicach przy wschodnim murze. Coś jak lombard i jednocześnie galeria antyków. Drobny interes. W każdym razie parę lat temu ukradł niewielką wagę nagrobną z laboratorium, w którym pracowałam. Trop doprowadził mnie do jego sklepu. Zaczęliśmy rozmawiać, i tak to się zaczęło.

- Zaprzyjaźniła się pani z drobnym złodziejaszkiem? Tak po prostu? - spytał Emmett zaskoczony.

Zacisnęła usta.

- Najpierw odzyskałam moją wagę nagrobną. W ramach podziękowania za to, że nie oddałam go w ręce policji, Chester wyświadczył mi tę małą przysługę. Z biegiem czasu wyświadczył mi ich wiele.

- Jakiego rodzaju? Obróciła kieliszek w palcach.

- Znał każdego, kto pracował w Wymarłym Mieście, legalnie czy nielegalnie. Wiedział, komu można ufać, a kto jest bezwzględnym oszustem. Wiedział też, kto ukrywa poważne znaleziska i kto właśnie zapewnił sobie finansowanie z dość wątpliwych źródeł. Rozumie pan, zespoły archeologów często z sobą rywalizują. Takie informacje są bardzo przydatne.

- Rywalizacja zawsze jest zaciekle, gdy chodzi o wielkie pieniądze.

- Tutaj chodzi nie tylko o pieniądze. W tych katakumbach ludzie robią kariery albo je niszczą.

- A więc stary, dobry Chester wtajemniczył panią w arkana tego biznesu?

- Tak jakby. Emmett spojrzał na nią.

- A pani jak mu się zrewanżowała?

- Ja... Rozmawiałam z nim. I raz na liście konsultantów w pracy, którą opublikowałam w *Dzienniku Paraar-cheologii*, wymieniłam go jako źródło. - Uśmiechnęła się smutno. - Chester skakał z radości.

- Twierdzi pani, że z nim rozmawiała... - Emmett przerwał na chwilę. - A o czym?

- O wielu rzeczach. Chester spędził całe lata pod ziemią. Oczywiście nielegalnie, ale zdobył bardzo dużą wiedzę. Czasami rozmawialiśmy o tym, jak to jest wejść w tryb pararezonansu z naprawdę starymi pułapkami iluzji. Takimi, które potrafią wessać człowieka w koszmar, zanim się zorientuje, co go spotkało.

- Rozumiem.

- Chester był samotnikiem, ale nawet samotnicy czują się niekiedy samotni. A splatacze muszą czasem pogadać z innymi splataczami. Stowarzyszenie zapewnia doskonałą karierę pararezonerom energii efemerycznej. Działa jak klub. Miejsce, gdzie można poznać innych ludzi, porozmawiać, wymienić się doświadczeniami.

- Ale Brady nie był członkiem tego klubu? Pokręciła głową.

- Nie. Więc rozmawiał ze mną.

- Innymi słowy, Brady był splataczem wyrzutkiem, który czasami bardzo potrzebował towarzystwa, a pani zaspokajała tę jego potrzebę?

- Coś w tym stylu.

- Domyśla się pani, kto mógł chcieć jego śmierci?

- Nie. Ale zawsze ktoś złościł się na Chestera. -Skrzywiła się. - Ja też. Od jakiegoś czasu próbuję rozkręcić prywatną firmę konsultingową dla kolekcjonerów. Miesiąc temu odebrał mi mojego pierwszego poważnego klienta i mnie tym rozwścieczył. Ale trudno było się na niego długo gniewać.

- Rozumiem.

Lydia wyprostowała się w swoim leżaku.

- Już chyba pora, żeby mi pan powiedział, dlaczego postanowił pan mnie zatrudnić, panie London.

Ułożył się wygodnie w leżaku i oparł stopy na barierce.

- Ostatnio z mojej prywatnej kolekcji znikła pewna rodzinna pamiątka. Mam powody, by sądzić, że złodziej przywiózł ją tutaj do Kadencji i sprzedał na czarnym rynku. Muszę ją odzyskać.

- Chce pan, żebym pomogła panu ją odnaleźć?

- Tak.

- Przypuszczam, że to harmonijski artefakt?

- Nie. Nie chodzi o znalezisko z ruin. Ten szczególny artefakt przybył przez Kurtynę wraz z moimi przodkami.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Szuka pan czegoś z czasów przedkolonialnych? Przedmiotu z Ziemi?

- Tak. - Rozbawiło go ledwie tłumione podniecenie w jej głosie. - Naturalnie, ten przedmiot nie jest tak stary jak znaleziska z Wymarłych Miast tu na Harmonii. Ale bez wątpienia jest niezwykle cenny.

- Oczywiście. - Jej twarz zapłonęła entuzjazmem. - Wszystko ze Starego Świata jest dla kolekcjonerów warte fortunę. Pozostało tak niewiele.

- Właśnie.

Wszyscy wiedzieli, że po tym, jak tajemnicza brama między światami, Kurtyna, zamknęła się na zawsze, koloniści na Harmonii stali się rozbitkami odciętymi od macierzy. Brakowało im części zamiennych, a urządzenia, które przywieźli z sobą, w końcu przestały działać. Wszystko, co można było do czegoś wykorzystać, rozebrano na części. Wiele cennych artefaktów zaginęło w burzliwym, gwałtownym okresie zwanym Czasem Niezgody. Reszta przepadła, została zniszczona lub wyrzucona w ciągu dwustu lat, jakie upłynęły od kolonizacji.

- Co to było? - spytała z przejęciem Lydia. - Komputer? Jakieś narzędzie rolnicze?

- Pudełko - odparł Emmett. Mina jej zrzędła.

- Pudełko?

- Bardzo szczególne pudełko. Wyrzeźbione ręcznie w złocistobrazowym drewnie, zdobione złotem i srebrem. Nazwano je sekretarzykiem osobliwości. Ma dziesiątki maleńkich ukrytych szufladek. Moja prababka twierdziła, że nikomu z naszej rodziny nie udało się ich wszystkich odnaleźć i otworzyć.

Lydia zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem. To mi wygląda na dzieło sztuki, a nie jakieś urządzenie czy maszynę ze Starej Ziemi.

- Bo to jest dzieło sztuki. To rękodzieło ze Starego Świata, wykonane przez jakiegoś rzemieślnika około czterystu lat przed otwarciem Kurtyny. Jeden z moich przodków z Ziemi kazał specjalnie tak zakonserwować drewno, by stało się niemal niezniszczalne.

- Przecież to niemożliwe - głos Lydii złagodniał, choć nie siliła się nawet, by ukryć rozczarowanie. - Wie pan równie dobrze jak ja, że osadnicy nie przywieźli z sobą żadnych dzieł sztuki. Na statkach transportowych było zbyt mało miejsca, a Kurtyna zamknęła się, zanim oba światy mogły nawiązać handel. Może to coś, co któryś z pańskich przodków wykonał już po przybyciu tutaj, na Harmonię.

- Nie - odparł Emmett. - Sekretarzyk osobliwości pochodzi ze Starej Ziemi.

- Ale jak pańskim przodkom udało się go tutaj przywieźć?

Emmett spojrzał na nią.

- Słyszałem, że mój prapradziadek nie miał innego wyboru. Ożenił się tuż przed przybyciem przez Kurtynę i jego żona bardzo nalegała, by zabrać sekretarzyk ze sobą. Najwyraźniej była silną kobietą. W jakiś sposób musiała przekonać mojego przodka, by przemycił go na pokład transportowca.

Twarz Lydii wyrażała uprzejmie powątpiewanie.

- Rozumiem.

- Nie wierzy mi pani? - spytał sceptycznie.

- Każda rodzina przechowuje parę dziwnych legend o jej historii ze Starego Świata.

- A więc uważa pani, że szukam pudełka z ery kolonialnej, które jeden z moich przodków wykonał tutaj, na Harmonii, tak?

Uśmiechnęła się do niego ciepło, żeby dodać mu otuchy.

- Proszę się nie martwić. To naprawdę nie ma znaczenia, co pan sądzi o pochodzeniu pańskiego zaginionego artefaktu. Nie muszę wierzyć, że przybył przez Kurtynę, żeby go dla pana odnaleźć.

- Zgadza się, ale z takim podejściem do sprawy wiąże się pewien problem.

- Jaki problem?

- Jeśli rzeczywiście sądzi pani, że mam jakieś urojenia albo jestem zbyt sentymentalny, jeśli chodzi o tę starą, rodzinną pamiątkę, prawdopodobnie nie będzie pani dostatecznie ostrożna.

- A czemu miałabym być ostrożna?

- Ponieważ niektórzy kolekcjonerzy, przekonani, że ten artefakt pochodzi z Ziemi, są gotowi zabić, byle tylko dostać go w swoje ręce.

Rozdział 4

Mała skrzyneczka, mówisz? - Bartholomew Greeley położył ręce na zamkniętej szklanej gablocie. Jego szeroka, rumiana twarz przybrała wyraz zamyślenia. - Wykonana ze złocistobrązowego drewna? Z mnóstwem maleńkich, ukrytych szufladek?

- Tak ją opisał mój klient - Lydia zerknęła na zegarek. Z godzinnej przerwy na lunch pozostało jej już tylko dwadzieścia minut. - Jego rodzina podobno posiadała ją od kilku pokoleń. Mówiąc między nami, jest przekonany, że to antyk ze Starego Świata.

Greeley zrobił zbolaną minę.

- Bardzo kiepskie szanse.

- Wiem. - Lydia kiwnęła głową. - Prawdopodobnie to śliczny antyk, wykonany tutaj na Harmonii jakieś sto lat temu. Jego historia została pewnie upiękaszona przez wielu dziadków i babć. Wiesz, jak zachowuje się rodzina, jeśli chodzi o takie sprawy.

- No tak. - Oczy Bartholomew błysnęły. - Ale jeśli ta konkretna rodzina naprawdę jest przeświadczona, że ten przedmiot pochodzi ze Starego Świata... - sugestywnie zawiesił głos.

Lydia od razu zrozumiała, do czego on zmierza.

- Możesz spać spokojnie. Mój klient uważa, że se-kretarzyk dotarł tu z Ziemi, i gotów jest bardzo dobrze zapłacić, by go odzyskać.

- Jak dobrze? - bez ogródek spytał Bartholomew.

- Powiedział mi, bym rozpuściła pogłoskę, że przebije każdą ofertę zgłoszoną przez prywatnego kolekcjonera.

- A co z ofertami muzeów?

- Mój klient twierdzi, że może udowodnić swoje prawa własności do sekretarzyka i jeśli to okaże się konieczne, pójdzie do sądu, by go odzyskać. Żaden kustosz nie tknie antyku, jeżeli uzna, że muzeum może go stracić wskutek procesu. Przy tych kosztach zakupu i kosztach sądowych nie byłby wart takiego zachodu.

- Zgadza się. Chyba że ten artefakt naprawdę jest dziełem sztuki z Ziemi.

- Jak sam mówiłeś, są na to zdecydowanie marne szanse. Zauważ jednak, że mój klient wierzy, że ten artefakt przybył z Ziemi, co oznacza, że pewnie znajdą się inni kolekcjonerzy, którym również będzie można to wmówić.

- Hm. - Bartholomew wyduł usta. - A więc musisz zainteresować się wyłącznie prywatnym rynkiem.

- Nie chodzi o cały rynek prywatnych kolekcjonerów, Bart. - Lydia spojrzała na niego znacząco. - Chodzi o bardzo szczególny segment tego rynku.

Nawet nie udawał, że nie rozumie.

- Ten, który nie zadaje zbyt wielu pytań.

- Otóż to. Oczywiście oboje doskonale wiemy, że nigdy nie wzięłbyś udziału w jakichś wątpliwych transakcjach, prawda?

- Naturalnie. To by mogło zaszkodzić mojej reputacji.

- No właśnie. - Lydia była dumna, że udało jej się nawet nie mrugnąć. - Ale handlarz antyków o takiej renomie jak twoja słyszy czasami różne rzeczy. Chciałabym cię zapewnić, że mój klient dobrze zapłaci za wszelkie informacje pomocne w odzyskaniu jego rodzinnej pamiątki.

- Rozumiem. - Bartholomew zadowolony rozejrzał się po zagraconej przestrzeni Antykwariatu Greeleya. - A jakże, masz rację. Handlarz z taką renomą jak moja słyszy od czasu do czasu różne plotki.

Lydia podążyła za jego spojrzeniem. Gabloty pełne były rozmaitych kawałków zardzewiałego metalu i powyginanego, spłowiałego plastiku. Rozpoznawała niektóre przedmioty: pozostałości przyrządu meteorologicznego ze Starego Świata i rękojeść noża - typowe, podstawowe rzeczy, które osadnicy zabrali z sobą przez Kurtynę lub wykonali wkrótce po przybyciu na Harmonię.

W jednej z przeszklonych gablot leżała podarta, bardzo poplamiona koszula z okrągłym kołnierzem charakterystycznym dla stylu kolonialnego. Obok niej stała para butów, które wyglądały równie staro. Ani na butach, ani na koszuli nie było nawet śladu artystycznych ozdób. Koloniści prowadzili surowy tryb życia. Gdy Kurtyna się zamknęła, jeszcze bardziej skupili się na tym, by przetrwać.

Zbliżyła się do tej gabloty i przeczytała wypisaną starannie informację, wraz z ceną. Oczy jej się rozszerzyły.

- Sprzedajesz to jako autentyczną odzież z czasów pierwszego pokolenia? - spytała uprzejmym tonem.

- Autentyczność tej koszuli i butów potwierdzono - odparł gładko Bartholomew. - To świetne przykłady przedmiotów z okresu wczesnej ery kolonialnej. Istnieją wszelkie powody, by wierzyć, że zostały wykonane w pierwszej dekadzie po zamknięciu się Kurtyny.

- Powiedziałabym raczej, że w zeszłym roku przez fałszerza, który nie przeprowadził badań.

Bartholomew się skrzywił.

- Bez obrazy, Lydio, ale jesteś ekspertem w dziedzinie harmonijskich artefaktów, a nie kolonialnych antyków.

- Nie doceniasz mnie, Bart. - Spojrzała na niego badawczo. - Specjalizuję się w pracy w ruinach, co jednak nie oznacza, że nie potrafię rozpoznać fałszywego, wykonanego przez człowieka artefaktu. Wyszkolono mnie tak, bym rozpoznawała wszelkie oszustwa.

Szeroka twarz Bartholomew poczerwieniała z wściekłości.

- Dlaczego uważasz, że ta koszula nie jest z czasów pierwszego pokolenia?

- Z powodu jej koloru. Tego odcienia zieleni nie używano we wczesnej erze kolonialnej. Pojawił się dopiero czterdzieści lat po zamknięciu Kurtyny.

Bartholomew westchnął.

- Dzięki za twoją opinię. Lydia się roześmiała.

- Daj spokój, nie zmieniaj ceny ze względu na mnie. Sam mówiłeś, że nie jestem ekspertem w dziedzinie kolonialnych antyków.

- Racja - wpadł jej w słowo Bartholomew. - Nie zmienię ceny.

Lydia znów zerknęła na zegarek. Za piętnaście minut musiała być w Domu Pradawnej Grozy Shrimptona. Tego dnia w porze lunchu zdążyła odwiedzić tylko dwie galerie antyków. Specjalnie postanowiła zacząć od Antyków Gree-leya i Artefaktów Kolonialnych Hickmana, ponieważ obaj handlowali artefaktami z czasów Starej Ziemi i pierwszego pokolenia i żaden nie miał zbyt wielu skrupułów.

- Muszę wracać do biura - powiedziała. - Czeka nas dziś u Shrimptona jeszcze mnóstwo roboty. Dasz mi znać, jeśli tylko coś usłyszysz, prawda?

- Masz na to moje słowo, złotko. - Bartholomew spojrzał na nią. - A skoro już wspominasz o swojej pracy u Shrimptona, mogę zadać ci pewne pytanie?

- Nie zabiłam biednego Chestera. Bartholomew spojrzał na nią bystro.

- Wielkie nieba, Lydio. Nie chciałem nic takiego sugerować.

- A czemu nie? Wszyscy dookoła jakoś się nie krępowali i właśnie to sugerowali.

Bartholomew pochylił się ku niej, opierając łokcie na gablocie.

- Chodzi mi o to, dlaczego znaleziono go właśnie w tym twoim tandetnym, małym muzeum.

- Nie mam zielonego pojęcia. - Lydia odwróciła się i ruszyła do drzwi. - Ale powiem ci jedno, gdybym to ja zabiła Chestera, na pewno nie zostawiłabym go w korytarzu tuż obok mojego biura. To aż nazbyt oczywiste.

Bartholomew popatrzył na nią zamyślony.

- Chyba masz rację. Tyle że to prowadzi do innego interesującego pytania.

- Wiem. - Lydia otworzyła drzwi. - Co Chester w ogóle robił w muzeum Shrimptona.
 - A co podejrzewa policja?
 - Uważają, że poszedł tam, żeby coś ukraść. Nie jesteśmy jakimś prestiżowym muzeum, ale mamy w naszej kolekcji parę ciekawych eksponatów. Zwłaszcza w Galerii Grobowców. To jasne, że Chester mógłby zwędzić parę waz czy zwierciadeł nagrobnych.
 - Tak, Chester byłby do tego zdolny. A ty jak myślisz, dlaczego został zamordowany?
- Lydia pokręciła głową.
- Kto to wie? Detektyw Martinez sądzi, że któryś z jego naprawdę wkurzonych klientów śledził go i zabił w muzeum.
 - Biedny Chester. Nigdy nie udało mu się dokonać przełomu, na który tak czekał, prawda?
 - Tak - odparła cicho. - Nie udało mu się.

Wyszła na chodnik i zamknęła za sobą drzwi. Była zadowolona z tego, czego do tej pory dokonała. Zarówno Greeley, jak i Hickman działali w szarej strefie, między światem renomowanych galerii a nielegalnym podziemiem handlu antykami. Nim nadejdzie wieczór, każdy handlarz w Kadencji będzie już wiedział, że ona szuka sekretarzyka osobliwości.

Znów zerknęła na zegarek i uśmiechnęła się do siebie. No i co z tego, że podejrzewają ją o morderstwo? Wszystko wreszcie zaczynało się układać. Jeśli policzyć czas dojazdu z Alei Ruin i z powrotem, będzie mogła wystawić Emmettowi Londonowi rachunek za pierwszą godzinę pracy.

Jej pierwsze prywatne zlecenie zapowiadało się bardzo dobrze. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie odniesie sukcesu zbyt szybko. Im mniej czasu zajmie jej namierzenie rodowej pamiątki Londonów, tym mniej Emmett zapłaci za jej usługi. Wydęła wargi. Może powinna była określić z góry cenę kontraktu?

Emmett wynurzył się z zatłoczonego baru i ruszył popękany chodnikiem. Słabe światło ulicznych latarni w tej części Starych Dzielnic oświetlało tylko niewielkie strzępki mrocznej doliny nocy, w dodatku lekka mgła tworzyła nieprzeniknione zatoki cieni w czarnych bramach majaczących w ciemnościach budynków. To trochę tak jak poruszanie się po katakumbach w Wymarłym Mieście, pomyślał Emmett, ale bez zielonej poświaty i tej dziwnej obcości.

Przeszedł przez cichą ulicę, automatycznie tak balansując ciałem, by obcasy jego butów nie stukały o chodnik.

Podążał spokojnym krokiem do miejsca, w którym zaparkował swojego slidera. Nie spieszył się. Nie zależało mu na tym, by szybko wrócić do hotelu. Musiał coś przemyśleć, a to łatwiej przychodziło mu tutaj, w cieniu.

Wszystko zaczynało się komplikować. Wynajęcie Ly-dii Smith nie było częścią pierwotnego planu. A teraz, gdy Brady nie żył, pozostała mu tylko improwizacja.

Z zamyślenia wyrwał go lekki dreszcz; przebiegł po kręgosłupie i natychmiast całkowicie pochłonął jego uwagę.

Wyraźna smużka synchronymu powiedziała mu, że człowiek, który go obserwuje, musi kryć się gdzieś w cieniu po lewej stronie. Szedł dalej, równym krokiem, wyjął jednak ręce z kieszeni.

W ciemnej bramie poruszyła się jakaś postać. - Pan Emmett London?

Zaczyna się? - pomyślał Emmett. Ale drobni rabusie czyhający na ludzi wychodzących późno z barów rzadko zwracali się do swych przyszłych ofiar po nazwisku, a tym bardziej uprzejmym, niemal pełnym szacunku tonem.

A to oznaczało, że młody mężczyzna ukryty w cieniu bramy nie był zapewne pospolitym ulicznym złodziejem.

Emmett zatrzymał się i czekał.

Mężczyzna wyłonił się z ciemności i wkroczył w blade światło latarni. Był chudy, wysoki i poruszał się w charakterystyczny, niedbały sposób, typowy dla łowców duchów.

Jego ubranie też o tym świadczyło: koszula i spodnie khaki, ciężkie buty i kurtka z czarnej, miękkiej skóry z zawadiacko postawionym kołnierzem. Długie włosy nosił związane na karku czarnym skórzanym rzemykiem. Jego bursztyn osadzony był w gigantycznej klamrze u pasa.

Wielkość bursztynu nie miała znaczenia. Wystarczył drobny kawałek, by skupić zdolności psi i przekształcić je w pole energii do wykorzystania. Ale nie wolno tego powiedzieć tym szpanerskim lalusiom.

- Nie chciałem pana przestraszyć, sir. Nazywam się Renny. Jestem tylko posłańcem.

- To chyba zawód wysokiego ryzyka.

- Mój szef też mógłby tak powiedzieć - odparł Renny.

- A kto jest twoim szefem? Renny się skrzywił.

- Jestem z Gildii. Mój szef to Mercer Wyatt.

- Naprawdę? - Emmett uśmiechnął się lekko. - Wyatt wydaje ci polecenia?

Renny poczerwieniał.

- Cóż, oczywiście nie bezpośrednio. W każdym razie jeszcze nie. Ale szybko awansuję w Gildii. Niedługo będę słuchał poleceń z ust samego szefa. A tymczasem rozkazuje mi Bonner.

- Co dokładnie Bonner kazał ci mi powiedzieć? Renny zebrał się w sobie, jakby za chwilę miał wyrecytować coś z pamięci.

- Pan Wyatt zaprasza pana na kolację. U niego.

- Czy dobrze zrozumiałem? To jest zaproszenie?

- Tak, zgadza się.

- To dlaczego Wyatt po prostu nie zadzwonił do mnie do hotelu?

Renny wyglądał na nieco zaskoczonego tym pytaniem.

- Z całym szacunkiem, sir, ale pan Wyatt przywiązuje ogromną wagę do tradycji. Lubi takie rzeczy robić po staremu.

- Chodzi ci o to, że lubi wszystko organizować tak, jak to było tuż po Czasie Niezgody? Ktoś powinien mu wreszcie powiedzieć, że czasy się zmieniły.

Renny zmarszczył brwi.

- Tylko dlatego, że Gildia z Rezonansu postanowiła przekształcić się w jakąś korporację dla mięczaków, inne Gildie nie muszą robić tego samego. Tu jest Kadencja. Szanujemy tradycję.

- No cóż, Benny...

- Renny.

- Przepraszam, Renny. Coś ci powiem. Szanujcie sobie te wasze tradycje. A tymczasem Gildia z Rezonansu nie tylko zarabia mnóstwo pieniędzy, ale też jeden z jej wiceprezesów będzie startował w wyborach do Rady Federacji.

Renny rozdziawił usta.

- Do Rady? Mówi pan poważnie? Członek Gildii ubiega się o publiczny urząd?

- Prowadzi kampanię, a ostatnie sondaże wskazują, że pewnie zostanie wybrany. Wiesz dlaczego? Wyborcy myślą, że ma solidne doświadczenie w biznesie dzięki swojemu kierownicznemu stanowisku w Gildii.

- No nie! Cholera. - Renny pokręcił głową. - To już szczyt wszystkiego. Jak, u diabła, oni to zrobili?

Emmett wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że ostatni szef Gildii z Rezonansu doszedł do wniosku, że nie chce być postrzegany jako przywódca bandy gangsterów. Postanowił poprawić wizerunek Gildii. No wiesz, uczynić z niej w pełni legalną organizację.

Renny się skrzywił.

- Legalną?
- Nieważne. Słuchaj, robi się późno. Przekazałeś już wiadomość, więc dlaczego po prostu nie powiesz mi dobranoc i sobie nie pójdziesz?
- Chwileczkę... Nie przyjął pan zaproszenia pana Wyatta.
- Wrócę do hotelu i zastanowię się nad tym. Jeśli uznam, że uda mi się to jakoś wcisnąć w mój napięty harmonogram zajęć, to go powiadomię. No wiesz, przez telefon - oznajmił Emmett, odchodząc.

Renny wyglądał na wystraszonego.

- Pan Wyatt będzie naprawdę rozczarowany, jeśli nie przyjdzie pan na kolację, sir.
- Dobry stary Mercer. Jak zawsze sentymentalny. Renny odchrząknął.
- Jeszcze jedno. Mam panu powiedzieć, że jeśli przyjmie pan zaproszenie pana Wyatta, to może będzie mógł panu pomóc w sprawie, która sprowadziła pana do Kadencji.

Emmett zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

- Naprawdę?
- Tak, sir.

Emmett zastanawiał się nad tym przez chwilę: dobiecie targu z Mercerem Wyattem to zdecydowanie ryzykowny interes. Ale jeśli ma oznaczać pomoc Gildii, pewnie warto to zrobić.

Renny niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

- Przekaż Wyattowi, że zadzwonię do niego rano - powiedział Emmett.

Renny zamrugął.

- To znaczy, że nie przyjmie pan teraz zaproszenia?
- Nie. Muszę to sobie przemyśleć. - Emmett znów się odwrócił.

Rozdział 5

Lydia nie była pewna, co ją obudziło. Może to Futrzak wiercił się w nogach łóżka? Leżała bez ruchu. Natężyła wszystkie zmysły.

Nie mogła tego pomylić z czymkolwiek innym. W powietrzu wokół niej wibrowała aura energii psi.

- Cholera. - Doskonale знаła to drażniące łaskotanie. - Futrzak, nie ruszaj się!

Kurzak mruknął cicho. Właściwie nie mruknął, a raczej sycząco warknął. Lydia ostrożnie usiadła, szybko szukając w cieniach tego, o czym wiedziała, że musi się w nich kryć.

W sypialni nie było bardzo ciemno. Po Zaginionym Weekendzie zmieniła wiele swoich nawyków. W łazience obok paliło się teraz światło. Poza tym nie zaszuwała na noc zasłon, by do pokoju mogły wpadać słabe światło latarni ulicznych i poświata księżyca. Wprowadziła też inne zmiany. Spała w jednej ze swoich bursztynowych bransoletek, a jeszcze pół tuzina było porozrzucanych w różnych miejscach mieszkania.

Czterdzieści osiem godzin w katakumbach odcisnęło na niej swoje piętno.

Najpierw zobaczyła oczy Futrzaka - drugą parę. Tę, której używał do polowań. Błyszczały ognistym złotem w półmroku pokoju. Futrzak wyraźnie się niepokoił. A to oznaczało, że ona zareagowała odpowiednio.

Omiotła wzrokiem sypialnię, szukając charakterystycznej poświaty.

Nic.

Szept energii znów przemknął w powietrzu. Lydia się skupiła. Nie miała żadnych wątpliwości. Do jej sypialni wdarł się duch, ale jeszcze nie zdążył się zmaterializować.

- Lekkie mrowienie. Jest mały, Futrzaku. Oczywiście, że to mały duch, pomyślała, desperacko

próbując dodać otuchy sobie i kurzakowi. Tutaj, w Starych Dzielnicach, energia psi swobodnie wyciekała z niewidzialnych szczelin Wymarłego Miasta. Nawet silny łowca duchów, gdy nie znajdował się w katakumbach, potrafił przyzwać zaledwie drobne znaki obecności energii dysonansu.

Wnioski nasuwały się same. Jeśli w pobliżu był duch, to gdzieś niedaleko musiał być także łowca duchów. Niestabilne Znaki Obecności Energii Dysonansu nie pojawiały się same z siebie poza katakumbami. I tylko łowcy umieli kontrolować energetyczne duchy.

Na balkonie za jej oknem poruszył się jakiś cień. Lydia szybko odwróciła głowę, ale kątem oka zdążyła dostrzec czyjaś sylwetkę.

- Zboczeniec! - krzyknęła. Cień zniknął.

Miała wielką ochotę go ścigać, ale najpierw musiała sobie poradzić z duchem. Nawet niewielkie NiZOED-y wyrządzały poważne szkody.

Odsunęła na bok kołdrę, wstała i zdjęła z niej Futrzaka. Nie rozluźnił się na jej rękach. Jego oczy do polowania błyszczały w półmroku niczym płomyki, drobne ciało drżało. Przez chwilę Lydia widziała kły. Zwierzątko wpatrywało się w przestrzeń nad jej poduszką.

Duch zaczął się materializować. Jaskrawozielona energia pulsowała chaotycznie. Lydia cofnęła się do drzwi. Futrzak syknął.

- Spokojnie. Żadne z nas nie może nic zrobić. Nie wolno nam wchodzić mu w drogę, dopóki się nie ulotni. Naprawdę jest mały. Wątpię, czy przetrwa dłużej niż parę minut.

Idąc powoli w stronę holu, ani przez chwilę nie odwróciła się plecami do ducha. Zielona poświata stawała się z sekundy na sekundę coraz bardziej intensywna.

- Ten sukinsyn na moim balkonie myśli sobie pewnie, że to bardzo zabawne. Jak tylko się dowiem, kto to taki, wydam go policji. Przywoływanie duchów poza Wymarłym Miastem jest nielegalne i wszyscy doskonale o tym wiedzą.

Ale niepotrzebnie się piekliła. Nawet jeśli udałoby jej się dowiedzieć, który z miejscowych osiłków wywinął jej dzisiaj taki podły numer, policja i tak raczej by się w to nie zaangażowała. Najwyżej ktoś skontaktowałby się z władzami Gildii, by donieść o tym incydencie. A Gildia mogła w tej sprawie coś zrobić lub nie.

Futrzak znów syknął. Jego oczy do polowania płonęły coraz jaśniej.

Zielona kula energii nad jej łóżkiem zaczęła się poruszać. Lydia wyraźnie usłyszała cichy trzask, gdy duch zbliżył się do ściany. Poczła niepokój. Nie dostrzegła żadnych oznak świadczących o tym, że duch słabnie. A jeszcze bardziej niepokoiło ją to, że jego ruchy wcale nie wydawały się teraz chaotyczne.

Futrzak wpatrywał się w pulsującą kulę energii nad łóżkiem. Ani razu nie mrugnął. Lydia wiedziała, że żadne z nich nic nie może zrobić, jedynie próbować nie wchodzić duchowi w drogę i mieć nadzieję, że nie wyrządzi żadnych poważnych szkód. Tylko pararezonator energii dysonansu -łowca duchów - potrafił je przywoływać, a także unieszkodliwiać.

Małe pulsujące zielenią widmo dotykało już niemal ściany nad łóżkiem. Lydia patrzyła na to sfrustrowana.

Po chwili poczuła zapach przypalonej farby.

- Moja ściana! - Odwróciła się na pięcie i wbiegła do holu, ledwie omijając mały stolik, który postawiła tam, bo nigdzie indziej nie miała na niego miejsca.

Wpadła do kuchni, posadziła Futrzaka na barze, otworzyła małe drzwiczki pod zlewem, chwyciła domową gaśnicę i pędem ruszyła z powrotem do sypialni.

Futrzak dzielnie sturlał się z baru i podreptał za nią.

- Zaraz zniknie - uspokajała go. - Musi zniknąć. Tutaj, za murami, nie przetrwa długo.

Nim dobiegła do drzwi sypialni, znów poczuła swąd palonej farby. Gdy wpadła do środka, zdążyła tylko zobaczyć, jak niesamowita zielona poświata gaśnie i znika.

- Już go nie ma. - Odetchnęła z ulgą. - Mówiłam ci, że zaraz zniknie, Futrzaku.

Śwąd zwęglonej farby był nieprzyjemnie intensywny. Lydia po omacku odnalazła włącznik światła, nacisnęła go... i jęknęła. Na jeszcze niedawno nieskazitelnie białej powierzchni ściany duch pozostawił ślady spalenizny.

Gdy tylko bezpośrednie zagrożenie minęło, podbiegła do okna i dostrzegła jakąś postać w ciemnym ubraniu, wspinającą się po sznurowej drabince, która zwisała z dachu. Gdy wściekła na to patrzyła, drabinkę szybko wciągnięto i już jej nie widziała. Szarpnięciem otworzyła okno i się wychyliła.

- Cholerny łobuzie! Kiedyś cię dorwę!

Ale drań uciekł i wiedziała, że szanse na to, by odkryć, kto to taki, są praktycznie żadne.

I właśnie wtedy uświadomiła sobie, jakie to będzie miało konsekwencje. Ostatnio przysporzyła swojemu gospodarzowi tyle kłopotów, że pewnie wykorzysta każdą okazję, by móc jej wypowiedzieć umowę najmu. Zniszczenia powstałe wskutek ognia i dymu bez wątpienia kwalifikowały się jako „umyślne zniszczenie mienia przez lokatora” lub podchodziły pod jakąś inną niejasną klauzulę.

- Jeśli Driffield się o tym dowie, wyrzuci nas stąd, Futrzaku.

Wysiadając ze slidera, Emmett zerknął na bursztynową tarczę swojego zegarka. Dochodziła siódma. Poranne słońce nie przebiło się jeszcze przez grubą warstwę mgły, która ubiegłej nocy nadciągnęła od rzeki.

Przeszedł mały, zatłoczony parking Apartamentów z Widokiem na Wymarłe Miasto, radząc sobie z zepsutą bramką bezpieczeństwa, i ruszył po schodach.

Przed wyjściem z hotelu dzwonił dwa razy, ale Lydia nie odbierała telefonu. Pewnie bierze prysznic, pomyślał. Zastanawiał się, czy nie poczekać, aż zjawi się w pracy, i wtedy z nią porozmawiać, w końcu jednak uznał, że lepiej nie robić tego w muzeum Shrimptona.

Był w połowie obskurnego korytarza prowadzącego do jej drzwi, gdy nasunęło mu się oczywiste wyjaśnienie, dlaczego Lydia nie odbierała dziś rano telefonu. Może spędziła noc poza domem?

Z jakiegoś niejasnego powodu taka ewentualność go drażniła. Lydia była jego konsultantką. To jemu powinna przede wszystkim poświęcać czas nieprzepracowany w muzeum.

Zaczął naciskać dzwonek, ale przypomniał sobie, że nie działa. Jwięc zapukał. Drzwi otworzyły się niespodziewanie szybko. Poczł zapach świeżej farby.

- Przeszedłeś zobaczyć, jak mi zniszczyłeś ścianę, mały palancie? - Lydia szarpnięciem otworzyła drzwi na oścież. - Jeśli myślisz, że nie pójde na policję, bo jesteś dzieciakiem, to... - przerwała. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Pan London!

Przyglądał jej się z prawdziwym zainteresowaniem. Najwyraźniej nie przebrała się jeszcze do pracy u Shrimptona. Miała na sobie starą dzinsową koszulę i znoszone, wytarte dzinsy. Złocistorude włosy podtrzymywała szeroka, niebieska opaska, podkreślająca wyraziste rysy jej twarzy. W lewej ręce trzymała pędzel.

Kurzak siedział wygodnie na jej ramieniu; wyglądał jak brudny kłębuszek bawełny. Patrzył na Emmetta i jego niebieskie oczy mrugały niewinnie.

- Mały palancie? - powtórzył uprzejmie Emmett. Purpurowy rumieniec zapłonął na szyi Lydii i rozlał się po jej policzkach.

- Przepraszam za to powitanie - odparła szorstko. - Spodziewałam się... kogoś innego. Spojrzał na pędzel w jej ręce.

- To znaczy, że nie wybiera się dziś pani do pracy w muzeum?

- Chciałabym. - Zmarszczyła nos. - Niestety, zostały mi niecałe dwie godziny, żeby skończyć malowanie ściany w sypialni, przebrać się i dotrzeć do Domu Prawdziwej Grozy. Proszę posłuchać. Wiem, że przyszedł pan tutaj, by się pan dowiedzieć, co nowego w sprawie poszukiwań pańskiej rodzinnej pamiątki, ale naprawdę nie mam teraz czasu na rozmowę.

- Widzę. A mogę spytać, dlaczego nie poczekała pani z tymi poważnymi pracami remontowymi do weekendu?

- Nie miałam dużego wyboru. Jakiś niedoszły łowca duchów z okolicy złożył mi w nocy wizytę. Wyciął mi wyjątkowo paskudny numer.

Emmett, nie czekając na zaproszenie, wszedł do niewielkiego holu.

- Jaki numer?

- Udało mu się przywołać małego ducha. Zmaterializował się w mojej sypialni. Nie wiem, czy chciał wyrządzić szkody, czy może wyrwał mu się spod kontroli. Tak czy inaczej, moja ściana wygląda, jakby ktoś sobie zrobił z niej grilla. Jeśli mój gospodarz się o tym dowie, na pewno spróbuje wykorzystać to jako pretekst, żeby wypowiedzieć mi umowę najmu.

- Pomogę pani - zaproponował Emmett.

- Słucham?

Jej zdumienie go rozbawiło.

- Umiem pomalować ścianę.

- Och! - Spojrzała niepewnie w głąb holu. - To bardzo miło z pana strony, że oferuje mi pan pomoc, ale...

- Proszę mi to dać. - Wyjął pędzel z jej dłoni i ruszył do sypialni.

- Niech pan zaczeka. - Pobiegła za nim. - Zniszczy pan tę elegancką marynarkę. Musiała kosztować fortunę. Nie stać mnie, by ją panu odkupić.

- Proszę się nie przejmować marynarką. - Zatrzymał się w drzwiach sypialni i się rozejrzył. Wprosił się do środka, chciał zobaczyć ślady zniszczeń zostawione przez ducha. Dzieciak z sąsiedztwa czy nie, fakt, że jego nowej konsultantce złożono „wizytę” w niecałe dwadzieścia cztery godziny, odkąd zaczęła dla niego pracować, sprawił, że w jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe.

Choć przyszedł tu obejrzeć ścianę, od razu jego uwagę przykuło nieposłane łóżko. W splątanym białym prześcieradle i pogniecionej kołdrze było coś bardzo intymnego. Lydia spała tutaj tej nocy. I wszystko wskazywało na to, że spała sama. Poczul ten sam dreszcz erotycznego napięcia, który przeszył go poprzedniego ranka, gdy rozmawiał z nią w muzeum Shrimptona, tyle że intensywniejszy. Zastanawiał się, jakie komplikacje mogą z tego wyniknąć.

Lydia pojawiła się w drzwiach za nim. Zmusił się, by skupić uwagę na zniszczonej ścianie. Łóżko zostało od niej odsunięte. Na podłodze leżało rozpostarte prześcieradło, służące za prowizoryczną plandekę, a na nim stało wiaderko z białą farbą. Obok piętrzyła się sterta szmat.

Emmett przyjrzał się śladom dymu na ścianie. Trzy faliste linie. Poczul ucisk w żołądku.

- Mamy problem - oznajmił.

- Wiem, że mam problem. Ten problem nazywa się Driffield. Ale jak pan widzi, już prawie uporałam się z tą ścianą. Jeśli tylko mnie pan przepuści...

Emmett pokręcił głową, wciąż wpatrując się w ślady spalenizny.

- Pani gospodarz nie jest w tej chwili pani największym problemem.

- O czym pan mówi?

Nie odpowiedział od razu. Cholera, może się mylę, pomyślał. Może poniosła mnie wyobraźnia. Może to, co się stało, stało się przypadkiem.

Powoli wszedł do pokoju, przyglądając się przypalonej farbie. Im dłużej patrzył, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że jego pierwsza reakcja była właściwa. Takich chaotycznych śladów nie pozostawił niewielki duch, który wyrwał się spod kontroli. Ktoś, kto to zrobił, zrobił to byle jak, ale Emmett potrafił odtworzyć wzorzec. Tych trzech falistych linii nie mógł z niczym innym pomylić.

- Tego nie zrobił jakiś dzieciak z sąsiedztwa - stwierdził.

- Niech pan nie będzie taki pewny. Mamy tu w okolicy parę młodych talentów. Będą z nich naprawdę silni łowcy. I wszyscy wyrosną na bandziorów. Już teraz aż ich świerzbi, żeby dołączyć do Gildii.

- Wszystko jedno, jak będą silni. Te ślady spalenizny pozostawiono świadomie. To nie są jakies przypadkowe zniszczenia. Ktokolwiek przywołał tego ducha, miał go całkowicie pod kontrolą. Żadnego niewyszkolonego pa-rarezonera energii dysonansu nie stać by było na taki stopień precyzji w manipulowaniu dzikim duchem.

Patrzyła na niego zaniepokojona.

- Naprawdę pan tak sądzi?

- Tak - odparł Emmett bardzo cicho. - Naprawdę tak sędzę. Musimy porozmawiać.

Przez długą chwilę badawczo mu się przyglądała.

- Uważa pan, że to ma coś wspólnego z pańskim zaginionym sekretarzykiem, tak?

- Tak.

Zawahała się.

- W porządku, porozmawiamy. Ale kiedy indziej. Teraz muszę skończyć malować tę ścianę, a potem iść do pracy.

Wyrwała mu pędzel z ręki, wyminęła go i podeszła do ściany.

W pierwszym momencie chciał znów jej go odebrać, ale oparł się pokusie. Może pomylił się co do jej relacji z Chesterem Bradym. I niewykluczone, że w innych sprawach też się mylił. Wciąż improwizował. Wciąż wymyślał coś na poczekaniu. Tak wiele zależało od tego, czy uderzy we właściwy ton.

- Zabiorę panią dziś na kolację. Wtedy porozmawiamy.

Zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy? Czyżby od wczoraj coś się zmieniło? Spojrzał na wzór wypalony w jej ścianie.

- Może tak, a może nie. Popatrzyła na niego chłodno.

- Chyba powinnam panu przypomnieć, panie London, że podpisaliśmy umowę.

- Zdaję sobie z tego sprawę, pani Smith. Jak już powiedziałem, zapraszam panią dziś na kolację. A tymczasem niech pani nie szuka mojego sekretarzyka.

W jej oczach błysnął niepokój.

- Dlaczego?

- Teraz nie ma czasu, żeby o tym mówić.

- Cholera. Chwilę - w jej głosie nagle zabrzmiała złość. - Zamierzałam dziś porozmawiać z trzema właścicielami lombardów.

- Proszę o tym zapomnieć.

- Ale...

Stanął naprzeciwko niej.

- To polecenie, pani Smith. Nie chcę, żeby prowadziła pani jakiegokolwiek dalsze poszukiwania mojego sekretarzyka, dopóki nie omówimy tej kwestii dziś wieczorem. Czy to jasne?

Gdy używał tego tonu, większość ludzi się wycofywała. Lydia zacisnęła mocniej zęby, ale nie ustąpiła.

- Nie - odparta. - To nie jest jasne.

- Wyjaśnijmy coś sobie. Jestem klientem. Informuję panią, że nie zapłacę pani ani centa, jeśli nadal będzie się pani kontaktowała z handlarzami w sprawie mojego sekretarzyka.

- Przecież zawarliśmy umowę - zaprotestowała.

- Niech pani pomaluje tę ścianę, pani Smith. Przyjadę po panią dziś o siódmej.

Rozdział 6

Kim więc jest ten facet, z którym dziś wychodzisz? -Zane Hoyt wyjął sobie puszkę kurtyn-coli z małej lodówki Lydii. - To ktoś, kogo poznałaś w muzeum?

- Tak jakby. To mój nowy klient. - Lydia zerknęła w lustro wiszące w holu i poprawiła złoty kolczyk w uchu. - To spotkanie biznesowe, a nie randka.

- Ale nuda.

Cokolwiek by można powiedzieć o Emmecie Londonie, pomyślała Lydia, z całą pewnością nie jest nudny. Przechwyciła w lustrze spojrzenie Zane'a i się uśmiechnęła.

Zane właśnie skończył trzynaście lat. Miał ciemne włosy i ciemne oczy, był szczupły, pełen energii i akurat wchodził w ten trudny okres, kiedy konieczna jest męska ręka. Niestety, w jego otoczeniu nie było żadnego dorosłego mężczyzny. Jego ojciec, łowca duchów, zginął przed kilkoma laty w katakumbach. Krótco potem matka zabiła się, prowadząc po pijanemu samochód. Zane'a wychowywała ciotka Olinda Hoyt. Mieszkali niżej, na trzecim piętrze.

Większość tak zwanych przyjaciół i kolegów Lydii z uniwersytetu zniknęła z jej życia po incydencie podczas Zaginionego Weekendu. Zane i Olinda zaprzyjaźnili się z nią w czasie, kiedy bardzo potrzebowała kogoś bliskiego. Była im za to naprawdę wdzięczna.

- Najważniejsze, że pan London zapłaci mi grube pieniądze, jeśli pomogę mu znaleźć zaginioną rodzinną pamiątkę - powiedziała.

- Hm. I tak nuda. - Zane przerwał i spojrzał na nią z nadzieją. - Chyba że chodzi o coś z katakumb?

- Nie. To antyk ze Starej Ziemi.

- Po co zawracasz sobie głowę jakimiś rzeczami ze Starej Ziemi? Myślałem, że chcesz wrócić w podziemia.

- Bo chcę. Ale zanim zacznę przyciągać tego typu klientów, muszę wyrobić sobie dobrą opinię jako prywatna konsultantka. A to znaczy, że muszę podjąć się każdej pracy, jaką dostanę.

- No tak. - Zane pociągnął łyk coli i zmarszczył nos. - Czyli mogę się dziś wieczorem tutaj pouczyć z Futrzakiem, kiedy ciebie nie będzie?

- Jasne. - Wszystko, bylebyś tylko chciał się uczyć, pomyślała Lydia. - Futrzak lubi towarzystwo.

Zane zapowiadał się na silnego pararezonera energii dysonansu. Jeśli ktoś nie popchnie go zdecydowanie na inną drogę, wiadomo, jak zawodowo potoczą się jego losy. Gdy tylko skończy osiemnaście lat, dołączy do Gildii i zostanie łowcą duchów. A co gorsza, bardzo kręcił go obraz samego siebie ubranego w skóry i moro.

Lydia robiła wszystko, co w jej mocy, by go zniechęcić. Według niej, łowcy duchów byli w najlepszym wypadku kimś trochę lepszym niż dobrze opłacanymi ochroniarzami. I to ochroniarzami, na których w potrzebie nie można polegać, jak przekonała się sama sześć miesięcy temu. W najgorszym wypadku zostawali gangsterami.

Zane był zbyt bystry, by marnować życie w takim ślepym zaułku, zbyt bystry jak na zwykłego mięśniaka. Może nie uda jej się powstrzymać go od bycia łowcą duchów w wolnych thwilach, ale jedno wiedziała na pewno: że powinien skończyć koledz i zdobyć jakiś porządny zawód.

Usiadła na krześle naprzeciwko niego.

- Zane, zanim zjawi się tutaj pan London, chciałabym cię o coś zapytać. Naprawdę na poważnie, dobrze? Więc proszę, nie drocz się ze mną.

- Coś nie tak? - Spojrzał na nią trochę zdziwiony.

- Prawdopodobnie. W nocy ktoś przywołał ducha i posłał go do mojej sypialni, żeby mnie przestraszyć. Dziś w pracy dostałam dziwny telefon. Myślę, że to musi być ktoś z sąsiedztwa. Domyślasz się kto?

Zane zakrztusił się colą.

- Bez jaj! Żaden z chłopaków, z którymi się kumpluję, nie jest jeszcze na tyle silny, żeby przywołać ducha.

- A może to któryś ze starszych chłopaków? Derrick albo Rich?

Zane się zastanowił. Znów łyknął coli.

- Rany, Lyd, pojęcia nie mam! Raczej nie. Może to ktoś nowy w tej okolicy?

- Obawiałam się, że tak właśnie powiesz - mruknęła Lydia.

- Wielu chłopaków pewnie by ci oświadczyło, że potrafią to robić. Ale nie wierz im. Lubią się obwieszać bursztynem, nigdy jednak nie widziałem, żeby któryś z nich zrobił coś więcej, niż wykrzesał kilka iskier. - Zane przyglądał jej się uważnie. - Jesteś przekonana, że to nie było to? Parę iskierek?

- Całkowicie przekonana. - Lydia wiedziała, że Zane i jego kumple używają słowa „iskierki”, by opisać niewielkie, nieszkodliwe strzępki energii, zbyt małe, by nazywać je prawdziwymi duchami. Zwykle potrafiły przetrwać zaledwie parę sekund, a potem zaraz gasły. Były zbyt małe i zbyt słabe, by nimi manipulować. Nawet najmłodszy i najsłabszy łowca umieli przywoływać iskiereki, nim wkroczyli w okres dojrzwania.

- Według ciebie to był prawdziwy duch? - Zane patrzył na nią z powątpiewaniem.

- Możesz mi wierzyć, Zane. Jeśli istnieje coś, co natychmiast rozpoznaję, to tym czymś jest prawdziwy duch.

- No tak, jasne - powiedział o wiele za szybko. - Wierzę ci, Lyd.

Dostrzegła jednak troskę w jego spojrzeniu i wiedziała, co sobie pomyślał. Zane był jej przyjacielem i wiernym obrońcą, lecz w głębi serca on również się martwił, że to, co przeżyła w katakumbach podczas Zaginionego Weekendu, pozostawiło głęboki ślad w jej psychice.

Dopóki nie wróci pod ziemię i nie rozbroi paru pułapek, nie udowodni ani sobie, ani nikomu innemu, że nie załamie się pod presją.

Nim zdążyła bardziej przycisnąć Zane'a, ktoś zapukał do drzwi.

- Przyszła atrakcja mojego wieczoru! - zawołała i zaczęła wstawać.

Ale Zane już zerwał się z sofj i ruszył w stronę drzwi.

- Ja otworzę!

Teatralnym gestem otworzył drzwi. Nastąpiła długa chwila ciszy, gdy mężczyzna i chłopiec przyglądali się sobie badawczo.

- Dobry wieczór - odezwał się Emmett. - Przyszedłem po Lydię.

Zane uśmiechnął się szeroko.

- Cześć. Jestem przyjacielem Lydii. Nazywam się Zane. Zane Hoyt.

- Miło cię poznać, Zane. Jestem Emmett London. -Spojrzał na wielki kawał bursztynu wiszący na szyi chłopca. - Niezły naszyjnik.

- Dzięki. Jestem pararezonorem energii dysonansu. Jak skończę osiemnaście lat, dołączę do Gildii i zostanę łowcą duchów.

- Naprawdę? - spytał uprzejmie Emmett. Lydia zmarszczyła brwi.

- Zane, masz dopiero trzynaście lat. Zanim skończysz osiemnaście, jeszcze z tysiąc razy zmienisz zdanie, co chcesz w życiu robić.

- Wykluczone - odparł z absolutnym przekonaniem Zane. Skrzywił się, patrząc na Emmetta.

- Lydia nie przepada za łowcami duchów. Wie pan, parę miesięcy temu doświadczyła z nimi czegoś niedobrego i obwinia...

- Wystarczy, Zane - szybko przerwała mu Lydia. -Jestem pewna, że pan London zarezerwował stół w restauracji. Lepiej już chodźmy.

- No tak, jasne - powiedział Zane. Popatrzył na Emmetta z zaborczym błyskiem w oku. - Lyd jest gotowa, panie London. Świetnie wygląda, prawda?

Emmett obrzucił Lydię oceniającym spojrzeniem. W jego oczach również pojawił się błysk. Lydia dostrzegła w nich rozbawienie. Wydało jej się jednak, że zauważa coś jeszcze. Podziw mężczyzny. Nie wiedzieć czemu nagle zrobiło jej się gorąco.

Nie zaczerwieniła się. Nie, to niemożliwe, żeby się zaczerwieniła. To przecież tylko spotkanie biznesowe.

Może powinna była włożyć swój biznesowy kostium zamiast tej obcisłej, błękitnej wieczorowej sukni? Kupiła ją tuż przed tą katastrofą w katakumbach, wkrótce po tym, jak zaczęła się spotykać z Ryanem Kelsem. Jednak parę tygodni po Zaginionym Weekendzie Ryan gładko wycofał się z jej życia i nigdy nie miała okazji włożyć tej sukni.

Gdy wyciągnęła ją z najgłębszych zakamarków szafy, gdzie od ponad sześciu miesięcy wisiała nienoszona, wydawało jej się, że to dyskretny strój na biznesową kolację. Z długimi rękawami i płytkim dekoltem wyglądała niemal pruderyjnie. A przynajmniej sobie to wmawiała. I nagle nie była już tego taka pewna.

- Owszem - stwierdził Emmett. - Wygląda bardzo ładnie.

Ładnie? Co miało oznaczać to „ładnie”? - zastanawiała się. Spojrzała na jego swobodną, niezobowiązującą czarną kurtkę, czarny T-shirt i czarne spodnie. Zdecydowanie nie wygląda ładnie, pomyślała. Niebezpiecznie, seksownie, intrygująco, ale nie... ładnie.

Odkasznęła.

- Lepiej już chodźmy. Zane, możesz tutaj zostać, odrobić pracę domową i dotrzymać towarzystwa Futrzakowi, a potem wrócić do siebie. Ale nie oglądaj reżowizji. Zrozumiano? Zane się skrzywił.

- Rany, Lyd! Nie mam aż tyle pracy domowej, żeby ją odrabiać przez cały wieczór.

- Jeśli jakimś cudem skończysz wcześniej, możesz poczytać sobie książkę, nim pójdziesz do domu - odparła okrutnie.

Chłopiec jęknął.

- Okej, okej. Żadnej reżowizji. - Przerwał i się zamyślił. - W takim razie może lody?

Lydia uśmiechnęła się szeroko.

- Jasne. Pod warunkiem że zostawisz trochę dla mnie.

- Pewnie. - Zane machnął jej szarmancko. - Baw się dobrze!

Lydia mocno ścisnęła swoją torebkę i wyszła na korytarz. Gdy Zane z hukiem zamknął za nią drzwi, nagle zdała sobie sprawę, że została sama z Emmettem. Bez słowa ruszyła u jego boku w stronę klatki schodowej.

- Od dawna zna pani tego chłopca? - spytał, gdy zaczęli schodzić na czwarte piętro.
 - Poznałam Zane'a i jego ciotkę tuż po tym, jak się tutaj wprowadziłam. Olinda i on byli dla mnie bardzo dobrzy, kiedy... no cóż, kiedy bardzo potrzebowałam przyjaciół.
 - Olinda to jego ciotka?
 - Tak. - Lydia weszła do windy. - Jest naprawdę w porządku. Taka dobra dusza. Prowadzi Kwarcową Kafekę niedaleko stąd. Ale obawiam się, że ma pewne plany wobec Zane'a i nie obejmują one koledżu.
 - Jakie plany?
 - Olinda wcale nie ukrywa, że nie może się już doczekać, kiedy Zane będzie pełnoletni i dołączy do Gildii, by zostać łowcą duchów. Wie pan, dobry łowca często świetnie zarabia.
 - Tak, słyszałem. Lydia się skrzywiła.
 - Niestety, Zane wykazuje wszelkie oznaki tego, że będzie z niego potężny pararezonator energii dysonansu.
 - Innymi słowy, dobra stara ciotka Olinda myśli, że gdy tylko wepchnie Zane'a do Gildii, on znacznie podreperuje ich domowy budżet?
 - Otóż to. - Lydia zerknęła na niego. - Proszę mnie źle nie zrozumieć. Bardzo lubię Olinę, ale prowadzimy ze sobą wojnę podjazdową. Walczę o to, aby Zane rozpoczął naukę w koledżu, jeszcze zanim zdecyduje, że zostanie łowcą duchów. Olinda chce, by wstąpił do Gildii, gdy tylko skończy osiemnaście lat.
 - Rozumiem.
 - Staję na głowie, żeby go zniechęcić i pohamować te jego fantazje o byciu łowcą. Ale nie za bardzo mi to wychodzi. Tak łatwo jest zrobić wrażenie na młodych mężczyznach. Ten cały styl macho naprawdę ich pociąga, zwłaszcza gdy są w wieku Zane'a.
- Kiedy wyszli z klatki schodowej i przeszli na parking, Emmett spojrzał na nią zagadkowo.
- Nie da się zignorować faktu, że jest się pararezo-nerem energii rezonansu. Wcześniej czy później Zane będzie musiał skonfrontować się z tą stroną swojej natury. Nieważne, jak bardzo by próbował, i tak nie uda mu się zaprzeczyć istnieniu jego talentu.
- Jego chłodna logika ją rozdrażniła.

- Zane to bystry dzieciak. Mógłby zostać lekarzem, profesorem czy artystą. Nie mówię, że nie powinien na boku ćwiczyć swojego talentu, nie chcę jednak, żeby został kolejnym świetnie płatnym, przecenianym ochroniarzem.
- Zdaję sobie sprawę, że niezbyt pani ceni ten zawód, ale ochroniarze czasami się przydają.
- Hm. Można mieć na ten temat różne zdania. Przystanął przy ciemnoszarym sliderze i otworzył jej drzwi od strony pasażera.
- Jeśli miałaby pani nadal być moją konsultantką, mogłaby pani potrzebować ochroniarza. Znieruchomiła z jedną nogą w samochodzie.
- O czym pan mówi?
- Obawiam się, że będę musiał panią zwolnić.
- Zaprasza mnie pan na kolację, żeby mi powiedzieć, że chce pan zerwać naszą umowę? - zawołała z niedowierzaniem, szczerze oburzona.
- Dobrze to pani podsumowała. Te ślady spalenizny na ścianie zmieniły wszystko, Lydio. Z tą pracą wiąże się coś, o czym pani nie wspomniałem.

Rozdział 7

^V^ybrat restaurację z pomocą recepcjonisty ze swojego hotelu.

- Chodzi mi o miejsce, gdzie przychodzą ludzie z uniwersytetu; rozumie pan, wykładowcy, a nie studenci.
- Proszę się nie martwić, sir. Znam doskonałą restaurację. To miły mały lokal, nazywa się Kontrapunkt. Specjalizuje się w kuchni Nowej Fali. Mają doskonały wybór win. To bardzo popularny lokal wśród wykładowców.

Lydia nie odezwała się nawet słowem, idąc za szefem restauracji w stronę stolika przy oknie. Emmett wiedział, że aż się w niej gotuje. Jednak wyraz jej twarzy wskazywał, że poznaje to miejsce. Zanotował sobie w pamięci, by dać napiwek recepcjoniście. Trafił w dziesiątkę z tym lokalem.

Emmett przyjrzał się pomieszczeniu, oceniając wypolerowane drewniane podłogi, intymne oświetlenie oraz kelnerów odzianych w czerń i biel. W ostatnich latach wreszcie pojął, na czym polega swobodna elegancja. Potrafił ją dostrzec, a Kontrapunkt zdecydowanie był jej

doskonałym przykładem. Podawano tu dużo różnych makaronów oraz bardzo wyszukane, artystyczne dania z malutkimi warzywami.

Lydia zdołała opanować się do chwili, gdy kelner przyjął zamówienie. Potem oparła ręce na stoliku, zmrużyła oczy i spojrzała na Londona znad płonącej świecy.

- W porządku, niech pan mówi - odezwała się. - O co chodzi z tym zwalnianiem mnie?

Długo zastanawiał się, jak jej to wyjaśnić. W końcu postanowił, że najlepiej, jeśli jego wyjaśnienia będą przynajmniej bliskie prawdy. Nie potrafił wymyślić żadnego innego sposobu, by ją przekonać, że ona nie chce tej pracy.

- Mówiłem pani, że przyjechałem do Kadencji w poszukiwaniu rodzinnej pamiątki, skradzionej z moich zbiorów - zaczął.

Lydia nerwowo stuknęła koniuszkami palców o blat stołu.

- Chce mi pan powiedzieć, że zmyślił pan historyjkę o zaginionym sekretarzyku osobliwości?

- Nie, nie zmyśliłem. Nie wspomniałem natomiast o tym, że zabrał ją mój siostrzeniec, Quinn.

Lydia zamrugnęła.

- Pański siostrzeniec?

- Dzieciak mojej siostry... - Emmett przerwał na chwilę i nad czymś się zastanawiał. - W zeszłym miesiącu skończył osiemnaście lat.

- Nie rozumiem. Ukradł rodzinną pamiątkę?

- Wątpię, czy on sam też się tak na to zapatruje.

- A jak inaczej można się na to zapatrywać?

- Formalnie rzecz biorąc, zastawił ją w lombardzie, a kopię pokwitowania wrzucił do mojej poczty. Twierdził, że tak na wszelki wypadek.

- Na jaki wszelki wypadek?

- Lepiej zacznę od samego początku. Parę miesięcy temu Quinn znalazł sobie nową dziewczynę, Sylvie.

Moja siostra i jej mąż tego nie akceptowali. Koniec końców Sylvia wyjechała tutaj, do Kadencji, najwyraźniej w poszukiwaniu pracy. Quinn pojechał za nią. Lydia zmarszczyła brwi.

- Jakiej pracy?

- Nie wiem. Quinn mówił mi, że jest dość silną pa-rarezonerką energii efemerycznej. Marzyła o tym, by znaleźć pracę w dziedzinie paraarcheologii. Nie jest jednak przyuczona do tego zawodu i nie posiada certyfikatu. Niestety, dysponuje dość ograniczonymi środkami. Nie

ma żadnej rodziny. Kiedy Quinn ją poznał, ledwie udawało jej się jakoś utrzymać dzięki pracy kelnerki.

- No dobrze. Przyjechała tu, do Kadencji, a za nią zjawił się Quinn. Z pańskim sekretarzykiem.

- Zgadza się. I zniknął. Od dwóch tygodni nie daje znaku życia. Moja siostra odchodzi od zmysłów. Jej mąż też się martwi.

Lydia przyjrzała mu się uważnie.

- Postanowił pan więc, że przyjedzie pan poszukać go tutaj?

- Tak. O ile wiem, sprzedał sekretarzyk handlarzowi ze Starych Dzielnic i wynajął za te pieniądze pokój w hotelu. Spędził tam jednak tylko dwie noce, a potem po prostu zniknął.

Lydia się zamyśliła.

- A co z handlarzem, któremu sprzedał sekretarzyk? Rozmawiał pan z nim?

- Poszedłem do jego sklepu, ale go nie zastałem. Sekretarzyka również nie było.

Wbiła w niego wzrok; w jej oczach błysnęło zrozumienie.

- Sugeruje pan, że to Chester był tym handlarzem, który kupił sekretarzyk od Quinna?

- Tak. - Obserwował jej twarz. - Gdy tam przyjechałem, jego sklep był zamknięty. Mimo wszystko wszedłem, żeby się rozejrzeć.

- Włamał się pan do jego sklepu?

- Nie chciałem marnować czasu.

- Wielkie nieba!

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki.

- Nie znalazłem sekretarzyka ani żadnej wskazówki, kto mógł go odkupić od Brady'ego, za to znalazłem to.

Wyjął z kieszeni zdjęcie, które znalazł u Brady'ego, przypięte na ścianie nad sklepową ladą.

Położył je na stole przed Lydią.

Przedstawiało kobietę o płomiennie rudych włosach; siedziała przy stoliku w jakimś lokalu, wyglądającym na dość obskurny klub nocny. Uśmiechała się smutno do obiektywu. Obok niej siedział wazeliniański, mały człowieczek, z przylizanymi, zaczesanymi do tyłu włosami, ubrany w tandetną sportową kurtkę. Uśmiechał się od ucha do ucha.

Lydia zerknęła na fotografię i natychmiast podniosła wzrok. Jej oczy pociemniały.

- To Chester i ja. W Łoży Surrealistycznej. Obchodziliśmy moje ostatnie urodziny. Zawsze, kiedy tam byliśmy, prosił kogoś, żeby zrobił nam zdjęcie. To był jego drugi dom.

- Skoro nie mogłem namierzyć Brady'ego, postanowiłem poszukać pani. - Emmett wziął zdjęcie i wsunął je do kieszeni. - Nietrudno było panią znaleźć. Jednak zaraz po tym, jak panią namierzyłem, odnalazł się Brady. Martwy, w sarkofagu.

Poczerwieniała z gniewu.

- Mój Boże, to wszystko było tylko ścierną! Od samego początku, prawda? Szukał mnie pan, bo myślał, że coś mnie łączy z Chesterem. Udawał pan klienta, ale przez cały czas wydawało się panu, że podsunę jakiś trop prowadzący do pańskiego zaginionego sekretarzyka i siostrzeńca.

- Nie miałem wielkiego wyboru - powiedział cicho.

- Wiedziałaś.

- Co pani wiedziała?

Jej drobna dłoń na białym obrusie zacisnęła się w pięść.

- Naprawdę, to było zbyt wspaniałe, żeby być prawdziwe.

Wzruszył ramionami. Milczał.

- Dlaczego postanowił pan zakończyć tę maskaradę dziś wieczorem? - spytała ostro.

- Z powodu tych śladów spalenizny, które pozostawił duch na ścianie w pani sypialni.

Zdumienie nieco złagodziło jej wściekłość.

- A cóż to ma wspólnego z...

Przerwała, bo do stolika podszedł kelner z przystawkami. Emmett spojrzał na postawione przed nim danie. W menu figurowało jako Krewetki w Harmonii Trójdzielnej.

Żadna z trzech doskonale ugotowanych krewetek, ułożonych na cienko pokrojonych rzodkiewkach, nie wyglądała tak, jakby śpiewała, ani w harmonii trójdzielnej, ani w żaden inny sposób. Ale postanowił nie robić z tego problemu. Kuchnia Nowej Fali to stan umysłu, upomniął sam siebie.

Gdy tylko kelner odszedł, Lydia niecierpliwie pochyliła się naprzód.

- W porządku, wytłumacz się, London. Co to znaczy, że moja spalona ściana coś zmienia?

- Znaki, które pozostawił duch na twojej ścianie, to nie był jakiś przypadkowy wzór, Lydio. Gdybyś mu się dokładnie przyjrzała, odróżniłabyś trzy faliste linie. Fakt, dość niechlujna robota. Najwyraźniej łowca nie miał pełnej kontroli nad duchem, ale co do tych linii, to jestem pewien.

- No i?

- Myślę, że ktoś próbował zostawić ci wiadomość. Teraz wyglądała na zaniepokojoną.

- Chcesz mi powiedzieć, że rozpoznałeś te trzy faliste linie?

- Tak. - Ugryzł jedną z krewetek. - Widziałem je już wcześniej.

- Gdzie? - Jej głos zdradzał napięcie.

London odłożył widelec, rozpiął kurtkę i wyjął z kieszeni skrawek papieru, który znalazł na biurku Quinna. Bez słowa podał go Lydii.

Wyrwała mu karteczkę z palców, spojrzała na trzy faliste linie, a potem na niego.

- Nie rozumiem.

- Znalazłem ten znak w notesie, który leżał przy telefonie w pokoju Quinna. Przypuszczam, że nakreślił go po rozmowie telefonicznej z Sylvia. Zniknął parę godzin później.

- Wiesz, co oznaczają te linie?

- Nie. Próbuję się tego dowiedzieć. Ale to, że ktoś posłużył się duchem, by wypalić je na twojej ścianie, świadczy, że chyba są ważne. I może niebezpieczne.

Zamyślona stuknęła karteczką w obrus.

- Zapewne świadczy to również o tym, że nie wiem, co się stało z twoim sekretarzykiem i z Quinnem, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Stwierdziłem, że jeśli ktoś ryzykował ostrzeżenie cię za pośrednictwem nielegalnie przywołanego ducha, to prawdopodobnie grozi ci niebezpieczeństwo, bo zaczęłaś zadawać pytania. A skoro musiałaś je zadawać, raczej nie wiesz, gdzie są mój sekretarzyk i mój siostrzeniec.

- No tak, to chyba tłumaczy ten telefon, który dostałam dziś rano w pracy - mruknęła.

- Jaki telefon?

- Myślałam, że to jakiś maniak. - Lekceważąco machnęła ręką. - To był męski głos. Wydaje mi się, że młodego mężczyzny. Nie rozpoznałam go. Facet powiedział tylko: „Nie zadawaj więcej pytań”. I się rozłączył.

- Do diabła, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Przecież przed chwilą ci wyjaśniłam, że myślałam, że to jakiś maniak. To nie miało sensu. Nie powiązałam tego z moim dochodzeniem w sprawie twojego zaginionego sekretarzyka.

- A jakże. Jesteś za bystra, żeby na to nie wpaść.

- W porządku. W porządku - jej głos zdradzał irytację. - Przyznaję, że taka możliwość przyszła mi do głowy, ale bałam się, że jeśli pomyślisz, że coś mi grozi, wylejesz mnie.

- Właśnie to zamierzam zrobić. W tej chwili jest już jasne, że się pomyliłem. Nie byłaś w to zamieszana, dopóki ja cię w to nie wplątałem.

- I uważasz, że możesz mnie z tego wyplątać, wycofując się z naszej umowy? O to chodzi?

- Nie chcę cię w to wciągać, Lydio.

Był przygotowany na tę upartą złość, która płonęła teraz na jej twarzy. Zaskoczyło go jednak coś innego. Desperacja?

- Nawet jeśli masz rację, jest na to za późno - powiedziała szybko. - Rozmawiałam z paroma handlarzami. Wiedzą, że szukam tego sekretarzyka.

- Jutro rano możesz rozgłosić, że twój nowy klient cię zwolnił i już nie szukasz jego rodzinnej pamiątki.

- A dlaczego sądzisz, że to zadziała? Wieść już się rozeszła w środowisku handlarzy antykami. Nie mogę tego tak po prostu cofnąć. Jeśli ktoś wie coś o tym sekretarzyku, skontaktuje się ze mną, niezależnie od tego, czy mnie zwolnisz, czy nie.

- Powiedz swoim informatorom, by kontaktowali się ze mną.

- Ci, którzy mogą wiedzieć coś naprawdę przydatnego, nie będą chcieli rozmawiać bezpośrednio z tobą. - Pochyliła się naprzód. Determinacja wibrowała wokół niej niczym wyczuwalne pole energii. - Znam tych ludzi. Mnie ufają, ale na pewno nie zaufają komuś z zewnątrz. Potrzebujesz mnie, London.

- Nie tak bardzo, żeby narażać cię na ryzyko.

- Nie przeszkadzało ci narażanie mnie, kiedy podejrzewałeś, że mogę być w zмовie z ehesterem.

- To było co innego - mruknął.

- To był bardzo mały duch.

- Nawet te słabe nieraz wywołują bardzo nieprzyjemną reakcję. Mogą cię tak porazić, że stracisz przytomność na piętnaście do dwudziestu minut.

- Omdlenie lub tymczasowy paraliż to powszechne, przejściowe efekty uboczne bezpośredniego kontaktu ze słabym NiZOED-em - odparła sztywno. - Trwałe urazy zdarzają się rzadko.

- To zabrzmiało jak cytata z podręcznika albo z ulotki na izbie przyjęć. A wiesz, co się wtedy naprawdę czuje?

- Owszem. - Spojrzała na niego chłodno. - Wiem, co się wtedy naprawdę czuje. Czujesz się tak, jakby wszystkie twoje zdolności psi zostały rozpalone, doprowadzone do ekstremum. Wszystko jest zbyt jasne, zbyt gorące, zbyt zimne, zbyt ciemne, zbyt głośne. Doznania zalewają cię i tracisz przytomność. Chyba że jesteś bardzo silnym łowcą duchów, wtedy, jak rozumiem, masz na to pewną odporność.

Wciągnął głęboko powietrze.

- W porządku. A więc wiesz, jak to jest.

- Wyjaśnijmy coś sobie. Przez większą część ostatnich czterech lat mojego życia zawodowego pracowałem w Wymarłym Mieście. Niezależnie od tego, jak skuteczni są łowcy w zespole, żaden paraarcheolog nie może pracować tak długo w tej dziedzinie bez napotkania przy tym kilku małych duchów.

Logiką i rozsądkiem zbyt wiele nie zdziałam, pomyślał. Trzeba to zakończyć teraz.

- Chyba pani nie rozumie, pani Smith. Zwalniam panią.

- To pan nie rozumie, panie London. Nie może mnie pan zwolnić. Podpisaliśmy umowę.

- Proszę się nie martwić. Zrekompensuję pani stracony czas.

- Teraz nie chodzi już tylko o pieniądze. Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, niewykluczone, że biedny Chester zginął z powodu pańskiego sekretarzyka... - przerwała nagle.

Zauważył, że patrzy na kogoś zbliżającego się do stolika.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem, Lydio. Zobaczyłem cię z drugiego końca sali i postanowiłem przyjść się przywitać.

Jego głos był swobodny, czysty, męski. Taki głos budzi dobre skojarzenia, pomyślał Emmett. Tak mówi ktoś przyzwyczajony do sali wykładowej. Wykształcony człowiek.

- Witaj, Ryan. - Lydia zmusiła się do chłodnego uśmiechu. - Sporo czasu minęło, prawda? To jest Emmett London. Emmett, to profesor Ryan Kelso, szef Wydziału Paraarcheologii na uniwersytecie... Mój były współpracownik - dokończyła.

I „były” coś więcej niż współpracownik, stwierdził Emmett. Nie uważał się za typa obdarzonego intuicją, ale nawet on nie mógł nie zauważyć tych podskórnych prądów, które nagle zawirowały przy małym stoliku. Gdzieś głęboko w nim wyciągnęła się niepokojąca macka zaborczości. Niedobrze. Nie potrzebował teraz dodatkowych komplikacji.

Wstał powoli, natychmiast dostrzegając najistotniejsze cechy Ryana Kelso. Wysoki, wysportowany, ciemne włosy, szare oczy. Wyraziste rysy twarzy.

Ryan w każdym calu wyglądał na modnie ubranego profesora - brązowy golf, tweedowa marynarka i bio-drówki. Nosił bursztyn w postaci ciężkiej bransoletki na lewej ręce.

Emmett krótko uściskał mu dłoń.

- Miło mi, Kelso.

- Cała przyjemność po mojej stronie, London. Ryan obrzucił Emmetta szybkim, oceniającym spojrzeniem, po czym znów skupił uwagę na Lydii.

- O co chodzi z tą ofiarą morderstwa, którą znaleźli w tym małym, dziwnym miejscu, gdzie teraz pracujesz? Czytałem coś o tym w gazetach.

- Nazywał się Chester Brady - odparła sztywno Lydia. - Wątpię, żebyś go znał.

- Raczej nie. - Kąciki ust Ryana wykrzywiły rozbawienie i pogarda. - W gazetach sugerowano, że był szczurem ruin i prawdopodobnie zabił go jeden z jego współników. A co on robił u Shrimptona? Próbował ukraść jeden z twoich nabytków?

- Chester był moim przyjacielem. I bardzo silnym splataczem - wyjaśniła Lydia lodowatym tonem. - Jednym z najpotężniejszych, jakich znałam. Kto wie, gdyby zapewniono mu porządne wykształcenie, pewnie byłby doskonałym archeologiem. Teraz prawdopodobnie miałby już swoją katedrę na uniwersytecie.

Ryan zbył to śmiechem. Później jego spojrzenie złagodziła troska.

- To musiało być dla ciebie bardzo traumatyczne przeżycie. Znalezienie ciała i cała reszta. Wielki szok po tym, co stało się sześć miesięcy temu...

- Nie wszyscy uważają, że jestem- taka słaba -oświadczyła z przekonaniem Lydia. - Możesz mi wierzyć lub nie, ale detektyw prowadząca tę sprawę umieściła mnie na swojej liście podejrzanych. Widocznie uznała, że doskonale potrafię poradzić sobie ze stresem związanym z zamordowaniem starego przyjaciela i wrzuceniem jego ciała do sarkofagu.

- Uch... - Ryan się zająknął. Najwyraźniej nie umiał przewidzieć, dokąd to wszystko zmierza.

- Muszę przyznać, że odebrałam to niemal jak pochlebstwo - ciągnęła Lydia.

Grała świetnie. Emmett był rozbawiony, stwierdził jednak, że już najwyższa pora, by się wtrącić.

- Policja zawsze przesłuchuje ludzi, którzy znajdują ciało - powiedział swobodnie. - Oczywiście rozmawiali i z Lydią. Mnie też przesłuchiwali. Byłem z nią, gdy znalazła ciało. Ale pani detektyw jasno dała nam do zrozumienia, że nie interesuje się na poważnie żadnym z nas. Oboje mamy alibi.

- Tak,-a niektórzy z nas nawet lepsze alibi niż inni -mruknęła Lydia.

Emmett zignorował to, wciąż skupiony na Rynie.

- Wygląda na to, że Brady miał wielu niezadowolonych znajomych, klientów i współników. Policja myśli, że załatwił go jeden z nich.

- To ma sens. - Ryan chwycił się kurczowo tej możliwości, by zmienić temat. - Tak czy inaczej, cieszę się, że widzę cię w tak świetnej formie, Lydio.

- Niesamowite, prawda? Mimo wszystko udało mi się jednak jakoś nie zwariować. Przynajmniej jak dotąd. Ale bez obawy, nic straconego. Któregoś dnia mogę jeszcze oszaleć. Ryan poczerwieniała.

- Nie powinnaś ganić swoich przyjaciół, że się o ciebie martwią.

- Gdyby moi tak zwani przyjaciele naprawdę się o mnie martwili, dopilnowaliby, bym odzyskała moją starą pracę, kiedy psychiatrzy mnie już wypuścili - odparła przesadnie słodkim tonem.

Nie odpuści, uświadomił sobie Emmett. Zastanawiał się, jak Kelso doszedł do wniosku, że jest zbyt delikatna, by nadal pracować jako archeolog.

Ryanowi udało się przybrać wyraz uprzejmego zdumienia.

- Nie jestem pewien, co sugerujesz, Lydio. Decyzja, żeby... eee... rozwiązać twój kontrakt z uczelnią...

- Znaczy zwolnić mnie.

- Tę decyzję podjęła administracja, a nie wydział -szybko dokończył Ryan. - Wiesz o tym.

- Daj spokój! - Prychnęła zniesmaczona, cicho, lecz wyraźnie. - Oboje wiemy, że administracja stosuje się do zaleceń szefów wydziałów. Czemu po prostu nie potrafisz być szczerzy? Stwierdziłeś, że jestem świetną kandydatką do wariatkowa, i to właśnie powiedziałeś radzie uczelni.

- Lydio, wszyscy byliśmy zdruzgotani tym, co ci się stało.

- Ale nie na tyle zdruzgotani, żeby pozwolić mi wrócić na wydział.

- Jestem szefem wydziału i ciąży na mnie ogromna odpowiedzialność. Nie mogłem podjąć takiego ryzyka i wysłać cię z zespołem po tym, co się wydarzyło. Musiałem brać pod uwagę twoje dobro.

- Jeśli naprawdę tak cię niepokoi mój profil parapsy-chologiczny, nie musiałeś mnie od razu wyganiać z powrotem do Wymarłego Miasta. Mogłeś pozwolić mi pracować przez jakiś czas w laboratorium, póki wszyscy nie doszliby do wniosku, że nie załamie się pod wpływem stresu.

Twarz Ryana, która do tej pory wyrażała szczerą troskę, pociemniała z irytacji. Rozejrzał się szybko po restauracji, najwyraźniej czując się nieswojo i szukając jakiejś wymówki, by wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

- Zasady to zasady - odparł sztywno. - Nie zapominaj, Lydio, że najważniejsze w całej tej sprawie jest twoje zdrowie parapsychiczne. Doświadczyłaś czegoś strasznego. Musisz dać sobie mnóstwo czasu, żeby wyzdrowieć.

- Jestem całkowicie zdrowa, Ryan.

- Wiesz co? Daj sobie jeszcze kolejnych sześć miesięcy, a potem znów złóż podanie na wydziale. Dopilnuję, żeby zostało w szczególny sposób wzięte pod uwagę - powiedział odrobinę zbyt serdecznie.

- O rany! Dzięki, Ryan, ale za sześć miesięcy nie będę już potrzebować mojej starej pracy. Spodziewam się, że do tej pory będę już miała w pełni rozkręconą firmę konsultingową.

Wydawał się odrobinę zakłopotany.

- Otwierasz prywatną działalność?

- Zgadza się. Już pracuję na pół etatu.

- Nie zdawałem sobie sprawy...

- Dwa miesiące temu zarejestrowałam się w Stowarzyszeniu jako prywatna konsultantka w dziedzinie para-archeologii. - Jej oczy płonęły. - Pan London jest moim pierwszym klientem, prawda, Emmecie?

Trzeba jej przyznać, że całkiem zgrabnie przyparła go do muru, pomyślał Emmett.

- Dwa dni temu podpisaliśmy z Lydią umowę - powiedział.

- Ach tak. - Ryan krzywo się do niego uśmiechnął, a potem znów spojrzał na Lydię. - A co z twoją pracą u Shrimptona?

- Gdy tylko rozkręcę moją prywatną firmę, oczywiście zrezygnuję ze Shrimptona. A tymczasem potrzebuję pieniędzy. Wiesz, po utracie pracy na uniwersytecie byłam praktycznie splukana.

- Rozumiem - Ryan zaczął się wycofywać. - No cóż, to świetnie. Naprawdę świetnie. Wydział od czasu do czasu korzysta z usług prywatnych konsultantów i ekspertów z zewnątrz. Może wkrótce będziemy mieli okazję zwrócić się do ciebie.

- Oczywiście z radością wezmę pod uwagę kontrakt z uniwersytetem - odparła buńczucznie - ale pamiętaj o tym, że w sektorze prywatnym obowiązują bardzo wysokie stawki. Zresztą spytaj Emmetta.

Emmett omal nie zakrztusił się winem, które właśnie miał w ustach. Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie nad płomieniami świec. Nie przeciągaj struny, paniusiu.

- Te usługi warte są wielkich pieniędzy - powiedział z galanterią, którą uznał za niezbędną w tej sytuacji.

Lydia nagrodziła go tryumfalnym uśmiechem, który przyćmił blask świec.

Ryan przyglądał mu się z ostrożną ciekawością.

- Co pan kolekcjonuje, panie London?

Emmett zobaczył, że Lydia już otwiera usta, lecz miał już dosyć tej głupiej rozmowy. Tak mocno nadepnął pod stołem nosk jednego z jej czarnych wieczorowych butów, że zwrócił jej uwagę. Jej oczy rozszerzyły się, ale zamknęła usta.

Emmett spojrział na Ryana.

- Zwierciadła nagrobne.

- Zwierciadła nagrobne - protekcyjnym tonem powtórzył Ryan. - No cóż, to bardzo intefesujące.

- W moim domu w Rezonansie mam ich pełen pokój -rozwodził się Emmett. - Kazałem wyłożyć ściany prawdziwymi lustrami, przed nimi poustawiać na stojakach zwierciadła nagrobne, a potem oświetlić całą galerię zielonym światłem. To naprawdę robi wrażenie na gościach.

Emmett poczuł, że Lydia badawczo mu się przygląda. Wiedział, że jest rozdrażniona i jednocześnie rozbawiona. Wiedziała jeszcze lepiej niż on, że zwierciadła nagrobne należą do najpowszechniejszych i najmniej wartościowych harmonijskich artefaktów. Są również najczęściej przedmiotem fałszerstw. W sklepach w pobliżu Wymarłych Miast aż roiło się od podróbek. Kupowali je tylko nowicjusze i najmniej wyrafinowani spośród prywatnych kolekcjonerów.

- Zielonym światłem? - Ryan wyglądał na zażenowanego. - Jakże oryginalnie.

- Trochę mnie to kosztowało, ale jestem zadowolony z efektu - odparł Emmett. - Takie oświetlenie i lustra na ścianach stwarzają w galerii naprawdę dziwną atmosferę. Wie pan, cb mam na myśli?

- Wyobrażam sobie - mruknął sucho Ryan. Lydia uśmiechnęła się słabo.

- Wygląda na to, że uzyskałeś dokładnie ten niesamowity efekt, który my próbujemy uzyskać u Shrimpto-na, Emmecie.

- Niesamowity... To jest właśnie to słowo. - Emmett spojrział na Ryana. - Potrzebuję jednak jeszcze paru zwierciadeł, żeby uzupełnić kolekcję. Dlatego przyjechałem do Kadencji. Lydia uważa, że może dla mnie znaleźć kilka bardzo wyjątkowych zwierciadeł.

- Och, na pewno. - Ryan obejrzał się przez ramię. -Wybaczcie mi, proszę, ale muszę już wracać do mojej towarzyszki. Miło mi było pana poznać, panie London.

- Wzajemnie - powiedział Emmett. Ryan odwrócił się do Lydii.

- Bardzo się cieszę, że znów zaczęłaś wychodzić z domu.

Pochylił się z oczywistym zamiarem, by pocałować ją w policzek. Takie przyjacielskie pożegnanie starych przyjaciół. Nie trafił jednak. W ostatniej chwili Lydia, udając, że nie domyśla się jego intencji, sięgnęła po widelec i jak gdyby nigdy nic dźgnęła go łokciem w krocze.

- Uff! - Ryan szybko się odsunął, zaczął sięgać ręką do krocza, ale już w następnej chwili najwyraźniej się nad tym zastanowił, bo zamiast tego parę razy wciągnął powietrze.

- Och! Przepraszam. - Widelec Lydii zawisł w powietrzu. - Nie miałam pojęcia, że stałeś tak blisko. Świetnie

było znów cię widzieć, Ryan. Pozdrów ode mnie wszystkich w laboratorium.

- Tak, tak. - Zrobił krok do tyłu. - Do zobaczenia, Lydio. Życzę ci powodzenia z twoją firmą.

Odwrócił się na pięcie i ruszył szybkim krokiem przez labirynt małych stolików. Emmett patrzył za nim. Ryan zdecydowanie sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie postanowił strategicznie się wycofać. A może raczej była to desperacka ucieczka w bezpieczne miejsce.

Rozdział 8

napadło milczenie. Emmett zerknął na Lydię. Podchwyciła jego wzrok. Taka chwila całkowitego zrozumienia, pomyślał.

Kelner wrócił z głównym daniem. Gdy odszedł, Lydia znów skupiła się na jedzeniu.

- Myśli, że straciłam moje zdolności pararezonansu z powodu czegoś, co zdarzyło się sześć miesięcy temu -odezwała się po chwili.

- Takie odniosłem wrażenie.

- Miałam kiepskie doświadczenia w Wymarłym Mieście.

- Wiem - odparł cicho Emmett.

- Tak? - Spojrzała na niego szybko, marszcząc brwi. -Nie zdawałam sobie sprawy... - Skrzywiła się. - No tak, przypuszczam, że mogłeś się tego dowiedzieć.

- Zadzwoń do jednego z moich ludzi w Rezonansie. Kazałem mu sprawdzić twoją przeszłość.

- Rozumiem.

- W raporcie napisano, że wpadłaś w pułapkę iluzji. Pochłonęła cię i zniknęłaś w katakumbach, zanim ktokolwiek z zespołu zorientował się, co się stało. Przeprowadzono poszukiwania, ale ślad po tobie zaginął. Dwa dni później sama wyszłaś z katakumb.

Wzruszyła ramionami.

- Podobno. Szczerze mówiąc, nie pamiętam nic z tych czterdziestu ośmiu godzin pod ziemią. Parapsy-chiatrzy twierdzą, że tak jest dla mnie lepiej.

- A ty jak myślisz, co się wydarzyło? Zawahała się.

- Mogłam wpaść w pułapkę. Jestem dobra, ale żaden splatacz nie jest doskonały. Istnieje też jednak inna możliwość.

- Jaka?

- Że nieźle podsmażył mnie naprawdę potężny duch. To również tłumaczyłoby dwa pełne dni amnezji.

Skrzywił się.

- To nie mógł być duch. Byłaś z uniwersyteckim zespołem wykopaliskowym. W raporcie wspomniano, że towarzyszyło ci dwóch świetnie wykwalifikowanych łowców.

Uniosła brew.

- Czytałeś oficjalny raport komisji dochodzeniowej, prawda?

- Uhm.

- Takie rzeczy są podobno poufne.

- Wiem. Zignorowała to.

- Masz rację. Było z nami dwóch łowców. Twierdzą, że szli ze mną aż do wejścia do komory grobowca. Powiedzieli komisji, że gdy zajmowali się tam paroma małymi duchami, znikłam w jednym z przedsionków. Wtedy widzieli mnie po raz ostatni.

Emmett czekał.

- Oświadczyli, że nie przestrzegałam podstawowych zasad bezpieczeństwa. - Zacisnęła usta. - Sugerowali, że zachowałam się nieodpowiedzialnie.

Emmett kiwnął głową. Dwaj łowcy byli gotowi przysiąc, że pragnąc zbadać nowo odkryty przedsionek, Lydia ruszyła naprzód, nie czekając na pozostałych członków zespołu. Zraportu nasuwały się oczywiste wnioski: sama wpakowała się w kłopoty.

Obserwował, jak nawija makaron na widelec.

- To musiała być pułapka iluzji. Gdyby w pobliżu krążył naprawdę potężny duch, łowcy wykryliby jego ślady energetyczne.

- Tak twierdzą. - Zjadła trochę makaronu.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie wierzysz w wersję wydarzeń, jaką przedstawili łowcy? - spytał Emmett bardzo neutralnym tonem.

Odłożyła widelec.

- Chcę powiedzieć, że nie wiem, co się stało. Nie mam żadnych wyraźnych wspomnień o tym, co wydarzyło się w tym przedsionku, więc musiałam uwierzyć na słowo innym członkom zespołu.

- Żadnych wyraźnych wspomnień? - Emmett spojrzał na nią uważnie. - Przed chwilą mówiłaś, że nie pamiętasz nic z tych czterdziestu ośmiu godzin w katakumbach.

Chwilę milczała, a potem uważnie popatrzyła na niego. W świetle świec jej twarz wydawała się tajemnicza. Zastanawiał się nad tym, jak to jest stracić czterdzieści osiem godzin z życia, a potem obudzić się w nieskończonej, zielonej nocy katakumb obcej rasy, nie mając przy sobie bursztynu. Wielu ludzi, którzy zaginęli w podziemiach, nigdy nie powróciło. Ci, którym udało się znaleźć drogę, doświadczyli tak wielkiego psychicznego wstrząsu, że na długo trafili na oddziały pararezo-nerskie.

Przez parę sekund myślał, że Lydia nie odpowie na jego pytanie. Wkrótce jednak odniósł wrażenie, że podjęła jakąś decyzję.

- Nigdy nie mówiłam o tym nikomu, ale ostatnio zdaje mi się, że coś mi się zaczyna przypominać - odezwała się wpatrzona w płomień świecy. - Problem w tym, że nie potrafię

tego zrozumieć. To tak, jakby przez chwilę zobaczyć ducha. Takiego staromodnego ducha, rodem z horrorów. Jakiś cień czy zjawę, nie NiZOED-a.

- Zwróciłaś się z tym do lekarzy? Wykrzywiła usta.

- Ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to kolejny wpis do moich akt pararezopsychiatrycznych, który będzie głosił wszem wobec, że wykazuję nasilające się objawy stresu pourazowego. Już raz straciłam dobrą pracę z powodu raportu psychiatrów.

- No i szef twojego byłego wydziału nie chciał dać ci szansy, byś mogła udowodnić, że lekarze się mylą - przypomniał jej Emmett.

- Ryan i ja byliśmy kiedyś kolegami. Został szefem wydziału miesiąc po moim Zaginionym Weekendzie. Najwyraźniej to właśnie wtedy doszedł do wniosku, że jestem zbyt delikatna, by wykonywać swoją pracę.

- Rozumiem.

- Tak naprawdę nie powinnam go za to winić. Wszyscy na wydziale są przekonani, że żaden splatacz nie może przejść przez takie doświadczenia jak ja i w pełni zachować swoich paranormalnych zdolności. Nikt nie chce pracować w jednym zespole z kimś, kto... - przerwała i zatoczyła palcami koło. - No wiesz, z kimś, na kim nie można polegać. Członek zespołu, który zaczyna się bać albo traci kontrolę w Wymarłym Mieście, naraża wszystkich pozostałych.

Emmett pomyślał o tym, jak dziś rano przemałowy-wała ścianę w sypialni, by ukryć ślady spalenizny pozostawione przez ducha. Ktokolwiek przywołał tego NiZOED-a, musiał wiedzieć o jej traumatycznych doświadczeniach sprzed sześciu miesięcy. Należało się spodziewać, że większość ludzi na widok dzikiego ducha, nawet bardzo małego, we własnym mieszkaniu wpadnie w panikę, a każdy, kto spędził samotnie czterdzieści osiem godzin w katakumbach, będzie potwornie przerażony.

Zanim to wszystko się skończy, pomyślał, bardzo chciałbym dostać w swoje ręce tego łowcę, który z zimną krwią próbował ją nastraszyć.

- Jeśli ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie - powiedział - to nie sądzę, żebyś była delikatna, krucha albo podatna na załamanie się pod wpływem stresu. Moim zdaniem jesteś bardzo dzielna.

- O rany! To świetnie. - Jej uśmiech zdradzał żelazną wolę. - Bardzo się cieszę, że uważasz, że jednak mogę wykonywać moją pracę. Zawarliśmy umowę i nie zamierzam pozwolić ci mnie zwolnić.

Jęknął.

- A więc znów do tego wracamy?

- Przykro mi. - Zjadła trochę makaronu. - Dziś wieczorem jest to dla mnie absolutnie najważniejszy temat.

- Nie rozumiesz, Lydio. To z mojego powodu ubiegłej nocy ktoś przywołał tego ducha do twojej sypialni. Nie dociera to do ciebie? Jeśli nadal będziesz dla mnie pracować, może dojść do innych incydentów. Ktoś próbuje ci jasno przekazać, że nie chce, abyś szukała dla mnie tego sekretarzyka.

- Zgadza się. Ciekawe tylko dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- To oczywiste. Ktokolwiek się za tym kryje, boi się, że sekretarzyk doprowadzi mnie do Quinna. Od tej chwili muszę zakładać, że ktoś nie chce, żebym go odnalazł.

Postukała błyszczącym zielonozłocistym paznokciem o talerz.

- Jeśli komuś tak bardzo na tym zależy, twój siostrzeniec może mieć poważne kłopoty.

- Wiem. Do tej pory zakładałem, że chodzi po prostu o zakochanego do szaleństwa dzieciaka z burzą hormonów, który pojechał za swoją dziewczyną. Ale po tym, co się stało zeszłej nocy w twojej sypialni...

- Potrzebujesz mnie, Emmett. - Wycelowała w niego widelcem. - Przyznaj to. Potrzebujesz każdej pomocy.

- Pewnie tak. Nie chcę jednak być odpowiedzialny za narażenie ciebie na niebezpieczeństwo.

- Jakoś się tym nie zajmowałeś, kiedy myślałeś, że pracuję z ehesterem.

- To co innego.

- Nieprawda. Nie zmieniło się nic prócz tego, że już nie uważasz, że wiem, gdzie znajduje się twój sekretarzyk. Posłuchaj. Jestem dorosła. I jestem profesjonalistką. Sama mogę podejmować decyzje.

- Lydio...

- Nie pozwolę, żebyś mnie z tego wykluczył. Potrzebuję tej roboty, a ty potrzebujesz mnie. Będę dalej szukać twojego sekretarzyka, czy chcesz tego, czy nie.

- Tego rodzaju pogróżki mają swoją nazwę.

- Zgadza się. Szantaż. Nie powstrzymasz mnie. Jeżeli naprawdę istnieje jakieś realne zagrożenie, najbezpieczniej dla nas będzie, jeśli popracujemy razem. Musimy dzielić się informacjami.

Długo się jej przyglądał, pewien, że mówiła poważnie. Będzie nadal szukać tego sekretarzyka, za jego zgodą albo bez niej. Powinien był wiedzieć, że niełatwo ją zwolnić. ~

- W porządku - odezwał się po chwili. - Dobrze, wygrałaś.

Poczuła smak zwycięstwa.

- Ale jak stwierdziłaś - ciągnął - będzie dla nas najbezpieczniej, jeśli popracujemy razem.

- Tak. Nie ma sprawy. Będę cię informować na bieżąco...

- W dzień, w czasie, który spędzasz w muzeum, chyba nic ci nie grozi - nie pozwolił jej dokończyć tej pełnej zapału obietnicy. - Z całą pewnością jest w to zamieszany jakiś łowca renegat, ale raczej nie będzie próbował cię sterroryzować przy świadkach.

Uniosła brew.

- Nie?

- Nie. Zbyt dużo ryzyko, że zostanie złapany. Łowcy muszą pracować na bliski dystans, wiesz o tym. Nawet silny, dobrze wyszkolony i bardzo doświadczony łowca nie potrafi przywołać i kontrolować ducha z odległości większej niż pół przecznicy, choćby pracował w pobliżu Starych Murów. A nie sądzę, żebyśmy w tym przypadku mieli do czynienia z dobrze wyszkolonym łowcą.

- Mówisz, jakbyś był autorytetem w tej dziedzinie -stwierdziła chłodno.

- Zastanów się tylko. Wiesz równie dobrze jak ja, że przywoływanie duchów poza Wymarłym Miastem jest nielegalne. Każdy łowca renegat, który to zrobi, ryzykuje, że przyciągnie uwagę władz Gildii. A one nie tolerują czegoś takiego.

- Zwłaszcza jeśli Gildia nie ma z tego żadnych korzyści - odpaliła Lydia. - A co, jeśli to nie renegat? Co, jeśli pracuje dla Gildii?

- Naprawdę nie najlepiej myślisz o łowcach duchów.

- Powiedzmy, że po prostu nie wierzę, aby Gildia nie zniżała się do pozwalania swoim członkom na prywatne finansowe przygody na boku, oczywiście pod warunkiem że płacą jej jakiś procent od tego.

- Czy tutaj w Kadencji wszyscy paraarcheolodzy mają tak cyniczne nastawienie do Gildii?

- Nie. - Zamoczyła kawałek pieczywa w oliwie. -Wierz mi lub nie, ale niektóre z moich byłych koleżanek uważają nawet, że łowcy są seksowni. Co więcej, romansowały z nimi. Moja przyjaciółka z Muzeum Shrimptona, Melanie Toft, opowiadała mi, że kiedyś przez parę tygodni spotykała się z łowcą.

Przez chwilę wydawało mu się, że się z nim droczy. Później zrozumiał, że mówiła poważnie.

- Przypuszczam, że już sama myśl o romansie z łowcą nie wydaje ci się zbyt nęcąca?

Zbyła to machnięciem ręki i ugryzła chleb.

- Zapomnijmy o moim osobistym zdaniu na ten temat. Mamy ważniejsze sprawy na głowie.

- W porządku. Jak już mówiłem, nie martwię się za bardzo tym, co może się wydarzyć za dnia, zakładając, że zechcesz przestrzegać podstawowych środków ostrożności. To noce stanowią problem.

- No i?

- No i... skoro się upierasz, żebyśmy zrealizowali tę umowę... - powiedział powoli - od dzisiejszego wieczoru nie mieszkasz już sama.

Wpatrywała się w niego oniemiała. Pewnie nie przyszło jej do głowy, że ja też potrafię twardo grać, pomyślał. Niech to szlag, nie będzie mnie szantażować, nie płacąc za to żadnej ceny.

Zresztą niezbyt wysokiej. Wyraz osłupienia na jej twarzy bez wątpienia dał mu ogromną satysfakcję.

Rozdział 9

Nie sądzisz, że trochę przesadzasz, London?

- Nie. - Emmett sięgnął na tylne siedzenie slidera po swoją torbę.

W drodze powrotnej do mieszkania Lydii zatrzymał się na chwilę w swoim hotelu, by wziąć to, czego potrzebował na dzisiejszy wieczór. Maszynkę do golenia, ubrania na zmianę i inne drobiazgi niezbędne mężczyźnie nocującemu u kobiety.

Chciał zabrać resztę swoich rzeczy rano, gdy wymelduje się z hotelu. Zakładając, że się wymelduje. Próbował sobie wmówić, że zawsze istnieje możliwość, że Lydia straci cały swój entuzjazm do tej pracy, gdy tylko odkryje, jak to jest musieć odstąpić komuś swoją sofę i dzielić z kimś łazienkę. Bądź co bądź, jej mieszkanie było bardzo małe.

- Cóż, skoro się upierasz...

- Owszem - zapewnił. - Upór jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech mojej osobowości.

- Wierzę. - Spojrzała na niego ostro i szarpnęła za kłamekę.

Otworzył drzwi po swojej stronie i wysiadł z samochodu. Odruchowo zlustrował wzrokiem niewielki, słabo oświetlony parking. Tej nocy było tu tłoczno. W półmroku majaczyły auta lokatorów, w większości z zadrapanym lakierem i poobijanymi błotnikami. Jedno z miejsc przy bocznej ścianie zajmował wielki pojemnik na śmieci, tak pełen, że śmieci się z niego

wysypywały. Puste kartony, które najwyraźniej się do niego nie zmieściły, leżały obok, ułożone w stos.

W Apartamentach z Widokiem na Wymarłe Miasto panowała atmosfera rezygnacji. Tak jakby wszyscy, którzy tu mieszkali, porzucili wszelką nadzieję na awans społeczny.

Wszyscy oprócz Lydii. Nietrudno było się domyślić, dlaczego tak bardzo zależało jej na nim jako kliencie. Rzec nie tylko w pieniądzech. Proponował, że zapłaci za zerwanie kontraktu, pewien, że ona ma własne plany, bez wątpienia pragnęła móc znów pracować w podziemiach, w katakumbach. Był jej przepustką, która pozwoli jej się wyrwać z Domu Pradawnej Grozy Shrimptona.

Podeszli oboje do drzwi z zepsutym zamkiem.

- Zakładam, że wspominałaś o tym swojemu gospodarzowi?
- W tym samym piśmie, w którym wspominałam też o zepsutej windzie i paru innych problemach - zapewniła.

Ruszyli schodami na pierwsze piętro.

- Jutro rano naprawię ten zamek - rzucił. Spojrzała na niego zaskoczona. Wchodzili na drugie piętro.

- To nie twój problem.
- Teraz już mój. Można by powiedzieć, że jestem żywotnie zainteresowany bezpieczeństwem w tym budynku.

Popatrzyła na niego tak, jakby chciała zaprotestować, ale powstrzymała się od komentarza. Pewnie oszczędzała oddech przed długą wspinaczką na piąte piętro.

Nie winił jej za to. Gdy znaleźli się na półpiętrze, zerknął na nią.

- Od jak dawna nie działa winda?
- Od paru miesięcy. A i tak wcześniej nie działała jak należy.
- Nic dziwnego, że jesteś w tak świetnej kondycji.
- Dzięki. Rzeczywiście. - Spojrzała na niego dziwnie. - Jeśli chcesz u mnie zostać, oznacza to, że będziesz musiał codziennie wchodzić po tych schodach. Nie liczyłabym na to, że Driffield w najbliższej przyszłości naprawi windę.
- Tak łatwo mnie nie przestraszysz - odparł. Jęknęła.
- Tego się właśnie obawiałam.

Idąc obok siebie, dotarli na piąte piętro i ruszyli ciemnym korytarzem.

- Może rozejrzę się też za paroma nowymi żarówkami do lamp sufitowych - powiedział Emmett.

- Kim ty jesteś? Panem Złotą Rączką?

- Zawsze lubilem naprawiać różne rzeczy... - Emmett nagle przerwał. Wyczuł wyraźny ślad obecności ducha.

- O cholera. - Rzucił torbę. - Daj mi klucz.

- Co? - Zdażyła już wyjąć klucz do mieszkania, lecz nie zrobiła nic, co świadczyłoby o tym, że chce mu go dać. - Co się dzieje?

- Daj mi go. - Wyrwał klucz z jej dłoni i ruszył naprzód. - Zostań tu.

Nie czekał, by przekonać się, czy posłucha polecenia. Szanse na to były w najlepszym razie pół na pół. Odnosił wrażenie, że Lydia nie lubi, aby nią rządzić, a nie czas na to, żeby ją do tego skłonić. W pobliżu połyskiwała niestabilna energia dysonansu. I wszystko wskazywało na to, że sączy się z mieszkania Lydii.

Podszedł do drzwi, wsunął klucz do zamka, zarezo-nował z nim drobnym impulsem energii psi i przekręcił gałkę.

Przez szparę zaczęła wylewać się trująca zielonkawa poświata.

Otworzył drzwi na oścież i zobaczył ducha.

Kula zieleni, wielkości pokrywy od pojemnika na śmieci, pulsowała w kącie. W niesamowitej poświacie Emmett dostrzegł dwa przyparte do ściany kształty. Zane zwinął się w kłębek. Na jego ramieniu świeciły oczy futrzaka. Te, których używał do polowań. W półmroku błyszcząły drobne białe kły. Nie mogli się poruszyć. Energia ducha pulsowała zaledwie parę centymetrów od ramienia Zane'a, który usiłował zasłonić Futrzaka.

Emmett szybko się skoncentrował. Poszukał wzorca energetycznego NiZOED-a. Znalazł go. Był słaby i nieskomplikowany. Robota niewyszkolonego, niedoświadczonego amatora. Ale to nie oznaczało, że nie mógł spowodować jakichś nieprzyjemnych obrażeń, gdyby dotknął Zane'a czy Futrzaka.

Przez kilka sekund London rezonował z dziką energią - esencja ducha. Gdy był już do niej w pełni dostrojony, wysłał fale dysonansu, które miały zaburzyć i zniszczyć harmonijny wzorzec rezonansu. Bursztyn w jego zegarku lekko się rozgrzał.

Duch rozbłysnął intensywnym światłem, mrugnął i zniknął, jakby nigdy nie istniał.

W ciemności, jaka nagle zapadła, Zane i Futrzak stali się cieniami skulonymi w kącie.

- Zane?

- Jest w łazience - szepnął Zane ochryłym, pełnym napięcia głosem. Wyprostował się. - Ma nóż, panie London. Powiedział, że wypatroszy Futrzaka, jeśli tylko...

- Zmiataj stąd. Weź Futrzaka. Szybko!

Zane nie protestował. Ściskając kurzaka, pobiegł w stronę otwartych drzwi. Bursztynowe oczy zwierzątko płonęły w ciemności.

- Zane! - krzyknęła Lydia z korytarza. - Co się stało? Wszystko w porządku?

- Jasne, Lyd.

Rozległ się metaliczny zgrzyt. Dźwięk dobiegał z sypialni i odbił się głośnym echem w ciemnym przedpokoju. Emmett przypomniał sobie o oknie. Znajdowali się pięć pięter nad ziemią, ale od dachu dzieliła ich tylko niewielka odległość.

Jeśli intruz był wystarczająco zręczny i odważny, zaryzykowałby może i spróbował wydostać się oknem i wdrapać jakoś na dach. Jediną inną drogą ucieczki z mieszkania pozostawały frontowe drzwi.

Emmett ruszył przedpokojem, nasłuchując uważnie.

Znów zgrzyt, a potem głucho stuknięcie. Intruzowi udało się otworzyć okno.

Emmett przyłgnął całym ciałem do ściany, gotów cicho i szybko wpaść do sypialni.

- Emmett! - Szczupła sylwetka Lydie zmaterializowała się na drugim końcu przedpokoju, częściowo zasłaniając światło. - Co ty wyprawiasz? Na litość boską, uciekaj! Zane mówi, że on ma nóż!

Bez żadnego ostrzeżenia w przedpokoju znów za-skwierczała energia ducha, ledwie parę centymetrów od Emmetta. Jadowita zielona poświata zapowiadała nowego NiZOED-a. Tym razem mniejszego, zauważył Emmett. Intruz osłabł. A być może rozpraszała go próba ucieczki.

- Uwafzaj! - krzyknęła Lydia.

Za jej plecami niecierpliwie podskakiwał Zane.

- Jasna cholera, drugi duch! Patrz tylko, Lydio! Emmett szybko się skoncentrował i uderzył nowego

ducha impulsem energii psi.

- O rany! Jaki dysonans! - zapiał z podziwu Zane. Jeszcze przed chwilą w jego głosie pobrzmiwał lęk, a teraz podniecenie. - Widziałaś, co zrobił pan London?

Emmett nie czekał na odpowiedź Lydie. W tak dużej odległości od ruin trudniej przywołać ducha niż go odwołać. Zużywanie tak dużych ilości energii psi szybko wyczerpie organizm.

Intruz zużył mnóstwo sił, żeby przywołać drugiego NiZOED-a. Sił, które powinien był oszczędzać na wymknięcie się oknem. Lepsza okazja, żeby go złapać, już się nie trafi.

Emmett rzucił się pędem przez drzwi do sypialni.

Łowca przełożył jedną nogę przez otwarte okno. Zarys jego sylwetki był wyraźnie widoczny na tle nocnego nieba. Rozpaczliwie próbował znaleźć oparcie.

Emmett chwycił go za but i mocno szarpnął. Łowca wtoczył się z powrotem do pokoju, z głuchym odgłosem wylądował na dywanie i wpatrzył się w Emmetta przez otwory w kominiarce. Na nożu w jego ręce błysnęło światło księżyca. Emmett ostrożnie obchodził go dookoła, szukając słabego punktu w jego obronie. Łowca przetoczył się i poderwał na nogi.

Nie wykonał żadnego ruchu, by zbliżyć się do Emmetta.

- Cofnij się, sukinsynu! - warknął. Przesunął się w stronę drzwi sypialni. - Nie wchodź mi w drogę, a nikomu nic się nie stanie!

Jest strasznie nakręcony, pomyślał Emmett. Stracił nad sobą kontrolę. Pewnie zneutralizowanie dwóch jego duchów w tak krótkim czasie bardzo go zdenerwowało.

- Co tu robisz? - Emmett ruszył w jego stronę, trzymając się w bezpiecznej odległości od noża. - O co, u diabła, w tym wszystkim chodzi?

- Nie twoja sprawa! - Nóż świsnął, przecinając powietrze. - Cofnij się, do cholery!

- Pogadaj ze mną - powiedział cicho Emmett - bo inaczej będziesz musiał gadać z glinami i z Gildią.

Łowca się roześmiał. Jego śmiech zabrzmiał jak ostre szczeknięcie.

- Gliny nic mi nie zrobią, a Gildia mnie nie tknie. Dopadł do drzwi i przesunął się przez nie na korytarz,

ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Emmetta.

- To ty przywołałeś tutaj ducha wczoraj w nocy, prawda? - Emmett starał się mówić swobodnie, wręcz lekko. - Po co to ostrzeżenie dla Lydii?

- Zamknij się. Nie zamierzam odpowiadać na twoje głupie pytania. - Szybko zerknął przez ramię, najwyraźniej sprawdzając, czy droga wolna.

Znów się odwrócił. Emmett miał już dla niego gotowego ducha. Dużego. Zielona energia zapulsowała przed intruzem, wypełniając pomieszczenie dziwną poświatą, znakiem rozpoznawczym niebezpiecznych duchów.

- O cholera! Nikt mi o tym nie wspominał. - Łowca błyskawicznie rzucił się do ucieczki krótkim przedpokojem.

Wpadł na mały stolik, zatoczył się, odzyskał równowagę i spanikowany wbiegł do korytarza. Nawet nie próbował zneutralizować ducha Emmetta.

Problem z duchami polega na tym, że choć można nimi manipulować, nie uda się sprawić, by poruszały się szybko. Łowca mógł z łatwością uciec przed NiZOED-em, którego przywołał Emmett.

A tymczasem własny duch zagroził teraz drogę Emmettowi. Emmett cisnął impulsem psi w jego wzorzec energetyczny. Duch przygasł, a on popędził do drzwi i dalej, na korytarz.

Intruz zdołał dopaść do klatki schodowej. Emmett gnał za nim.

- Zostaw go, Emmett! - zawołała Lydia. - Widziałam! Ma nóż!

Problem nie w nożu, a w tym, że intruz jest już na schodach i za chwilę zniknie mi z oczu, pomyślał Emmett.

Dokładnie w chwili, gdy łowca dopadł do schodów, pojawiła się na nich krzepka kobieta w średnim wieku, zbudowana niczym pomnik osadniczek kolonistów. Na T-shircie, na jej obfitym biuście, widniały litery z cekinów: „Dysonans się zdarza”. W słabym świetle korytarza Emmett zobaczył, jak łowca zatrzymuje się, zaskoczony. Zawahał się.

Szybko uświadomił sobie, że właśnie dostał w swoje ręce potencjalnego zakładnika, przemknęło Emmettowi przez głowę.

- Padnij! - krzyknął do kobiety. - Na ziemię! Już!

Ku jego ogromnej uldze kobieta na schodach błyskawicznie zorientowała się w sytuacji i wyciągnęła właściwe wnioski. Rozległo się głośnie, głuche tąpnięcie, gdy runęła na podłogę jak blok marmuru.

Łowca duchów zaczął się schylać, by złapać ją za kurtkę, wtedy jednak zdał sobie sprawę, że nie uda mu się postawić jej na nogi, więc zrezygnował.

Błyskawicznie się odwrócił i jednym susem znalazł na schodach. Emmett usłyszał, jak jego buty ciężko uderzają o stopnie.

Aby dostać się na schody, Emmett musiał przeskoczyć przez leżącą kobietę.

- Co się tu, u diabła, dzieje? - Usiadła ostrożnie. - Kim pan jest?

- Później. - Emmett złapał za poręcz, by w biegu po schodach nie stracić równowagi.

Odgłos kroków łowcy cichł w oddali. Nie uda mu się go dogonić, a nie ośmielił się już przywołać kolejnego ducha, pomyślał Emmett. Nie wiadomo, kto jeszcze z innych pięter może się pojawić na klatce schodowej. Kontakt z NiZOED-em nie sprawi, że sąsiedzi mnie pokochają.

No i musiał brać pod uwagę kłopotliwe formalności prawne.

Był na pierwszym piętrze, gdy usłyszał potężny trzask popsutych drzwi budynku.

Zaraz go zgubię, przemknęło mu przez głowę.

Intruz był szybki. Poruszał się z prędkością młodego, wysportowanego mężczyzny. Nie potrafił jednak jeszcze w pełni kontrolować swojej energii psi. Wymiękł na widok ogromnego ducha, którego przywołał Emmett. Najwyraźniej brakowało mu praktycznego doświadczenia, które zdobyć można jedynie dzięki pracy w tej dziedzinie. A to by oznaczało, że nie miał jeszcze dwudziestu lat.

Był mniej więcej w wieku Quinna.

Emmett zdążył jeszcze wychylić się przez poręcz i zobaczyć, jak postać w kominiarce wypada na parking. Gdy dotarł na parter, usłyszał jęk silnika magnetyczno-rezo-nansowego i zrozumiał, że stracił resztę tych marnych szans, jakie miał na początku. Nagle w ciemnościach roz-błysł długi, dziwnie wąski snop jasnego światła. Charakterystyczna cecha reflektorów coastera.

Drzwi od strony pasażera zamknęły się z hukiem. Coaster ruszył naprzód między rzędami zaparkowanych samochodów; zmierzał wprost na Emmetta, który rzucił się w ciemną przestrzeń między przedpotopową lyrą a niewielkim floatem. Coaster minął go z wyciem, niczym głodna bestia, której zabrano zdobycz.

Nie zawrócił.

Emmett stał i patrzył, jak samochód na pełnym gazie wypada z niewielkiego parkingu na ulicę. Po kilku sekundach zniknął za rogiem.

Wciąż tam stał, pogrążony w myślach, gdy z klatki schodowej wybiegła Lydia, a za nią Zane.

- O mój Boże! - Lydia spojrzała w pustą ulicę. Potem odwróciła się do niego. - Nic ci nie jest?

- Nie. - Emmett wciągnął głęboko powietrze i powoli wypuścił je z płuc. - Nie. Wszystko w porządku.

I tak długo nie utrzymam tego w tajemnicy, pomyślał. Lydia to bystra dziewczyna. Prędzej czy później zorientuje się, że jestem łowcą duchów.

Rozdział 10

N o niechże się pan tym nie przejmuj. - Olinda Hoyt klepnęła Emmetta w ramię. - Do diabła, nawet gdyby go pan złapał, rano wyszedłby za kaucją.

Emmett omal nie zatoczył się po tym uderzeniu. Olinda nie była subtelną gołębicą. Lata pracy z potężnymi garnkami i patelniami i obsługa klientów jej kawiarni ukształtowały jej pokaźnie umięśnioną sylwetka.

T-shirt z wyszytym cekinami napisem: „Dysonans się zdarza”, który Emmett dostrzegł wcześniej, gdy wyłoniła się z klatki schodowej, w świetle salonu lśnił jeszcze jaskrawiej. Jej obfite uda wbite były w ciasne dżinsy spięte paskiem nabijanym połyskującymi górskimi kryształami. Nosła tenisówki z krzykliwie różowymi sznurowadłami. Długie, siwe włosy wiązała z tyłu w kucyk.

Zdecydowanie nie należy do kobiet, które można przeoczyć w tłumie, pomyślał Emmett.

Z roztargnieniem kiwnął głową w odpowiedzi.

- Tak. Pewnie tak.

- O rany! Walnął go pan potężnym duchem, panie London! - chyba po raz setny powiedział Zane. - Szkoda, że tego nie widziałas, ciociu Olindo! Był ogromny. Wypełniał całe drzwi. A nawet nie jesteśmy w Wymarłym Mieście.

- Szkoda, że tego nie widziałam. - Olinda zamrugła. - Ale nie martw się, Zane, mój chłopcze. Niedługo będziesz przywoływał takie duże duchy jak ty sam.

- Przy nim duch tego faceta wyglądał jak wielkie nic - piał z podziwu Zane.

Emmett zauważył, że Lydia zacisnęła szczęki, gdy stawiała przed Zane'em filiżankę herbaty. Ale nie skomentowała tej bitwy na duchy.

- Na pewno nic ci nie jest? - znów spytała Zane'a. - Ten człowiek nie zrobił ci krzywdy?

- Nie, do diabła. Wszystko w porządku. - Zane nie napił się herbaty. Wyglądało na to, że nie potrafi oderwać oczu od Emmetta.

Widząc nieskrywany kult bohatera w spojrzeniu Zane'a, Emmett stłumił jęk. Taki obrót spraw nie spodoba się Lydii.

- Przyjrzyjmy się temu jeszcze raz od początku - zaproponował cicho. - Zane, powtórz mi dokładnie, co się wydarzyło.

- Jasne. Tak jak powiedziałem, skończyłem pracę domową i już się szykowałem, żeby zejść na dół. Otworzyłem drzwi, a tam, na korytarzu, stał ten facet w kominiarce. Widziałem tylko jego oczy. Futrzakowi od razu się nie spodobał. Zaraz zaczął warczeć.

Emmett przykucnął przed nim.

- Co mówił? Dopytywał się o Lydię, nazywał ją po imieniu? Sądziłeś, że wiedział, kto tutaj mieszka? A może szukał tylko jakiegoś pustego mieszkania, do którego mógłby się włamać?

- Nie wiem. Na początku wydawał się tak samo zaskoczony, że mnie widzi, jak ja, że widzę jego. Chyba myślał, że nikogo nie ma w domu. Zanim jednak zdążyłem zapytać, czego chce, przywołał ducha. Próbowałem... -Zane urwał nagle. - Ale nic nie mogłem zrobić.

- W porządku, Zane. - Emmett położył dłoń na jego chudym ramieniu. - Trzeba sobie radzić z tym, co się ma. A ty nie masz jeszcze ani siły, ani wykształcenia, żeby zneutralizować ducha. O wiele ważniejsze jest to, że nie straciłeś głowy. Nie spanikowałeś. I prawdopodobnie ocaliłeś Futrzakowi życie.

Zane szybko spojrzał na niego.

- Futrzak chciał go zaatakować, ale wiedziałem, że jeśli go wypuszczę, ten facet go usmaży tym swoim duchem. Przecież taki duży NiZOED zabiłby coś tak małego jak Futrzak.

- Emmett ma rację. - Lydia pogłaskała szurze, szare futerko Futrzaka. - Uratowałeś go. Gdyby cię tutaj nie było, na pewno rzuciłby się na tego włamywacza i źle by się to dla niego skończyło.

Zane popatrzył na kurzaka usadowionego na kolanie Lydii.

- Ten sukinsyn użył ducha, żeby przygwoździć mnie i Futrzaka w kącie. Potem zaczął plądrować mieszkanie. Pomyślałem sobie, że pewnie szuka rzeczy, które by mógł sprzedać. Ale nawet nie spojrzał na twój rezo-wizor.

- Nic dziwnego - zauważyła Lydia. - Ma co najmniej osiem lat. Kupiłam go kilka miesięcy temu na wyprzedaży różnych rupieci. To oczywiste, że włamywacz nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Olinda prychnęła.

- Przecież ci mówiłam, że mogę ci załatwić dobry, prawie nowy model.

- A ja ci mówiłam, że nie chcę - odparła Lydia. - Wolę kupować sprzęty, które nie wypadły z ciężarówki. Tak mam przynajmniej szansę na gwarancję.

- Uhmf jasne. Nieważne. Po prostu nie rozumiem, dlaczego musisz się pozbawiać drobnych przyjemności życia tylko dlatego, że nie podoba ci się, że nie wiesz dokładnie, skąd się biorą.

Emmett uciszył je obie wzrokiem i znów zwrócił się do Zane'a:

- Na pewno nie wiesz, czego mógł szukać ten włamywacz? Nic nie mówił, kiedy tu szperał?

- Raczej nie. - Zane zagryzł wargę, zastanawiając się nad pytaniem. - Strasznie dużo kłął. Tak jakby był zdenerwowany, wie pan. Myślę, że ten facet w coasterze czekał na niego i na to, żeby jak najszybciej skończył.

- Chyba masz rację. - Emmett spojrzał na Olindę. -A pani niczego nie widziała?

- Nie. - Pokręciła głową. - Zorientowałam się, że coś jest nie tak, dopiero kiedy zamknęłam kawiarnię i zaczęłam wchodzić po tych cholernych schodach, żeby zobaczyć, dlaczego Zane jeszcze nie wrócił. Pomyślałam, że może zasnął przed rezowizorem. U szczytu schodów zobaczyłam tego faceta z nożem i usłyszałam, jak pan wrzeszczy, żebym padła na ziemię. I tyle.

- W porządku. - Emmett wstał. - Nie ma sensu tego dzisiaj wałkować. Wszyscy potrzebujemy snu.

- Zadzwoń pan po gliny? - spytała Olinda bardzo obojętnym tonem.

Emmett odwrócił się do Lydii.

- Możemy po nich zadzwonić, wątpię jednak, czy to coś da. Nikomu nic się nie stało i niczego nie ukradziono.

Pewnie się nawet nie pofatygują, żeby tu przysłać policjanta, który spisałby raport.

- Hm. Nie w tę okolicę, to na bank - mruknęła Olin-da. - Gdyby to mieszkanie było na Wzgórzu z Widokiem na Ruiny, przysłałiby tu kogoś szybciej, nim człowiek zdążyłby powiedzieć, że chce się wysikać.

- Dzięki za to wnikliwe spostrzeżenie - wtrąciła się Lydia. - Ale nie zapominajmy, że mamy parę tropów. Usiłując się włamać, użył ducha. No i wiemy, że był łowcą.

- Młodym łowcą - dodał Emmett, zamyślony. - Mało wyszkolonym.

- Jesteś pewien?

- Raczej tak. - Emmett podszedł do rozsuwanego okna na balkon. - Ale te dwie informacje to za mało, żeby zdecydowanie zacieśnić krąg podejrzanych. Policja jest zbyt zajęta, żeby zaprzętać sobie głowę czymś takim. Istnieje jednak inna opcja.

Zapadło krótkie, sztywne milczenie.

- Sugerujesz, żeby zwrócić się z tym do Gildii? - spytała wreszcie Lydia.

- Kiedy jakiś łowca używa swojego talentu, aby popełnić przestępstwo, to jest to sprawa miejscowej Gildii - przypomniał Emmett.

- A dlaczego myślisz, że te oprychy w ogóle poświęcą nam swój czas? Bez obrazy, Emmett, ale przecież wiadomo, że Gildia sama jest w to zamieszana.

- Wykluczone, Lydio - głos Zane'a drżał z emocji. - Gildia pilnuje swoich. Wszyscy o tym wiedzą. Od Czasu Niezgody to łowcy duchów wzięli na siebie zadanie czuwania nad tymi łowcami, którzy stali się reneгатami.

- No tak. Oczywiście - powiedziała sucho Lydia. - Jak mogłam tak łatwo zapomnieć o mojej własnej historii. Każdy wie, że Gildia zajmuje się swoimi wewnętrznymi problemami. Nie

mam pojęcia, dlaczego w ogóle zasugerowałam, że Gildia z radością pomoże komuś z zewnątrz i udowodni, że jeden z jej członków próbował włamać się do mieszkania, używał noża i zastraszał ludzi swoimi duchami. Emmett zignorował sarkazm w jej głosie.

- Jutro pogadam z szefem Gildii w Kadencji.

- Z Mercerem Wyattem? - Patrzyła na niego z niedowierzaniem. - Myślisz sobie, że możesz po prostu podejść do jego drzwi i powiedzieć, że chcesz z nim rozmawiać? Oszalałeś. Poza tym nie jesteś stąd. A to znaczy, że nawet jeśli jesteś łowcą, nie należysz do miejscowej Gildii. Skąd ci przyszło do głowy, że Wyatt w ogóle się z tobą spotka?

- To kwestia zawodowej uprzejmości. Zamrugwała.

- Co proszę? Wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną.

Wyglądała na lekko oszołomioną. Zaraz jednak się opanowała.

- Przepraszam, ale muszę iść na pogrzeb. Olinda spojrzała na nią zdziwiona.

- Ktoś, kogo znam?

- Chester Brady.

- Ach tak. Racja. Chester. - Olinda pokręciła głową. - O ile dobrze pamiętam, tylko ciebie mógł nazwać przyjacielem. Nie żeby to wiele mówiło o gronie jego znajomych.

- Pójdę z tobą - powiedział Emmett. - Z Wyattem spotkam się dopiero o siódmej wieczorem.

Lydia zmarszczyła brwi.

- Już jesteś z nim umówiony? Na wieczór?

- Zostałem zaproszony na kolację - wyjaśnił.

Tym razem wszyscy wbili w niego wzrok. Jedyne Futrzak nie wybałuszył oczu.

- O cholera! - sapnął z podziwem Zane. - Został pan zaproszony na kolację z Mercerem Wyattem?

- Niech mnie szlag! - wyrwało się Olindzie.

- A jakże, weź bardzo dużą łyżkę - mruknęła Lydia.

Znów była w komnacie grobowca. Choć prastary, połyskiwał tajemniczym, zielonym światłem emitowanym przez ściany z kwarcu. Wiedziała, że ta dziwna poświata jest niebezpieczna, bo maskuje energię pułapek iluzji i duchów, które Pradawni pozostawili, by strzegły ich podziemnego labiryntu.

W półmroku widziała otwór przedsionka. Ruszyła w jego stronę, tak jak zawsze robiła to w tym śnie. A potem, również tak jak zawsze, wyczuła za plecami czyjaś obecność. Zaczęła się odwracać, kątem oka dostrzegła w cieniu jakiś ruch i przeszył ją mrozący dreszcz...

Obudziła się, cała drżąca. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, tym razem bardziej zdezorientowana niż zwykle. Natomiast wrażenie chłodu było czymś zupełnie nowym.

Kolejny zimny powiew omiół jej łóżko. Potem usłyszała stłumiony dźwięk przesuwanych szklanych drzwi, zamykających się w salonie. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że dziś w nocy ona i Futrzak nie byli w mieszkaniu sami. Świadomość, że był tutaj Emmett, niepokoiła ją tak jak ten sen. Może nawet bardziej. Powoli usiadła i zdała sobie sprawę, że szmer zimnego nocnego powietrza i dźwięk zamykanych drzwi świadczyły o tym, że Emmett wyszedł na balkon.

Spojrzała na zegarek. Trzecia. Położyli się o pierwszej. Z niewzruszoną stanowczością wymogła, żeby przed pójściem spać zrobić porządek w mieszkaniu. Nikt nie protestował. Nikt nie zasugerował, że to może poczekać do rana. Przeciwnie, wszyscy wspólnie pomogli jej posprzątać bałagan, który pozostawił po sobie intruz. Tak, jakby rozumieli, że nie zasnąłaby pośrodku takiego chaosu. Poukładanie rzeczy w szafach i kredensach zajęło im prawie dwie godziny.

Trzecia nad ranem to dziwna pora, by wyjść na balkon zaczerpnąć świeżego powietrza. Zastanawiała się, czy jej nowy współlokator ma jeszcze inne dziwne nawyki.

- Futrzak?

W nogach łóżka kurzak ziewnął i otworzył dzieńne oczy. Błysnęły bezbarwnie w świetle księżyca.

- Dobrze, już dobrze. Śpij dalej. Przepraszam, że cię obudziłam.

Odsunęła na bok kołdrę i wstała. Bez zastanowienia ruszyła do drzwi, a potem zatrzymała się, by sięgnąć po szlafrok. Dzielenie tej ciasnej przestrzeni z Emmettem wymagało od niej paru zmian własnych przyzwyczajęń. Mogła tylko mieć nadzieję, że nie będzie jej za bardzo wchodził w drogę.

Wsunęła stopy w papucie, związała szlafrok paskiem i podreptała do salonu. Zasłony były rozsunięte. Na sofę sączyło się światło księżyca, zdradzając, że prowizoryczne łóżko jest puste. Wyjrzała na balkon i zobaczyła Emmetta, w samych dżinsach. Opierał się od niechcenia o balustradę, spoglądając na niewielki, widoczny stąd fragment zielonych Murów. W blasku księżyca jego ramiona wydawały się bardzo szerokie.

Zawahała się, walcząc z impulsem, by dokładniej przyjrzeć się jego plecom. Co, do cholery? - pomyślała.

To moje mieszkanie, mój balkon. Skoro ma zamiar łązić sobie na wpół nagi, musi się liczyć z tym, że zwrócę na to uwagę.

Bądź co bądź, ostatnio nie wychodziła zbyt często z domu.

Zbliżyła się do szklanych drzwi i zerknęła przez szybę na piękne linie jego mięśni, oświetlone księżycem. Plecy mężczyzny, a przynajmniej tego konkretnego mężczyzny, sporo o nim mówią, stwierdziła. Była w nim moc, tak fizyczna, jak psychiczna. I fascynująca zmysłowość. Był też wdzięk. Swobodny, nieświadomiony wdzięk, taki, jaki płynie z pełnej wewnętrznej kontroli. Coś w jego postawie, nawet teraz, gdy po prostu opierał się o balustradę, wyraźnie świadczyło o tej wewnętrznej kontroli. Szukała na to właściwego słowa.

„Niewzruszony” - słowo równie dobre jak każde inne. Ten mężczyzna znał swoje możliwości, podejmował własne decyzje i sam oceniał innych. Nie uwierzył opinii ekspertów na temat jej zdrowia parapsychicznego, tak jak zrobili to Ryan i jej inni ekskoledzy. Nie przyjął powszechnych hipotez o ludziach, którzy przetrwali samotnie czterdzieści osiem godzin w katakumbach. Nie uważał, że jest zbyt delikatna, aby wykonywać tę pracę.

No dobrze. A więc Emmett jest łowcą duchów. I to bardzo silnym. Cóż, nikt nie jest doskonały.

Otworzyła przesuwane szklane drzwi i wyszła na balkon.

Nie odwrócił się.

- Wszystko w porządku?

Odniosła krępujące wrażenie, że przez cały czas wiedział, że stała przy oknie i go obserwowała.

- Nie bardzo. - Oparła się o balustradę koło niego. - Nie przypominam sobie, żebym podziękowała ci za to, co zrobiłeś dziś wieczorem dla Zane'a i Futrzaka.

- Jeśli poczujesz się z tym lepiej, to wątpię, żeby ten intruz zamierzał skrzywdzić któregokolwiek z nich. Chciał po prostu, żeby nie wchodzili mu w drogę, kiedy przeszukiwał twoje mieszkanie.

- Być może. Ale nie sądzę, by zawahał się ich usmażyć, gdyby tylko zaczęli mu przeszkadzać.

Emmett nie zaprzeczył. Uniósł jedno ramię. W świetle księżycy ruch mięśni wydawał się płynny.

Oddychaj głęboko, nauczyła samą siebie. Dużo głębokich oddechów.

Zapadło milczenie. Lydia wpatrzyła się w ciemne sylwetki pobliskich budynków. Zastanawiała się, dlaczego Emmett nie czuje chłodu nocnego powietrza.

- Chcesz wiedzieć, czemu ci nie powiedziałem, prawda? - spytał wreszcie.

Domyśliła się, o co mu chodzi.

- Czemu mi nie powiedziałeś, że jesteś pararezone-rem energii dysonansu? To oczywiste. Od początku nie kryłam się z moją opinią na temat łowców duchów. Nie winię cię, że nie pisałeś słowa o swoim talencie. W tych okolicznościach była to absolutnie rozsądna decyzja.

- Tak mi się wydawało. Bawiła się paskiem szlafroka.

- A cała reszta? To, że jesteś biznesmenem z Rezonansu? To wszystko prawda, tak?

- Tak.

Rozluźniła się.

- Mogę spytać, czemu nie zarabiasz na życie jako łowca duchów?

- Przez jakiś czas to robiłem.

- I co się stało?

- Zrezygnowałem z tego. Spojrzała w gwiazdy.

- No cóż, potrafię poznać ślepy zaułek w rozmowie. Zapadło krótkie milczenie.

- Myślisz, że tych dwóch łowców duchów, którzy byli w waszym zespole sześć miesięcy temu, odpowiada za to, co ci się przydarzyło w katakumbach, prawda? - zapytał Emmett.

Chwyliła się mocno balustrady.

- Mówiłam ci. Nie wiem, co mi się przydarzyło sześć miesięcy temu. Nie pamiętam.

- Ale winisz za to łowców?

- Oni winili mnie za lekkomyślność. Postanowiliśmy, że każdy zostanie przy swoim zdaniu.

Kiwnął głową.

- Jak widać, nie jestem jedynym, z którym można wpaść w ślepy zaułek podczas rozmowy.

- Nie, nie jesteś. - Popatrzyła w bok i przyglądała się jego surowemu profilowi. - No to jeszcze raz zmieńmy temat. Uważasz, że istnieje jakiś związek między tym, co się stało tutaj dziś wieczorem, a duchem, który pojawił się wczoraj w mojej sypialni.

- To chyba oczywiste, nie sądzisz? Znow zaciśnęła palce na balustradzie.

- Próbowałam sobie wmówić, że te dwa incydenty nie były ze sobą powiązane. Muszę jednak przyznać, że nie udało mi się siebie przekonać.

- Ten duch wczoraj miał być ostrzeżeniem. - Emmett wpatrywał się w noc. - Prawdopodobnie miał sprawić, żebyś przestała szukać sekretarzyka. Ale dlaczego ktoś przetrząsał dzisiaj twoje mieszkanie? Czego szukał?

- Nie mam pojęcia. - Przez chwilę obserwowała niebo. - Może powinniśmy zgłosić to na policję, Emmett.

- Oni sobie z tym nie poradzą. Do diabła, nie potrafią nawet znaleźć faceta, który zabił twojego kumpla, Brady'ego. Są w to zamieszani łowcy. A łowcy trzymają się razem. Potrzebujemy współpracy Gildii. A tutaj, w Kadencji, znaczy to, że potrzebujemy pomocy Mercera Wyatta.

- A czy policja nie mogłaby z nim porozmawiać?

- Nie - powiedział. - Żadnych glin. Wyatt odebrałby to jako naruszenie jego władzy. Poza tym niewiele mamy dla policji. Duch ubiegłej nocy i dzisiejsze włamanie nie wydadzą im się niczym ważnym.

- A co z faktem, że twój siostrzeniec zaginął?

- Brak dowodów na to, że ktoś maczał w tym palce. Quinn ma osiemnaście lat. Nie jest małym dzieckiem. Policja nie zna żadnych powodów, dla których powinna go szukać. Powiedzieliby, że to sprawa rodzinna. I mieliby rację. Znalezienie Quinna to mój problem, nie ich.

- A co z sekretarzykiem osobliwości?

- To samo. Rodzinny problem. Bądź co bądź, tak właściwie to nie został skradziony. Mam kopię pokwitowania. Nie, nie możemy iść na policję. A przynajmniej dopóki się nie dowiem, w czym rzecz.

Jej wdzięczność częściowo ustąpiła irytacji w obliczu jego uporu.

- A co szkodzi, żebyśmy chociaż z nimi pogadali?

- Po pierwsze, mogłoby to zabić mojego siostrzeńca. Znieruchomiła.

- A jaśniej?

- Jeśli gliny włączą się teraz w tę sprawę, wszyscy w nią zamieszani schowają się jeszcze głębiej. Ci, którzy się za tym kryją, kimkolwiek są, mogliby dojść do wniosku, że najłatwiejszym sposobem poradzenia sobie z tym problemem jest pozbycie się tego, co przyciąga uwagę władz.

Westchnęła.

- Innymi słowy, twojego zaginionego siostrzeńca.

- Tak.

- No dobrze. Choć to dziwne, rozumiem twój punkt widzenia. Żadnej policji, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Odwrócił się lekko, by spojrzeć jej w twarz.

- Dzięki, doceniam to.

- Hej, przecież jestem twoją wysoko opłacaną prywatną konsultantką, pamiętasz? Zadowolony klient to mój jedyny cel.

Zignorował to.

- Cholernie bym chciał cię z tego wyplątać.

- Już ci mówiłam: Nie możesz mnie zwolnić. Wpatrywał się w nią ponuro.

- Nawet gdybym mógł, jest już na to za późno.

- Co to niby ma znaczyć?

- Po tym, co stało się tutaj dziś wieczorem, musimy zakładać, że z jakichś powodów siedzisz w tym po same uszy.

Znów przeszył ją dreszcz. Tym razem jednak nie wywołał go nocny chłód.

- Sama doszłam do takiego wniosku dziś wieczorem. Nie zawsze wydaje się to oczywiste, ale wiesz, tak naprawdę jestem dość bystra.

- Wiem. Wygląda na to, że przez jakiś czas będziemy dzielić tę samą łazienkę.

Nagle coś wpadło jej do głowy i zorientowała się, że szeroko się uśmiecha.

- O co chodzi? - spytał.

- Uważaj tylko, żeby się nie pokazywać, jeśli przyjdzie mój gospodarz. Nie wolno mi mieć gości na dłużej. Driffield twierdzi, że jeśli w lokalu mieszka ktoś, kto nie został wymieniony w umowie najmu, to jest to pogwałceniem tej umowy.

- Jak przyjdzie, schowam się pod łóżkiem.

- Nie zmieścisz się. Ale spokojnie. Marne szanse, by wdrapał się tu na szóste piętro. - Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się jednak. - Prawie zapomniałam. Chciałam ci podziękować nie tylko za ocalenie Za-ne'a i Futrzaka.

- A mianowicie?

- Również za to, że nie uznałeś mnie za zbyt delikatną. - Uśmiech zadrgał jej na ustach. - To dla mnie bardzo wiele znaczy.

- Nawet jeśli tak komplementuje cię łowca?

- Wydawało mi się, że wspominałeś, że jesteś biznesmenem.

Uśmiechnął się powoli.

- Zgadza się.

Chwyciła klamkę i zaczęła otwierać drzwi.

- Jeszcze jedno - powiedział cicho Emmett.

Pytająco zerknęła przez ramię i zauważyła, że odsunął się od balustrady. Teraz stał bardzo blisko niej. Prawie jej dotykał. Całkowicie zasłaniał nocny widok. Gdyby się poruszyła, mogłaby otrzeć się o jego nagą pierś.

Głębokie oddechy, przypomniała sobie. Więcej głębokich oddechów.

- Co takiego? - spytała. Cholera, to by było na tyle, jeśli chodzi o głębokie oddechy. Nagle zabrakło jej tchu.

- Skoro nie jesteś delikatnym typem i tak dalej... - zaczął z namysłem.

Przyjrzała mu się badawczo.

- To?

- Myślisz, że byś zemdląła, gdybym spróbował cię poderwać?

Już nie brakowało jej tchu, ale tlenu.

- Czy to hipotetyczne pytanie?

- Nie.

Jego dłonie zacisnęły się na jej ramionach. Przeszyła ją skwiercząca energia, bardziej wstrząsająca niż energia NiZOED-a. W odpowiedzi każdy jej nerw zarezonował. Zastanawiała się, czy włosy nie stanęły jej na głowie.

Tak jakby otrzeć się o ducha, ale bez bólu. Zupełnie bez bólu. Tylko to cudowne uczucie podniecenia. Niesamowicie silny rezonans, pomyślała. Naprawdę potężny.

Lekko się pochylił. Jego usta złączyły się z jej ustami w pocałunku, który stanowił skoncentrowaną esencję wszystkiego, co wywnioskowała z uważnej obserwacji jego pleców. Kontroli, mocy, zmysłowości.

Do diabła z głębokimi oddechami. Minał już bardzo długi czas, odkąd po raz ostatni była zaangażowana w coś, co można by nazwać intymnym związkiem. Zresztą, to był w końcu jej balkon.

Oparła dłoń na jego klatce piersiowej. Miał rozpaloną skórę. Jej usta zmiękły pod pocałunkiem.

Jęknął. Nieomylny znak budzącego się gdzieś w głębi pragnienia. Powinno ją to było ostrzec, tymczasem jeszcze bardziej wzmogło podniecenie. Poruszyła na próbę palcami, delektując się dotykiem mięśni pod skórą.

Natychmiast chwycił ją mocniej, zalewając swoim podnieceniem i siłą. Jego dłoń zsunęła się po jej plecach i objęła pośladek.

Lydia nagle zorientowała się, że silnie przyłgnęła do niego dolną częścią ciała. I mimo warstw jego dżinsów i jej szlafroka wyraźnie wyczuwała erekcję.

I równie intensywnie wilgoć między swoimi nogami.

Oderwał od niej jedną dłoń, by chwycić za klamkę.

- Wejdźmy do środka - wyszeptał. - Tu nie ma miejsca.

Nie protestowała. To był bardzo mały balkon.

Otworzył drzwi i wniósł ją do salonu. Uświadamiała sobie tylko ruch. Jej stopy zawisły nad podłogą. A potem poczuła pogniecioną pościel i poduszki na sofie. Wtuliła twarz w poduszkę i w nozdrza uderzył ją jego zapach. Oszałamiający, niepowtarzalny, absolutnie męski. Równie podniecający jak splątana energia w pułapce iluzji. I bez wątpienia równie niebezpieczny.

Puścił ją. Znow poczuła chłód w pokoju.

Otworzyła oczy i spojrzała w górę. Majaczyła nad nią postać Emmetta. Próbował rozpiąć dżinsy.

Wokół niego jarzyła się niewidzialna energia psi, w powietrzu za nim strzelały drobne iskry. To on je wywołuje i prawdopodobnie nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, stwierdziła.

Drobne błyski zielonkawego światła nieprzyjemnie przywróciły ją do rzeczywistości. I napłynęło wyraźne wspomnienie tego, jak Melanie opisywała swoje zbliżenie seksualne z łowcą, który dopiero co przywołał ducha. „Kiedy używają swoich talentów, mają taki wzwód, że nawet byś nie uwierzyła. Robią się seksowni jak cholera. To ma coś wspólnego ze skutkami ubocznymi

manipulowania energią dysonansu. Eksperci uważają, że jest związane z hormonami czy coś takiego”.

Lydia zamarła. Nie mogła znieść myśli, że pragnienie Emmetta, by pójść z nią do łóżka, było jedynie skutkiem tego, że wcześniej używał swoich paranormalnych talentów. Świadomość, że teraz zadowoliliby go każda kobieta, była po prostu zbyt przykra.

- Chwileczkę. - Szybko usiadła i odgarnęła włosy z oczu. Oddychaj głęboko, nakazała sobie. - To niezbyt mądre. Zdecydowanie niezbyt mądre. Wszyscy wiedzą, że tego rodzaju sprawy rujnują relacje biznesowe.

Przestał poruszać palcami przy pasku od dżinsów. Długo się nie odzywał. Zielonkawe iskierki za jego plecami zgasły.

- Racja - powiedział w końcu. - Wszyscy to wiedzą.

Nie musiał się tak chętnie ze mną zgadzać, pomyślała poirytowana. Mógł przecież użyć mocnych* kontrargumentów.

Wielkim wysiłkiem woli zdobyła się na coś, co, jak miała nadzieję, wyglądało na nonszalanckie kiwnięcie głową. Udało jej się wstać z sofy.

- Rozumiem, że to była wyjątkowa sytuacja. To nie twoja wina. Świetnie to rozumiem.
- Dobrze wiedzieć - odparł, gdy ciasniej owinęła się szlafrokiem i ruszyła do przedpokoju. - Zawsze powtarzam, że wyrozumiała kobieta to skarb.
- Moja przyjaciółka Melanie wyjaśniła mi wszystko.
- Super. A mogę spytać, co dokładnie ci wyjaśniła?
- No wiesz, to, jak używanie tego jednego konkretnego typu energii psi wpływa na twoje., eee... libido.
- Lydio...

- W porządku. Nic się nie stało. - Machnęła ręką i odeszła w głąb przedpokoju. - Zdolności psi wiążą się z pewnymi dziwactwami.

- Dziwactwami...? - powtórzył dziwnie obojętnym tonem.
- Nie przejmuj się. Jestem pewna, że jutro rano wrócisz do normy.
- Naprawdę tak myślisz?
- Melanie mówiła, że te skutki są przejściowe... -przerwała, żeby dać mu szansę na odpowiedź, a gdy się nie odezwał, okręciła się na pięcie i uciekła do swojego bezpiecznego łóżka. Nie pamiętała o małym stoliku, póki boleśnie nie uderzyła kolanem w narożnik. Wiedziała, że rano będzie miała siniaka. I nie tylko na kolanie, pomyślała, biorąc pod uwagę, jak niewiele brakowało, by pozwoliła Emmettowi się uwieść. Mogła tylko mieć nadzieję, że żadnego siniaka nie będzie widać.

Rozdział 11

Cmentarz Wiecznego Rezonansu historycznie wiele znaczył, ponieważ powstał jeszcze za czasów pierwszych osadników, nie był już jednak najmodniejszym miejscem wiecznego spoczynku w mieście. Najstarsze nagrobki na mogiłach pionierów, spękane i obłupane, uległy

niszczącemu wpływowi pogody. Na niektórych aż roilo się od wymalowanych sprejem graffiti. Niemal wszędzie rosły chwasty.

Dzień wstał jasny i słoneczny, ale z zachodu zaczęły nadciągać chmury. Pod wieczór na pewno się rozpada. W liściach drzew już szeleściła lekka bryza.

Jedynymi świeżymi kwiatami w zasięgu wzroku były te, które Lydia kupiła w drodze na pogrzeb. Gdy się schyliła, by położyć bukiet na grobie Chestera, zaskoczona zorientowała się, że po policzkach płyną jej piekące łzy.

Wyprostowała się i zaczęła szukać chusteczki. Poniewczasie zdała sobie sprawę, że nie pomyślała o tym, by włożyć ją do torebki przed wyjściem z mieszkania. Ale przecież wtedy nie zamierzała płakać. Nie na pogrzebie Chestera. Chester był kłamcą, złodziejem i cholernym wrzodem na tyłku.

Psiakrew!

Krew... Przed oczami pojawił jej się obraz ciała Chestera w sarkofagu. Łzy zapiekły jeszcze mocniej. Cokolwiek by powiedzieć o Chesterze, nigdy nikogo nie zabił. I nikt nie miał najmniejszego prawa zabić jego.

Emmett wsunął jej do ręki duży kwadrat białej tkaniny.

- Dzięki. - Pospiesznie wytarła twarz. - Nie był zbyt miłym człowiekiem, wiesz.
- Wiem.
- Kiedy nie masz żadnej rodziny, czasami zadajesz się z dziwnymi ludźmi. - Wydmuchwała nos, zdała sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiła, i szybko wepchnęła chusteczkę do swojej torebki. - Wypiorę ją i ci oddam.
- Nie pali się.

Rozejrzała się dookoła, pragnąc zmienić temat. Od chwili, gdy dzisiaj rano wpadli na siebie, idąc do łazienki, atmosfera między nimi była nieco napięta.

Ubiegłej nocy, kiedy położyła się po raz drugi, długo i głęboko zastanawiała się, jak poradzić sobie z tą sytuacją. Uznała, że do rana Emmett dojdzie do siebie po skutkach ubocznych używania talentu pararezonansowe-go i bez wątpienia będzie zakłopotany swoim zachowaniem pod wpływem energii psi.

Zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie będzie wszystkiego żałował, postanowiła udawać, że nic się nie stało. Niestety, zorientowała się, że jej rygorystyczne unikanie jakiegokolwiek wzmianki o tym namiętnym pocałunku bynajmniej nie poprawiło mu nastroju. Przez cały rano był ponury i milczący.

- Olinda miała rację co do jednego - odezwała się, gdy wracali do samochodu. - Tylko my przyszedliśmy na jego pogrzeb.

- Nie tylko my - stwierdził Emmett, patrząc na parking.

Zaniepokojona podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i rozpoznała znajomą sylwetkę pani detektyw. Alice Martinez stała oparta o zderzak niebieskiej harfy.

- No świetnie - mruknęła Lydia. - Jeszcze tego mi dzisiaj brakowało. Ciekawe, co tu robi? Nawet nie znała Chestera za życia.

- Chyba możemy się przywitać, skoro już wszyscy znaleźliśmy się w tej okolicy.

Emmett wziął Lydię pod ramię i poprowadził w stronę harfy. Martinez obserwowała ich przez duże przeciwsłoneczne okulary, które ukrywały wyraz jej twarzy.

- Dzień dobry, pani detektyw. - Lydia nie dała się zbić z tropu ciemnym okularom. - Miło ze strony wydziału, że postanowił przysłać kogoś od siebie na pogrzeb. Nie wiedziałam, że budżet policji pozwala na takie rzeczy.

- Spokojnie, Lydio - powiedział Emmett. - Detektyw Martinez na pewno jest tutaj służbowo. Prawda, pani detektyw?

- Witam, pani Smith. Panie London. - Alice kiwnęła Emmettowi głową. Szczerze mówiąc, przyjechałam tu sama z siebie.

- Opierając się na tej starej teorii, że mordercy często pojawiają się na pogrzebie swojej ofiary? - spytał swobodnie Emmett.

- Nigdy nie wiadomo - odparła Alice.

- Dzisiaj pojawiliśmy się tylko ja i Emmett.

- No tak... Trudno tego nie zauważyć - oświadczyła Alice.

- Jak przypuszczam, oznacza to, że od dnia, w którym doszło do morderstwa, nie posunęła się pani dalej w rozwiązaniu tej sprawy. Wciąż przygląda się pani tej ••mej dwójce podejrzanych. Emmettowi i mnie.

- Niezupełnie - zaprzeczyła Alice. - Pana Londona nigdy nie umieściłam na mojej liście. Sprawdziłszy jego alibi. Naturalnie, pani alibi trochę trudniej zweryfikować. Wspominała pani, że była w domu, w łóżku. Zgadza się? Sama. Takie historie zawsze niełatwo potwierdzić.

- Niełatwo je też zakwestionować - odparła Lydia.

- Ostre dyskusje z policjantem prowadzącym śledztwo - wtrącił się Emmett - nie są zazwyczaj odbierane jako oznaka bycia porządnym obywatelem i chęci współpracy, Lydio.

Lydia poczuła, że się czerwieni.

- Moim zdaniem detektyw Martinez marnuje tutaj czas. Jaki morderca byłby na tyle głupi, żeby przyjść na pogrzeb?

Alice wyprostowała się i otworzyła drzwi harfy.

- Zaskoczyłoby pana, jak często sprawdzają się stare teorie. W każdym razie warto było spróbować.

- Trafiliście w ogóle na jakiś trop? - spytała Lydia.

- Na nic takiego, co by nam naprawdę pomogło - odparła Alice. - Ale pojawił się pewien interesujący szczegół.

- Mianowicie?

- Pojechaliśmy do mieszkania i sklepu Brady'ego, żeby się rozejrzeć - wyjaśniła Alice. - Ktoś jednak nas ubiegł. Wydaje mi się, że czegoś szukał. Całe to miejsce było zdemolowane.

Lydia zauważyła, że stojący obok niej Emmett nagle zamarł. Wpatrzyła się w Alice.

- Czemu ktoś miałby przeszukiwać mieszkanie Chestera?

- Nie wiem - odparta detektyw. - Jak sądzę, pani również nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie?

- Chester nie zadawał się z wieloma przykładowymi obywatelami - oświadczyła Lydia.

- Naturalnie z wyjątkiem tu obecnych - wtrącił cicho Emmett.

Lydia rzuciła mu szybkie spojrzenie i uświadomiła sobie, że mówił o niej. Spozregła, że Alice bacznie obserwuje toczącą się grę.

- Chester był szcurem ruin - powiedziała. - Raz na jakiś czas udawało mu się natrafić na jakieś średnio wartościowe artefakty. Ktokolwiek przeszukał jego rzeczy, musiał usłyszeć o jego śmierci i postanowił sprawdzić, co mu się uda znaleźć, zanim na miejsce dotrze policja.

- Albo to był morderca. - Alice usiadła za kierownicą. - Może upewniał się, że nie pozostawił po sobie żadnych dowodów, które wskazałyby na niego. - Zaczęła zamykać drzwi.

- Moment. - Lydia podeszła bliżej do harfy. - Co miała pani na myśli, kiedy powiedziała, że przyjechała tu pani sama z siebie?

Alice odwróciła głowę, by spojrzeć na Zapomniany Cmentarz. Światło słońca odbijało się od jej ciemnych okularów. Przez chwilę Lydia myślała, że nic nie odpowie.

- Mój szef powiedział mi, że muszę się nauczyć ustalać priorytety - odparła Alice.

- A śmierć Chestera Brady'ego nie znajduje się zbyt wysoko na liście priorytetowych śledztw pani szefa, prawda? - spytała kwaśno Lydia.

- Istotnie. Od poniedziałku zabójstwo Brady'ego oficjalnie idzie w odstawkę. W wydziale nie mają czasu ani ludzi, żeby dalej zajmować się tą sprawą. Zbyt wiele innych śledztw ich absorbuje. Ale miałam wolny ranek, więc uznałam, że nie zaszkodzi, jeśli wybiorę się na ten pogrzeb. Tak jak mówiłam, nigdy nie wiadomo.

Lydii pojętyła, że być może mimo wszystko polubi tę kobietę.

- Dziękuję. Mówię to jako zainteresowany rozwiązaniem tej sprawy obywatel.

Alice kiwnęła głową i zarezonowała zapłon harfy. Lydia patrzyła, jak samochód odjeżdża wąską dróżką prowadzącą z cmentarza. Potem odwróciła się do Emmetta.

- Uch! Blisko było - sapnęła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Zmarszczyła brwi.

- Słyszałeś Martinez. Wiedzą, że ktoś przetrząsnął sklep i mieszkanie Chestera. Mówiłeś mi, że przejrzałeś jego rzeczy, szukając jakiegoś tropu, który by cię doprowadził do twojego sekretarzyka, pamiętasz? I znalazłeś to zdjęcie, a dzięki niemu mnie.

- Ktoś musiał tam być po mnie. - Emmett wyglądał na zamyślnego. - Zostawiłem wszystko dokładnie tak, jak zastałem, wziąłem tylko to zdjęcie.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście.

Lydia przygryzła wargę.

- To znaczy, że ktoś inny...

- Mhm. Może to był ten sam człowiek, który wczoraj wdarł się do twojego mieszkania.

Lydia zadrżała. Spojrzała na opuszczony cmentarz.

- Szkoda, że stara teoria gliniarzy o mordercach przychodzących na pogrzeb ofiary tym razem się nie sprawdziła.

Emmett wyjął z kieszeni kurtki okulary przeciwsłoneczne i je włożył. Znow wziął Lydię pod ramię i ruszyli do slidera.

- A może jednak... - powiedział cicho.

- Co masz na myśli?

- Jeśli spojrzysz na tę grupkę drzew na zboczku wzgórza nad cmentarzem, zobaczysz, że słońce się od czegoś odbija. To pewnie metal. Albo szkło.

- Mówisz poważnie? - Mrużąc oczy przed promieniami słońca, przez parę sekund przyglądała się drzewom. - Nic nie widzę. - Zaczęła się odwracać. I wtedy kątem oka dostrzegła błysk. - Tam! Zgadza się. Widziałam. Ale to może być cokolwiek.

- Na przykład soczewka lornetki.

- Obserwator ptaków? Dzieci bawiące się w lesie? Emmett nie odpowiedział. Otworzył drzwi slidera.

- Dobrze, już dobrze. - Lydia wsiadła do samochodu. - Niewykluczone, że to ktoś, kto przyglądał się pogrzebowi przez lornetkę. Ale po co?

- Może wiedział, że jest tu Martinez, i nie chciał, by go widziano. Albo... - Emmett zatrzasnął drzwi i obszedł slidera z przodu.

- Albo co? - spytała Lydia, gdy tylko usiadł za kierownicą.

- Albo był tutaj z tego samego powodu, co Martinez.

- Chciał zobaczyć, kto przyjdzie na pogrzeb?

- Właśnie.

- Można dostać od tego gęziej skórki.

Emmett tego nie skomentował. Zarezonował zapłon. Błyskolit się roztopił. Wielki silnik jęknął z głodu.

Wyjechał sliderem z małego, żuźlowego parkingu i skręcił w wąską dróżkę. Lydia zapadła się w fotel i po raz ostatni spojrzała na smutny cmentarz.

Pomyślała o wyjątkowo krótkiej ceremonii, jaką zorganizował dom pogrzebowy. Czekał, który wypisała, by pokryć koszty pochówku, niebezpiecznie obniżył stan jej konta. Oby nie musiała znów ograniczać Futrzakowi por*

cji precelków.

A potem uzmysłowiła sobie, że była jedyną osobą, która przyszła na pogrzeb z powodów osobistych. Emmett i Alice się nie liczyli. Oboje mieli inne plany.

Nie powinno jej było zaskoczyć, jak żałośnie przygnębiająca wydawała się ta krótka ceremonia niemal bez żałobników. Dokładnie tego należało się spodziewać. Tak właśnie jest, kiedy nie ma się żadnej bliskiej rodziny ani przyjaciół.

Powróciły wspomnienia o tym, co powiedział jej kiedyś Chester w Łoży Surrealistycznej po paru kieliszkach taniego wina. „Coś nas łączy, Lydio, ciebie i mnie. Oboje jesteśmy na świecie sami. Musimy trzymać się razem”.

A ilu ludzi by dzisiaj przyszło, gdyby to był jej pogrzeb? W myślach zaczęła ich wylizywać. Pewnie Olinda i Zane. Ryan? Nie. On by się nie pofatygował. Mogłoby jednak zjawić się paru byłych kolegów z wydziału paraar-cheologii. Melanie Toft? Chyba tak. Pracowały razem już od kilku miesięcy.

Emmett spojrzał na jej dłoń opartą na siedzeniu.

- Co robisz?

- Co? - Wyrwana z zadumy popatrzyła na niego. - Po prostu nad czymś się zastanawiałam.

- Liczyłaś.

- Liczyłam?

- Na palcach.

Zerknęła na swoją lewą dłoń tuż przy jej udzie i z zażenowaniem stwierdziła, że wyprostowała trzy palce.

- Matematyka nigdy nie była moją mocną stroną -mruknęła. Umyślnie rozczapierzyła na siedzeniu wszystkie pięć palców.

Na szczęście Emmett nie drażył dalej. Nie chciała mu mówić, że próbowała policzyć, ile osób przyszło na jej pogrzeb. Na pewno nie zamierzała dawać klientowi jakichkolwiek powodów, by uwierzył w plotki, że nie jest w pełni stabilna psychicznie.

Niemniej po raz pierwszy od kilku miesięcy wydawało jej się, że odkryła jakiś znak tej szarej mgły, która spowijała jej świat od czasu Zaginionego Weekendu. Wiedziała z doświadczenia, że lepiej nie przyglądać się zbyt dokładnie tej mgle, lepiej się skupić na czymś innym.

- Myślę, że detektyw Martinez mogła mówić szczerze, że pragnie odnaleźć zabójcę Chestera - odezwała się. - Ale nie wygląda na to, by otrzymała zbyt dużo wsparcia od swoich przełożonych.

- Priorytety. Wszyscy je mają. Policja nie jest żadnym wyjątkiem - stwierdziła Emmett.

- No tak. Racja. Priorytety. Wiesz, Emmett, nie sądzę, żeby detektyw Martinez odnalazła zabójcę Chestera.

Emmett nic nie powiedział.

Ukradkiem wyjęła z kieszeni jego wilgotną chusteczkę i otarła kilka śmiesznych, kompletnie nieuzasadnionych łez.

Rozdział 12

Tego popołudnia już po piątej Emmett wjechał slide-rem do strefy wyladunku niedaleko wejścia do Domu Pradawnej Grozy Shrimptona. Wsiadł, oparł się o zderzak i skrzyżował ręce. Czekał na Lydię.

Po skromnym pogrzebie tego ranka wysadził ją przed Muzeum Shrimptona i obiecał, że odbierze ją po pracy. Resztę dnia spędził, planując nową strategię odnalezienia Quinna. A przynajmniej wmawiał sobie, że to właśnie robił.

Nawet nieźle udało mu się skupić uwagę na całym tym bałaganie, który przyjechał uporządkować w Kadencji. Problem polegał na tym, że częścią tego bałaganu była Lydia, a za każdym razem kiedy o niej myślał, bałagan stawał się jeszcze większy.

Słowa, które usłyszał od niej ubiegłej nocy, pobrzmiewały w jego głowie dysonansem, zaburzając uporządkowane myśli. „Zdolności psi wiążą się z pewnymi dziwactwami... Nie przejmuj się. Jestem pewna, że jutro rano wrócisz do normy”.

Cholera, czy ona naprawdę myślała, że ta namiętność, która rezonowała między nimi, była skutkiem tego konkretnego, pararezonerskiego „dziwactwa”, które dotykało tylko łowców duchów?

Zmusił się, by skierować myśli na inny tor, i zaczął przyglądać się ogromnej ekstrawaganckiej makiecie fasady Wymarłego Miasta na ścianie budynku, w którym mieściło się Muzeum Shrimptona. Jego zdaniem sam budynek, z krzykliwymi kopułami, przedziwnymi iglicami i imitacjami łuków, nadawał się do jakiegoś horroru, przynajmniej z architektonicznego punktu widzenia. Miał być repliką ruin, tymczasem choć trochę podobna do oryginału była tylko zielona farba na ścianach. Brakowało mu tego typowego wdzięku i harmonijskich proporcji naziemnych struktur Wymarłego Miasta.

Gdy tak przypatrywał się muzeum, Lydia wyszła frontowymi drzwiami. Zobaczyła slidera i szybkim krokiem ruszyła w jego stronę.

Jak, u diabła, wylądowała w takim miejscu? - pytał sam siebie. I przypomniał sobie to, co wiedział o jej przeszłości. Zastanawiał się nad tym, w jaki sposób i dlaczego wytworzyła się więź między nią a kimś takim jak Chester Brady. Uświadomił sobie, że odpowiedział już na to pytanie. Była na świecie sama. Pół roku temu, gdy spadło na nią nieszczęście, nie miała rodziny, a tylko bardzo ograniczone środki, które mogły zamortyzować ten wstrząs.

Ryan Kelso z pewnością nie pośpieszył jej z pomocą. Emmett uważał, że to dość interesujące. Przeczytał w raporcie, jaki niezwłocznie przygotowali jego ludzie, że Lydia i Kelso niemal rok pracowali w tym samym zespole. Byli współautorami kilku prac o harmonijskich wykopaliskach. Najwyraźniej po Zaginionym Weekendzie Kelso doszedł do wniosku, że w jego karierze Lydia na nic mu się już nie przyda. Jak to określiła Martinez? „Priorytety”.

Sukinsyn.

- Coś się stało, Emmett? - Lydia zatrzymała się tuż przed nim, marszcząc brwi. - Dostałeś mandat za parkowanie w strefie wyładunku?

- Nie. - Otrząsnął się z wrogości, jaką poczuł nagle do Kelso, wyprostował się i otworzył jej drzwi. - Moje akta, jako przykładowego filaru tej społeczności, pozostają czyste.

Zatrzasnął drzwi z jej strony i obszedł slidera. Wygląda lepiej niż rano, pomyślał. Świadczące o przygnębieniu cienie pod jej oczami znikły. Miał wrażenie, że wciąż gdzieś tam są, powróciła jednak znajoma determinacja. Lydia zdecydowanie była wojowniczką.

- Jak tam w pracy? - spytał, zjeżdżając z krawężnika.

- Spokojnie. - Skrzywiła się. - Shrimp wciąż narzeka, bo ten niewielki ruch w interesie po śmierci Chestera już się skończył. Omal mu nie przyłożyłam. Pewnie bym to zrobiła, gdyby Melanie mnie nie powstrzymała.

- Dobry sposób na to, żeby stracić pracę.

- Uhm. - Przez kilka sekund milczała. - Cały dzień myślałam o Chesterze.

- A co?

- Chcę, żeby znaleźli jego mordercę, Emmett.

- Martinez bardzo się stara.

- Martinez tak właściwie sama się przyznała, że nic nie wie. Zastanawiałam się, czy nie wynająć prywatnego detektywa. Jak myślisz, ile by to kosztowało?

- O wiele więcej niż możesz sobie pozwolić - odparł łagodnie. - W tej chwili mamy inne problemy, Lydio. Skup się na tym.

- No tak. Skupić się. A może to wszystko jest powiązane, Emmett? - zagadnęła. - Może, jeśli odnajdziemy twojego siostrzeńca i twój sekretarzyk, znajdziemy też zabójcę Chestera.

- Może - powiedział ostrożnie.

- To by mi pasowało. - Zaciśnęła dłoń. - Naprawdę by mi pasowało.

Nie chciał, by dostała obsesji na punkcie tego aspektu sprawy. Według raportów, jakie czytał, miała skłonności do podejmowania ryzyka, gdy dążyła do jakiegoś celu.

- Przy odrobinie szczęścia dziś wieczorem wydobędę od Wyatta jakieś informacje, które mogą nam podsunąć trop - oznajmił.

Błyskawicznie odwróciła głowę.

- Denerwujesz się przed kolacją z Mercerem Wyat-tem? - spytała.

- Nie. Ale nie powiem, że nie mogę się doczekać.

- Nie mam ci tego za złe. Przychodzi mi do głowy z tysiąc innych rzeczy, które wolałabym robić, włącznie z wizytą u dentysty.

- Dlaczego tak mówisz?

- Mercer Wyatt zdobył w tym mieście ogromną władzę. A to znaczy, że jest niebezpieczny.

- Wszyscy szefowie Gildii mają silne wpływy gospodarcze i polityczne w swoich miastach.

- Wyatt rządzi Gildią z Kadencji tak, jakby było to jego prywatne lenno. Wszyscy o tym wiedzą. Niesamowicie się wzbogacił dzięki dochodom Gildii. Politycy tańczą tak, jak on im zagra.

- A więc jest bardzo wpływowym człowiekiem. W każdej społeczności są ludzie, którzy potrafią nią potrząsnąć. - Nie był w nastroju na tę rozmowę. - Bez obrazy, Lydio, ale wykazujesz objawy paranoi na punkcie łowców.

Poirytowana zacisnęła usta. Przez chwilę myślał, że jednak mimo wszystko mu powie, że może ją sobie zwolnić. Ale zamiast tego oznajmiła:

- Zmieniłam zdanie. Jadę z tobą.

Tak go zaskoczyła, że niemal zapomniał skręcić na parking Apartamentów z Widokiem na Wymarłe Miasto.

- Nie ma takiej potrzeby - rzucił szorstko.

- Nie, nie. W porządku. W końcu jesteś moim klientem. A to będzie tak jakby biznesowa kolacja, prawda?

Pomyślał o tym, jak będzie trudna.

- Tak jakby.

Zaparkował slidera obok starego floata, zderezonował silnik i otworzył drzwi. Lydia wysiadła od strony pasażera. Razem ruszyli do drzwi budynku.

Lydia zatrzymała się i wpatrzyła w nie zdumiona.

- Są naprawione!

- Zane i ja zajęliśmy się tym dzisiaj, kiedy byłeś w pracy - wyjaśnił Emmett. - Niestety niezbyt się znam na naprawianiu wind. - Zderezonował zamek.

- Hej, Lydia! Panie London! - Zane machał do nich z trzeciego piętra.

- Cześć, Zane. Świetna robota z tymi drzwiami.

- Pan London mi pomagał - oświadczył z dumą Zane. -1 wiesz co?

- Co? - spytała.

- Przyszedł do ciebie list. Przywiózł go jakiś gość z firmy kurierskiej Rezonansowa Sztafeta. Chciał, żeby ktoś podpisał, więc to zrobiłem.

- O rany! - Uśmiechnęła się do niego krzywo. - To pewnie moje zaproszenie na Bal Przywrócenia. Zastanawiałam się, co się z nim dzieje. Cholera! Mam tylko nadzieję, że jeszcze nie jest za późno i uda mi się kupić jakąś suknię balową. Wszystkie najlepsze już prawdopodobnie wykupiono. Zane zarechotał.

- Nie, nie. Naprawdę. Zaraz ci go przyniosę. Odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem.

Gdy wpatrywali się w klatkę schodową, Emmett spojrzął na Lydię.

- Bal Przywrócenia? Zmarszczyła nos.

- To taka wielka impreza towarzyska pod koniec roku. Wszystko zaczęło się siedemdziesiąt pięć lat temu, w ramach dorocznych obchodów zakończenia Czasu Niezgody, tymczasem zrobiło się z tego najważniejsze wydarzenie towarzyskie tu w Kadencji. Będzie tam każdy, kto coś znaczy w miejscowej polityce albo biznesie.

Kiwnął głową.

- Rozumiem. Bywasz tam zazwyczaj? Popatrzyła na niego rozbawiona.

- Nie bądź śmieszny. Żartowałam. Oczywiście, że nigdy nie chodzę na Bal Przywrócenia. Jak ja wyglądam? Jak Amberella? W tej okolicy dobre wróżki nie kręcą się po zmroku.

Zane zbiegł ze schodów, wymachując brązową kopertą. Emmett ucieszył się, że nie musi odpowiadać na to krępujące retoryczne pytanie.

- Od kogo? - spytała Lydia.

- Nie wiem. - Zane podał jej list. - Adres zwrotny to jeden z tych numerów skrytki, których używają w prywatnych serwisach pocztowych.

Lydia przyjrzała mu się uważnie, biorąc do ręki kopertę.

- Już sprawdzałeś, prawda?

- Jasne. W tej okolicy nieczęsto dostajemy przesyłki od takich firm jak Rezonansowa Sztafeta. Wydaje mi się, że kurier czuł się trochę nieswojo. To dlatego tak mu zależało, żebym się za ciebie podpisał. Nie chciał tu wracać.

- Mięczak. - Lydia rozdarła kopertę. Wypadł z niej klucz. Brzęknął o stopień schodów.

- Podniosę. - Emmett zgarnął z ziemi stalowy klucz z bursztynem.

- Dzięki. - Wyciągnęła z koperty list i go rozłożyła. Z jej oczu znikło rozbawienie. - O mój Boże! To od Che-ster'a.

- Od Brady'ego? - Emmett mocniej zacisnął palce na kluczu. - Kiedy go napisał?

Przejrzała tekst.

- Miał straszny charakter pisma. Nie widzę żadnej daty. Zaraz, zaraz, tu jest. W ubiegły poniedziałek.

Emmett szybko policzył dni.

- Dzień przed tym, kiedy został zamordowany. Ciekawe, czemu dostałaś go dopiero dzisiaj.

Lydia szybko przeczytała list.

- Pisz, że zostawił instrukcje, by ten list został dostarczony po jego pogrzebie.

Emmett oparł ramię o ścianę klatki schodowej.

- Posłuchajmy, co chciał ci powiedzieć.

Lydia odetchnęła głęboko i zaczęła czytać na głos:

Droga Lydio,

jeśli czytasz ten list, znaczy to, że przeszedłem przez Kurtynę. W niezbyt przyjemny sposób. Możesz go traktować jako moją ostatnią wolę i testament. Wiem, że mieliśmy parę nieporozumień, ale interes to interes.

Nigdy Ci tego nie mówiłem, lecz czasami, kiedy rozmawialiśmy o różnych rzeczach w Surrealistycznej, udawałem, że tak naprawdę jesteśmy na randce. Nieraz, gdy wracałem do siebie, myślałem o tym, jak mogłoby być, gdybyś nie była taka miła i gdybym ja nie był taki popieprzony.

W kółko Ci powtarzałem, że jesteś za dobra, żeby to było dobre dla Ciebie. Nadal twierdzą, że ta uczciwość, lojalność, ciężka praca i całe to gówno daleko Cię nie zaprowadzą. Muszę jednak przyznać, że nawet miło było wiedzieć, że na świecie naprawdę żyją tacy ludzie jak Ty. I nie mówię tego tylko dlatego, że zarobiłem na nich mnóstwo łatwej kasy.

Tak czy inaczej, piszę to po to, byś wiedziała, że jeśli cokolwiek mi się stanie, chcę, żebyś miała aktywa z mojego planu emerytalnego. Znajdują się w Banku Róży. Użyj tego klucza, żeby się do nich dostać.

Żegnaj, Lydio, i dziękuję Ci za wszystko.

Twój Chester

PS Nadal twierdzą, że byłoby Ci lepiej bez tego sukinsyna Kelsa, który się koło Ciebie kręci. Sama się przekonasz. On wykorzystuje ludzi, Lydio. Znam takich facetów. Może dlatego, że sam jestem jednym z nich.

Lydia nagle przestała czytać. Nastąpiła krótka przerwa. Emmett patrzył, jak szuka chusteczki, którą dał jej na pogrzebie. Zane wyglądał na przerażonego, gdy ocierała łzy. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, lecz zrezygnował, gdy Emmett wbił w niego wzrok i pokręcił głową.

Po chwili Lydia wepchnęła chusteczkę do torebki i wzięła klucz od Emmetta.

- No cóż - westchnęła - to powinno być interesują* ce. Ciekawe, jakie to aktywa trzymał Chester na swoim planie emerytalnym.

Emmett zerknął na zegarek.

- Za późno już, żebyśmy mogli to sprawdzić. Banki są już zamknięte.

- Nie Bank Róży - zapewniła go. - On zawsze jest otwarty.

Rozdział 13

Lo za Surrealistyczna jest wszystkim tym, czego można by oczekiwać od miejsca, jakie służyło Chesterowi Bra-dy'emu za dom poza domem, stwierdził Emmett półtorej godziny później. Powietrze pachniało kiepskim alkoholem, synchronym i zjełczalym tłuszczem do smażenia. Lokal spowijał wieczny mrok, charakterystyczny dla tanich nocnych klubów.

Dochodziła siódma. Stali klienci już się rozgościli. W obskurnych boksach siedzieli mężczyźni z włosami lśniącymi od brylantyny i kobiety w zbyt obcisłych sukniach. W Łoży była niewielka scena. Plakat zapowiadał występ zespołu Ziemskie Tony, który miał zagrać o dziewiątej. Tymczasem z dwóch głośników płynął zaskakująco dobry rezojazz.

Emmett pomyślał o fotografii Lydii sączącej drinka z Chesterem w jednym z tych czerwonych winylowych boksów.

- Często tu przychodzisz? - spytał oschle.
- Przez ostatnie dwa lata parę razy w miesiącu - odparła poważnie. - Leci dobra muzyka.
- Dwa lata?
- Mówiłam ci, tak długo znałam Chestera.
- Aha.

Zręcznie ominęli kelnerkę. Niosła tacę z baterią butę* lek piwa Biały Szum i miseczkę wypełnioną drobnymi kawałkami czegoś tak wysmażonego na głębokim tłuszczu, że nie dało się już tego rozpoznać.

- Która z nich to Róża? - spytał.
- Za barem. - Poprowadziła go przez zatłoczone pomieszczenie, z łatwością kogoś, kto doskonale zna ten lokal.

Emmett obserwował ją, gdy szła przed nim. Kompletnie nie pasowała do tego brudnego, obskurnego otoczenia. Jej rude włosy pobłyskiwały jak radosne ognisko w chorym żółtym świetle lampek na stolikach. Ubrała się na kolację z Mercerem Wyattem tak, jakby wybierała się na spotkanie ze swoim prawnikiem czy bankierem. Wyglądała bardzo oficjalnie w obcisłym, ciemnobrązowym kostiumie i skromnych butach. Wydawała się tu zupełnie nie na miejscu, jednak kelnerka przywitała ją przyjaznym skinieniem głowy.

- Cześć, Becky. - Lydia też kiwnęła głową. Zatrzymała się przy końcu baru. Emmett stanął przy

niej.

- To Róża - powiedziała, wskazując na wielkiego mężczyznę z ogoloną czaszką, nalewającego whisky za ladą.

Emmett przyglądał się potężnemu karkowi, zwalistym ramionom i tatuazom na bicepsach uwypuklających się pod rękawami jaskrawozielonego T-shirta.

- Co za imię! - mruknął.

- Róża jest naprawdę strasznie kochany.

- Nie wątpię.

- Jest pararezonerem muzyczno-harmonicznym. Ma klasyczne wykształcenie muzyczne. Ale woli rezojazz.

Tb by wyjaśniało te świetne dźwięki w tle, pomyślał Emmett. Róża znał się na muzyce.

- O! Witaj, Lydio! - Twarz olbrzyma pojaśniała, gdy dostrzegł ją na końcu baru. - Wspaniale, że wpadłaś. Myślałem, że teraz, kiedy Chester nie żyje, no wiesz, nieczęsto będziesz do nas zaglądać.

Emmett patrzył, jak barman sunie w ich stronę. Poruszał się miękko, swobodnie i nadzwyczaj zgrabnie.

- Cześć, Różo. - Lydia stanęła na palcach i pochyliła się nad barem, by lekko musnąć ustami policzek Róży. -Trudno uwierzyć, że Chestera już nie ma, prawda?

- Szczerze mówiąc, dziwiłem się, że przeżył aż tak długo. - Róża oparł swoje potężne ramiona na barze. -W trakcie swojej wieloletniej i zmiennej kariery Brady'e-mu udało się wkurzyć właściwie każdego, kogo znał. -Róża spojrzał na Emmetta. - Kim jest twój przyjaciel?

Emmett wyciągnął dłoń.

- Emmett London. Jestem klientem Lydii.

- Klientem, tak?

Barman uściśnął mu dłoń, stanowczo, lecz kulturalnie; nie próbował zademonstrować swojej siły, miażdżąc mu rękę. Emmett doszedł do wniosku, że Róża dobrze się czuje z samym sobą i swoimi gabarytami. Potrafił zrozumieć, dlaczego Lydia tak bardzo go lubi.

- Wybieramy się na służbową kolację - wyjaśniła Lydia.

- Bez jaj. - Róża zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. - Nie gniewaj się, Lyd, ale brązowy to nie jest kolor dla ciebie.

- Będę o tym pamiętać następnym razem, kiedy wybiorę się na zakupy. Różo, trochę się spieszymy. Mam klucz do skrytki Chestera. Mogłabym odebrać jego rzeczy?

- Jasne. Kiedyś mi mówił, że gdyby coś mu się stało, przyjdiesz po nie. - Róża zerknął na kelnerkę. - Pilnuj interesu, Becky. Zaraz wracam.

Becky uniosła dłoń na znak, że usłyszała.

- Tędy proszę, do Banku Róży.

Przekręcił klucz w zamku drzwi za barem i poprowadził ich ciemnym korytarzem. Lydia szła za nim, a za nią Emmett.

Drzwi były zaskakująco ciężkie. Zamknęły się za całą trójką z głuchym łomotem. Magnetostal, pomyślał Emmett. Trzeba by solidnej lampy lutowniczej albo małej bomby, żeby się przez nie przedostać. Ściany korytarza wyłożono tym samym materiałem.

Róża zarezonował włącznik. Korytarz zalało zimne światło fluorezonacyjnej żarówki w suficie i ich oczom ukazały się dwa rzędy skrytek z magnetostali, zabezpieczonych ciężkimi, magnetorezonacyjnymi zamkami.

- Wygląda jak skarbiec w banku - zauważył Emmett.

- Strzeżony dwadzieścia cztery godziny na dobę -dodał Róża, idąc między rzędami szafek. Od jego ogolonej na łyso głowy odbijało się fluorezonacyjne światło. -Żeby się tu dostać, trzeba przejść obok mnie albo mojej partnerki. Łoża Surrealistyczna jest otwarta całą dobę, a więc nie zdarza się, by nie było nikogo za barem. Z dumą mogę powiedzieć, że Bank Róży nigdy nie został obrabowany.

- Założę się, że nigdy też nie był ubezpieczony, opodatkowany, nie dostał licencji ani nie przeszedł audytu -stwierdził Emmett.

Róża zatrzymał się przed jedną ze skrytek.

- Nie. Tu, w Banku Róży, nie mamy zbyt wiele do czynienia z urzędami.

- Róża obsługuje raczej specyficznych klientów -mruknęła Lydia, sięgając do torebki.

- Wynajmujemy skrytki ludziom, którzy wolą nie korzystać z usług tego, co nazwałby pan tradycyjnym bankiem - wyjaśnił Róża.

- Zapewne dlatego, że większość z nich prawdopodobnie natychmiast by aresztowano, gdyby zjawili się na progu prawdziwego banku. - Lydia wyciągnęła klucz, który dostała w brązowej kopercie. - Orientujesz się, co Chester tu trzymał?

- Nie. - Róża wziął od niej klucz. - Polityka Banku Róży polega na tym, by nie zadawać żadnych niezręcznych ani kłopotliwych pytań. Dopóki płacisz w terminie za skrytkę, jesteś cenionym klientem.

Zamek kliknął, gdy klucz na chwilę zakłócił wzorzec jego wewnętrznego rezonansu. Róża otworzył drzwiczki. Lydia podeszła do niewielkiej skrytki i do niej zajrzała.

- Wygląda mi to na stary marynarski worek - powiedziała i wyciągnęła rękę.
- Ja to wezmę - zdecydował Emmett.

Stała z boku, by mógł wyciągnąć ze skrytki mały, poszarpany płócienny worek. Niezbyt ciężki. Lydia spojrzała na worek.

- Ciekawe, czemu chciał, żebym to dostała?
- Chyba nie miał nikogo innego, komu mógłby zostawić swoje stare rzeczy. - Róża zamknął drzwiczki skrytki. - Tylko Ciebie Chester nazwałby przyjacielem. Zawsze mi mówił, że wiele was łączyło.

Lydia postawiła worek przed sobą, na podłodze slide-ra. Gdy Emmett wsiadał za kierownicę i rezonował silnik, rozsunęła zamek błyskawiczny. W świetle odbijającym się od deski rozdzielczej zobaczyła wypchaną, pękatą kopertę i małą papierową torbę.

- Może zaraz staniesz się szczęśliwą właścicielką wygranego losu - powiedział Emmett.
- Pozwól, że nie będę wstrzymywać oddechu - Lydia wzięła do ręki kopertę. - Chestera nikt nie nazwałby szczęściarzem.

Złamała pieczęć na kopercie i wyjęła garść pożółkłych papierów. Spojrzała na pierwszy z nich. Fala mroku, która przez cały dzień na przemian spowijała ją i ustępowała, jeszcze raz się spiętrzyła i na chwilę ją zalała.

- Co to? - spytał Emmett.
- Podanie Chestera o przyjęcie w poczet członków Stowarzyszenia Paraarcheologów. I odmowy, które odsyłało mu Stowarzyszenie. - Pokręciła głową, oszołomiona. - Zawsze mi mówił, jak strasznie gardzi Stowarzyszeniem. Ale według tych dokumentów, ubiegał się o członkostwo co roku, przez dwadzieścia lat.

- I co roku dostawał odmowę?
- Mhm. Biedny Chester. W głębi serca musiał desperacko pragnąć uznania.
- Wątpię, aby te papiery były jego planem emerytalnym.
- Pewnie nie.

Wsunęła dokumenty z powrotem do koperty i sięgnęła do worka po papierową torebkę. W chwili gdy jej dotknęła, zamarła. Przeszył ją dreszcz zrozumienia. Energia psi.

- O rany - szepnęła.

Emmett bacznie jej się przyjrzał.

- O co chodzi?
- To coś starego. - Delikatnie położyła torebkę na kolanach. - Coś bardzo, bardzo starego.

- Harmonijski artefakt?
 - Tak. - Tego rezonansu nie mogła pomylić z niczym innym. W końcu była paraarcheologiem. Jednym z najlepszych. - Ale jest tu coś jeszcze. Przysięgłabym, że wyczuwam ślady pułapki energetycznej. Nie, to niemożliwe. Jeszcze nigdy nie odkryto pułapki poza Wymarłymi Miastami. Nie ma jej jak zakotwiczyć.
 - Nigdy nie mów nigdy, zwłaszcza w odniesieniu do pradawnych Harmonijczyków. Wciąż jeszcze bardzo wiele o nich nie wiemy. Bądź ostrożna, Lydio.
 - Hej, to ja tu jestem ekspertem, zapomniałeś?
 - Nie zapomniałem. Ale i tak bądź ostrożna.
 - Założę się, że jako łowca duchów byłeś koszmarnie upierdliwy we współpracy.
 - Niejeden tak twierdził - przyznał. - Z drugiej strony, nigdy nie straciłem żadnego paraarcheologa.
- Zignorowała to, ostrożnie obracając w dłoniach papierową torebkę. Potem bardzo ostrożnie ją otworzyła i zajrzała do środka. W półmroku ledwie dostrzegła ciemny, zaokrąglony przedmiot wielkości mniej więcej jej dwóch zaciśniętych pięści.
- W tym rezonansie jest coś dziwnego - powiedziała. - To niewątpliwie autentyk. Bardzo, bardzo stary. Ale te wibracje... nigdy nie wyczuwałam czegoś takiego w tak starych artefaktach.
 - Wciąż wyczuwasz ślady pułapki energetycznej?
 - Nie jestem pewna. Za dużo tego wszystkiego. To prawie jak... - urwała. Robienie z siebie głupca przy kliencie nie jest dobrą polityką.
 - Jak co?
 - Nie uwierzysz mi, jeśli ci powiem. - Lydia trzymała papierową torebkę osłoniętą dłońmi i próbowała powściągnąć swoją rozszalałą wyobraźnię. To niemożliwe, myślała. Niemożliwe. A co, jeśli?...
- Euforia-natychmiast znikła, gdy przyszło jej do głowy kolejne „co, jeśli?”. Co, jeśli rzeczywiście utraciła zdolność pararezonansu? Tak jak podejrzewali Ryan i inni? Co, jeśli ta katastrofa pół roku temu dopiero teraz wyzwoliła u niej opóźnioną reakcję? Co, jeśli się myliła?
- Lydio? Wszystko w porządku?
 - Tak.
 - Co jest w tej torebce?

Spokojny głos Emmetta ją otrzeźwił. Wyrzała przez okno slidera i stwierdziła, że zostawili już za sobą ruchliwe miejskie ulice. Wjeżdżali teraz na jedno ze wzgórz nad miastem, w dzielnicę ekskluzywnych rezydencji. Długich podjazdów prowadzących do domów strzegły masywne bramy.

- Lydio? Powiesz mi, co jest w tej torebce?

- Tak. - Był tylko jeden sposób, by się przekonać, czy naprawdę trzyma w dłoniach coś niezwykłego, czy też może jutro z samego rana powinna zgłosić się na miły, spokojny oddział parapsychiatryczny.

Głębokie oddechy.

Zaczerpnęła powietrza, skupiła się i sięgnęła do torebki. Po jej nerwach przebiegł kolejny, o wiele silniejszy dreszcz podniecenia, gdy dotknęła ciepłej, gładkiej powierzchni.

- Wygląda mi to na butelkę - szepnęła. Emmett nie spuszczał oczu z krętej drogi.

- A co z energią pułapki? Mówiłaś, że ją wyczuwasz.

- Nie martw się. Wiem, co robię.

Nic nie powiedział, ale zjechał na pobocze i zderezo-nował silnik. Odwrócił się i obserwował ją bacznie, gdy powoli wysuwała artefakt z papierowej torebki.

Natychmiast przekonała się, że się nie pomyliła.

- Co to, u diabła, jest? - spytał cicho Emmett.

- Flakonik na maść, jak sędzę. - Przyjrzała mu się uważniej, próbując się skoncentrować na połyskującej powierzchni. - Ale nie przypomina niczego, co kiedykolwiek widziałam.

Wpatrywała się w przedmiot w swoich dłoniach. W słabym, odbitym świetle z deski rozdzielczej szczelnie zamknięte naczynie wydawało się jarzyć własnym, wewnętrznym blaskiem. Kolory poruszały się, przesuwwały i wirowały na flakoniku. Dostrzegła odcienie czerwieni i złota, których nie potrafiła nawet nazwać. Płynnie przechodziły w dziwne zielenie i błękity, jeszcze zanim zdołała je opisać.

Głośno przełknęła ślinę.

- Emmett? Proszę, powiedz mi, że nie widzę rzeczy, których nie ma. Naprawdę nie chcę wracać na terapię.

Wbił wzrok w pojemniczek.

- Cholera, to nie... To niemożliwe! Potrzebujemy lepszego światła.

Sięgnął do schowka między fotelami i wyjął małą latarkę. Zarezonował ją i skierował snop światła na prastare naczynie.

Przez długą chwilę oboje po prostu siedzieli, zapatrzeni w artefakt. W jasnym świetle latarki barwy na jego powierzchni pulsowały życiem. W najszerszej części smukłego flakonika falowało niespokojne morze światła i ciemności. Każdy kolor wydawał się powołany do życia własnym, wewnętrznym źródłem energii. Nieskończone głębie oślepiającego światła i barw pojawiały się i znikały.

- Oniryt. - Głos Emmetta nie wyrażał żadnych emocji.

- Niemożliwe - powtórzyła znów Lydia.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że to nie może być nic innego. - Wziął naczynie z jej dłoni i obrócił je lekko, tak by światło latarki grało na jego powierzchni. - Czysty, obrobiony oniryt. Cholera, niezły plan emerytalny.

Lydia powoli pokręciła głową, niezdolna uwierzyć własnym oczom ani zmysłom psi.

Oniryt. Kamień z marzeń. Nadano mu dobrą nazwę. Od czasu do czasu w pobliżu wygasłych wulkanów odkrywano niewielkie jego złoża, zazwyczaj tkwiące w przezroczystym kwarcu. Był nie tylko niezwykle rzadki, lecz jak dotąd opierał się wszelkim próbom wydobycia go z ochronnych warstw kwarcu. Rozpadał się przy najlżejszym dotyku, równocześnie topiąc się i rozpadając na mikroskopijne odłamki.

Ludzie żyjący na Harmonii nie wynaleźli jeszcze technologii, dzięki której można by go obrabiać, nie niszcząc go przy tym. Dla poszukiwaczy i kompanii górniczych rzeczywiście był kamieniem z marzeń. Niesamowicie piękny, gdy się go odkrywało, znikał w chwili, gdy tylko wyciągało się rękę, by go dotknąć.

Jednak flakonik w dłoni Emmetta był niezbitym, rzetelnym dowodem na to, że pradawni Harmonijczycy wiedzieli, jak obrabiać oniryt.

Lydia poczuła, jak na jej karku zjeżyły się włoski.

- Może to właśnie zabiło Chestera?

- Jak najbardziej prawdopodobne. - Emmett lekko obrócił naczynie. - Niewiarygodne.

- Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza?

- Oznacza, że gdyby Chester żył na tyle długo, by sprzedać to jakiemuś muzeum czy prywatnemu kolekcjonerowi, zapewniłby sobie dostatek na całe życie.

Lydia zbyła to machnięciem ręki.

- Wartość pieniężna jest tu nieistotna. Nie da się tego wycenić, bo jak do tej pory nigdy nie znaleziono czegoś takiego.

- Wierz mi, Lydio, wszystko ma swoją cenę.

- Najważniejsze jest to, że oniryt można obrabiać. Nie rozumiesz? To naczynie o tym świadczy. Musi istnieć sposób, by nastroić oniryt impulsami psi, tak aby pozwalał się obrabiać jak każdy inny surowiec. Kto wie, jakie ma właściwości w tej postaci?

- Dobre pytanie. - Nie odrywał oczu od naczynia.

- Kiedyś w przeszłości właśnie Harmonijczycy ten sposób odkryli.

- Tak.

Zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że on nie docenia wagi tego niesamowitego odkrycia. Ale przecież był biznesmenem, nie archeologiem. A raczej biznesmenem--łowcą duchów, poprawiła się w myślach. Pewnie mało co robiło na nim wrażenie.

Emmett znów obrócił naczynie.

- Ciekawe, gdzie Brady to znalazł.

- Kto wie? Chester był szczurem ruin. Ciągłe na własną rękę nielegalnie badał katakumby. Musiał się natknąć na ten oniryt podczas jednej ze swoich wypraw w podziemia.

Patrzyła, jak Emmett obraca flakonik o dziewięćdziesiąt stopni, tak by kolejną jego część oświetliła latarka. Gdy dostrzegła sylwetkę ptaka w locie, uwięzionego na zawsze wśród pulsujących strumieni barw, niemal przestała oddychać.

- Emmett...

- Widzę. - Teraz jego głos brzmiał tak, jakby naprawdę był pod wrażeniem. I powinien być, pomyślała. Tyle lat ludzie prowadzili wykopaliska w harmonijskich ruinach, a jeszcze nikt nigdy nie natknął się na jakiegokolwiek świadectwo tego, że ten pradawny lud uprawiał sztukę figu-ratywną.

Dawno zaginieni mieszkańcy Wymarłych Miast nie pozostawili żadnych malowideł ani rysunków zwierząt, roślin czy samych siebie. Żadnych marin ani pejzaży, żadnych przedstawień tego, jak wyglądał dla nich świat ani jak postrzegali samych siebie w swoim środowisku. A przynajmniej ludzie nie znaleźli niczego, co potrafiliby jako takie zinterpretować.

Aż do teraz.

A teraz małeńki ptak leciał przez głębię morza kolorów, pulsującego na powierzchni małego naczynia, które nie powinno istnieć.

Emmett powoli się wyprostował i wyłączył latarkę.

- Wygląda na to, że twój kumpel Brady dokonał najważniejszego odkrycia od czasu, gdy Caldwell Frost zabłąkał się w ruinach Starej Frekwencji i doszedł do wniosku, że ktoś uczynił go bogiem.

- Fantastyczne - wyszeptwała Lydia. - Niesamowite.
 - Jest coś jeszcze w tym worku?
 - Co? Ach, racja. Worek. - Lydia zajrzała do torby i pomacała ręką. Pod palcami wyczuła kolejną kopertę. - Coś jeszcze znalazłam.
- Wyjęła kopertę i otworzyła ją. Ze środka wypadło zdjęcie. Przysunęła je do światła i zobaczyła siebie i Che-stera w Łoży Surrealistycznej. Chester, dumny jak paw, trzymał przed sobą tom „Dzienników Paraarcheologii”.
- Lubił wasze wspólne zdjęcia, prawda? - spytał Em-mett.
 - Tak. - Przyglądała się uważnie fotografii. W oczach znów zakręciły się jej łzy. - Kazał zrobić kilka takich zdjęć.
 - To musiało podsycać jego fantazje o tym, że jesteście parą.
 - Chyba tak. - Zamrugęła szybko, żeby się nie rozpłakać. - A to szczególnie. Wtedy właśnie opublikowałam artykuł w Dziennikach. Oczywiście wspólnie z Ryanem. Nieźle się nawalczyłam, ale sprawiłam, że wymieniono Chestera jako konsultanta projektu.
 - Pewnie ten jeden jedyny raz otarł się o legalną działalność.
 - Aż do tej pory nie miałam pojęcia, jakie to musiało być dla niego ważne - szepnęła.
 - Lepiej schowaj to naczynie do swojej torebki; wyjmiesz je, kiedy wrócimy do domu - Emmett podał jej flakonik. - I cokolwiek się stanie, nic o tym nie mów przy Mercerze Wyatcie i jego żonie.
 - Za kogo ty mnie masz? - spytała, wsuwając oniryt najpierw do papierowej torebki, a potem do swojej. - Myślisz, że jestem stuknięta?
- Kąćki ust Emmetta wykrzywiły się lekko. Zarezo-wał silnik i wyjechał na drogę.
- Nie. Nie myślę.
- Lydia usadowiła się na swoim fotelu, kurczowo ściskając torebkę. Znów poczuła dreszcz podniecenia. A potem euforię. Obrobiony oniryt. I wizerunek ptaka.
- Dzięki - odparła, zadowolona. - Doceniam to.

Rozdział 14

połowie boleśnie oficjalnej kolacji Lydia już wiedziała, co myśli o ich gospodyni. Nie polubiła Tamary Wy-att, a dokładniej, nie podobało jej się to, jak Tamara patrzyła na Emmetta, kiedy wydawało jej się, że nikt nie widzi.

Błysk w oczach Tamary przypominał Lydii, że tak właśnie Futrzak patrzy na słoik z precelkami. Tak jakby był gotów poświęcić mnóstwo czasu i energii na rozważania, jak zdjąć wieczko.

Pani Wyatt była elegancka i wytworna. Roztaczała wokół siebie nieokreślony urok, wyróżniający ją zapewne w każdym otoczeniu. Ciemne włosy upięła w kok, który podkreślał jej szlachetne rysy twarzy i subtelną linię dolnej szczęki. Na jej szyi połyskiwały klejnoty warte fortunę. W uszach nosiła złote kolczyki z bursztynem. Głęboki dekolot sukni był niemal wyzywający.

Kiedy przybyli tu półtorej godziny temu, Lydia zorientowała się, że Emmett poznał oboje Wyattów już wcześniej. Mercer i Emmett przywitani się uprzejmie. Jednak między Tamarą a Emmetem wyczuwało się coś jeszcze.

Rozpoznanie wzorców rezonansu między nimi zajęło mi więcej czasu, niż powinno, zbesztala się Lydia i spróbowała się przed samą sobą usprawiedliwić. Bądź co bądź, tego wieczoru jej uwagę pochłaniało coś innego: przede wszystkim przedziwne doświadczenie bycia gościem szefa Gildii w Kadencji, no i myśli o niezwykłym małym naczyniu Chestera. Ledwie się powstrzymywała, by co pięć minut nie przeproszać i nie biec do holu, do eleganckiej garderoby, w której kamerdyner powiesił jej torebkę.

Uspokój się, nakazała sobie, gdy kelner w białych rękawiczkach zabrał stojący przed nią talerz. Jeśli flakonik nie był bezpieczny w rezydencji Mercera Wyatta, to już nigdzie. Jedynym innym miejscem, w którym widziała tyle zabezpieczeń, było Muzeum Uniwersytetu w Kadencji.

- A więc, Lydio, jest pani prywatną konsultantką? -spytał Mercer z pozornie uprzejmym zainteresowaniem.

Tamara się uśmiechnęła.

- Czy nie jest pani zbyt młoda, by zrezygnować z kariery uniwersyteckiej? Przeważnie konsultanci są starsi, bardziej doświadczeni.

Lydia przestała martwić się o torebkę. Zignorowała Tamarę i skupiła się na bacznej obserwacji Mercera.

Siwowłosy, o ostrych rysach twarzy, był co najmniej czterdzieści lat starszy od żony. Na palcach nosił ciężkie, masywne pierścienie z bursztynem. Jako szef Gildii, nawykły do

władzy, jaką dają pieniądze, musiał być niezwykle potężnym pararezonorem energii dysonansu.

- Rzeczywiście nieczęsto się zdarza, żeby paraarcheolog w moim wieku przechodził do sektora prywatnego - przyznała - ale nie jest to też niczym niezwykłym.

Jak do tej pory prowadzili jedynie powierzchowną konwersację, jakie Lydia nauczyła się znosić na uniwersyteckich przyjęciach. Miała przeczucie, że rzeczowa rozmowa odbędzie się po kolacji.

- Niektórym ludziom po prostu nie odpowiada akademicka biurokracja - rzucił swobodnie Emmett. - Tak jak niektórzy nie tolerują pracy w korporacji. Lydia posiada coś, co można by nazwać duchem przedsiębiorczości.

Tamara uśmiechnęła się do niej uprzejmie.

- Jak Emmett panią znalazł?

- Figuruję na liście Stowarzyszenia Paraarcheologów jako konsultantka, a poza tym reklamuję się w „Dziennikach Paraarcheologii” - odparła gładko.

- Trudno powiedzieć, że to gwarancja lojalności i uczciwości, prawda? - zauważyła Tamara.

- Na rynku handlu antykami aż roi się od oszustów i fałszerzy.

- Ma pani całkowitą rację - mruknęła Lydia. - Ale ogólnie rzecz biorąc, muszę stwierdzić, że szanse wynajęcia nieuczciwego paraarcheologa figurującego na liście Stowarzyszenia są znacznie mniejsze niż szanse wynajęcia nieuczciwego łowcy z Gildii.

Oczy Tamary pociemniały z gniewu.

- Gildia przestrzega najsurowszych zasad.

- Mhm. - Lydia nabrała na łyżeczkę odrobinę lodów owocowych podanych na deser. - I to dlatego ostatnio co najmniej dwukrotnie włamali się do mnie łowcy duchów?

Mercer przeszył Emmetta zimnym spojrzeniem.

- O czym ona, u diabła, mówi? Emmett wzruszył ramionami.

- Sam słyszałeś. Niedawno miała nieprzyjemne doświadczenia z łowcami. Obawiam się, że to zepsuło jej opinię o tej profesji.

- Bardzo proszę nam to wyjaśnić - Mercer zwrócił się do Lydii.

Odłożyła łyżeczkę.

- Jako szef Gildii w Kadencji musi pan zdawać sobie sprawę, że po mieście kręcą się łowcy duchów dopuszczający się nielegalnych czynów. Co więcej, wspomagają się w tej przestępczej działalności przywoływaniem duchów. Moje mieszkanie zostało dwukrotnie zdewastowane.

Mercer zacisnął zęby. Zerknął na Emmetta, po czym znów zwrócił się do Lydii.

- Jest pani absolutnie przekonana, że byli w to zamieszani łowcy duchów?

- Widziałam przywołane przez nich duchy - odparła bardzo spokojnie. - Proszę zapytać Emmetta. Przegonił jednego z tych łowców. Złapałby go, gdyby ten bandzior nie miał współnika, który czekał na niego na parkingu.

Mercer znów przeszył wzrokiem Emmetta.

- To prawda?

- Najprawdziwsza prawda - przytaknął swobodnie Emmett. - Jak zakładam, możesz nas zapewnić, że ci intruzi nie pracowali dla Gildii?

- Oczywiście, że nie pracowali dla Gildii. - Mercer cisnął serwetkę i gwałtownie wstał. - Obiecuję pani, że moi ludzie zajmą się tą sprawą. Gildia potrafi kontrolować swoich członków.

- Och, to się dobrze składa - odpowiedziała uprzejmie Lydia.

Mercer rzucił jej gniewne spojrzenie. Odwróciła się do Tamary.

- Jak to jest być żoną szefa Gildii z Kadencji? Co pani robi oprócz tego, że co rok pojawia się na Balu Przywrócenia?

- Jakoś mi się udaje znaleźć zajęcie - odparła chłodno Tamara.

Mercer popatrzył na nią z wyraźną dumą.

- Tamara jest samodzielnym dyrektorem wykonawczym. Dzięki niej Gildia założyła bardzo aktywną fundację, wspomagającą kilka organizacji charytatywnych tutaj w Kadencji. Tamara nadzoruje zarządzanie fundacją.

Na dźwięk tych słów uznania twarz Tamary wyraźnie pojaśniała.

- Naturalnie nie robię tego wszystkiego sama. Mam to ogromne szczęście, że wspiera mnie Denver Galbraith--Thorndyke, mój główny administrator. Na pewno zna pani długą historię rodu Galbraithów-Thorndyke'ów tutaj w Kadencji?

- Chodzi o tych Galbraithów-Thorndyke'ów, którzy właściwie zdominowali życie towarzyskie? - Lydia, wbrew sobie, była pod wrażeniem. - Tych, którzy przekazują góry pieniędzy na cele charytatywne? Patronów Muzeum Uniwersyteckiego, członków wszystkich najważniejszych zarządów, i tak dalej, i tak dalej? Oczywiście, że o nich słyszałam. Nie wiedziałam tylko, że mają związki z Gildią.

Mercer się roześmiał.

- Bo nie mieli. Dopóki Tamara się tym nie zajęła i nie poprosiła młodego Denvera, żeby podjął się administrowania Fundacją Gildii.

- Niezły ruch, Tamaro - pogratulował jej Emmett.
- Dziękuję - mruknęła. - Uważam, że to pierwszy ważny krok do poprawy wizerunku Gildii w oczach społeczeństwa.

- W rzeczy samej - energicznie przytaknął Mercer. -I dodam od siebie, że to kapitalny pierwszy krok. Młody

Denver jest prawnikiem. Ma znajomości wśród wszystkich, którzy trzęsą tym miastem.

- A więc jak to się stało, że zaczął pracować dla Gildii? - spytała bez ogródek Lydia. Tamara sprawiała wrażenie poirytowanej, ale Mercer tylko zachichotał.

- Stara historia - odparł swobodnie. - Młoda latorośl z bogatej, wpływowej rodziny pragnie pokazać sobie i ojcu, ile jest warta. Denver nie chciał pracować w rodzinnej kancelarii prawniczej, nie chciał pracować dla tatusia, jak przypuszczam. Chciał samodzielnie stanąć na nogi. Tamara zaproponował mu pracę w Fundacji, a on nie dał się dwa razy prosić.

- Jest bardzo zaangażowany - dodała pani Wyatt.

- Musimy porozmawiać na osobności - Mercer zwrócił się do Emmetta. - Tamaro, proszę, zabierz Lydię do salonu na herbatę. Dołączymy do was później,

- Oczywiście, mój drogi.

Tamara z wdziękiem wstała z krzesła i ujęła Lydię pod ramię.

Lydia zdążyła jeszcze spojrzeć na Emmetta.

Pochylił lekko głowę. W lot zrozumiała ten znak. Zawahała się, ale stwierdziła, że London miał rację. W pojedynkę mogli się dowiedzieć więcej, niż gdyby byli razem. Bez słowa ruszyła z Tamarą.

Szły korytarzem wyłożonym ciemnym drewnem o gęstym słoju, wypolerowanym na wysoki połysk. Tamara poprowadziła ją przez dwuskrzydłowe drzwi - z kwadratami z fazowanego szkła - do pokoju w żółtych i rdzawo-czerwonych kolorach.

Lydię przeszył dreszcz świadomości. Odwróciła się i zobaczyła gablotę pełną pradawnych harmonijskich artefaktów. Zbiór tak wielu znalezisk w jednym miejscu wytwarzał wystarczająco silną energię rezonansu, by dosięgnąć ją tutaj, po drugiej stronie salonu. Bezwiednie skierowała się do gabloty i zatrzymała przed nią.

- Wspaniała kolekcja - mruknęła.

- Mój mąż zaczął ją gromadzić lata temu, na długo przed naszym ślubem. - Tamara wzięła dzbanuszek stojący na małym okrągłym stoliku. - Herbaty?

- Tak, poproszę. - Lydia przyglądała się panelowi z zielonego kwarcu, o dziwnym kształcie, prawdopodobnie kiedyś części drzwi do komnaty grobowca. - Pani i pani mąż pobraliście się rok temu, tak? Chyba czytałam coś o tym w gazetach. Nie jest pani z Kadencji, prawda?

- Nie. Gdy poznałam Mercera, mieszkałam w Rezonansie. - Tamara podeszła do niej z filiżanką i spodecz-kiem w dłoni. - Był tam na spotkaniu Rady Gildii. Przedstawiono nas sobie na przyjęciu.

- Rozumiem.

- Odbywało się z okazji ogłoszenia zaręczyn szefa Gildii z Rezonansu - wyjaśniła cicho Tamara.

Lydię znów przeszył dreszcz. Lodowaty. Gdy brała filiżankę i spodek od Tamary, obserwowała swoje palce, by się upewnić, że nie drżą. Nie wolno rozlać rezoherba-ty na bez wątpienia bardzo drogi dywan, pomyślała. Gildia przysłałaby mi pewnie rachunek, którego nie byłabym w stanie zapłacić.

- Żartuje pani? - Pociągnęła łyk herbaty, wyśmienitej, jak zresztą wszystko, co podano podczas kolacji. -A z kim zamierzał się ożenić szef Gildii z Rezonansu?

W oczach Tamary błysnęło rozbawienie.

- Ze mną. Ale nam się nie ułożyło. Wkrótce po tamtym przyjęciu zerwaliśmy zaręczyny. Niedługo później przeprowadziłam się tutaj, do Kadencji.

- Ach tak. - Przestań już drążyć, pomyślała Lydia. To, że widzisz, że za chwilę wydarzy się wypadek, wcale nie oznacza, że musisz sama pomagać do niego doprowadzić.

Nie potrafiła jednak się powstrzymać. Musiała wiedzieć to na pewno.

- A kim był ten szef Gildii z Rezonansu, za którego miała pani wyjść?

- To był Emmett, naturalnie - odparła słodkim głosem Tamara. - Rządził Gildią z Rezonansu przez sześć lat, aż do czasu, gdy zrezygnował dziesięć miesięcy temu.

Mercer usiadł w dużym fotelu ze skóry w kolorze śliwki. Podniósł do ust kieliszek brandy i znad jego krawędzi uważnie obserwował Emmetta.

- Przejdę od razu do rzeczy. Miałem dwa powody, by zaprosić cię tu dzisiaj na kolację. Jednym jest to, że chcę ci zaproponować pewien układ, synu.

- Nie jestem twoim synem. - Emmett oparł ramię na półce nad kominkiem. - I z całą pewnością nie zgodzę się na żaden układ, dopóki nie poznam wszystkich warunków.

Mercer odetchnął głęboko.

- Porozmawiajmy jak równy z równym. Potrzebuję twojej pomocy, Emmett. I myślę, że w zamian mogę pomóc tobie.

- A do czego akurat ja jestem ci potrzebny? Możesz zwrócić się o pomoc do każdego w Gildii.

Mercer pokręcił głową.

- Nie w tej sprawie. Pozwól, że ci wyjaśnię. Nie ogłaszałem tego jeszcze publicznie, ale zamierzam się wycofać w ciągu nadchodzącego roku. Tylko mój osobisty personel wie o tej decyzji. Został zobowiązany do poufności.

Emmett absolutnie nie spodziewał się usłyszeć czegoś takiego dziś wieczorem. Mercer żelazną ręką rządził Gildią z Kadencji od ponad trzydziestu lat. Powszechnie sądzono, że umrze, nie wypuszczając steru z rąk.

- Przechodzisz na emeryturę? - spytał ostrożnie.

- Prowadzę ten show od wieków. Jeszcze do niedawna Gildia znaczyła dla mnie najwięcej na świecie. Moja pierwsza żona była cudowną kobietą, nigdy jednak nie miałem czasu, żeby ją naprawdę poznać. Po jej śmierci zostałem z dwójką dzieci. Ktoś inny wychowywał je za mnie. One już dorosły i mam trójkę wnuków, ale właściwie ledwie ich znam.

- Niech zgadnę. Wreszcie postanowiłeś się zatrzymać i powąchać róże, zgadza się?

- Bawi cię to?

- Powiedzmy po prostu, że nigdy nie przeszłoby mi to przez myśl. Ale skąd, u diabła, ta nagła zmiana? Lekarz postraszył cię twoim stanem zdrowia?

- Nic podobnego. Mam nową żonę.

- Ach tak, prawda. Musiało mi to umknąć.

- Po raz pierwszy w życiu jestem zakochany, Emmett - oświadczył bardzo poważnie Mercer.

- W tej chwili, jak wiesz, łączy mnie z Tamarą Małżeństwo z Rozsądku, ale zamierzamy je przekształcić w Małżeństwo Przymierza.

Emmett wbił w niego wzrok.

- Chcesz mieć więcej dzieci?

- Istnieją inne powody, dla których można zawrzeć Małżeństwo Przymierza - przypomniał mu Mercer.

Emmett odchrząknął.

- Prawdziwa miłość? Daj spokój. Nie jesteś trochę za stary na takie romantyczne głupoty, Mercer?

- Nie jesteś romantykiem, Emmett.

- Ty też nie byłeś, kiedy ostatnio się dowiadywałem. Rozwiązanie Małżeństwa Przymierza to prawny i finansowy koszmar. - Nie dodał tego, z czego obaj doskonale zdawali sobie sprawę: że jednym z bardzo nielicznych, prawnie akceptowalnych powodów pozwalających rozwiązać Małżeństwo Przymierza jest cudzołóstwo. - Skoro nie chcesz mieć dzieci, to po co się w coś takiego pakujesz?

Mercer rozprostował nogi i zapatrzył się w płomień w kominku.

- Najwyraźniej nie rozumiesz, więc zostawmy ten temat. W każdym razie zamierzam się wycofać.

- Bez obrazy, Mercer, ale trochę trudno mi to wszystko ogarnąć.

- Dlaczego? Jestem czterdzieści lat starszy od Tamary. Nie wiem, ile czasu mi z nią zostało. Tak czy owak zamierzam cieszyć się każdą chwilą. Jestem bogaty, zdrowy i mam u boku piękną kobietę. Byłbym głupcem, gdybym nadal poświęcał się dla Gildii.

Emmett długo mu się przyglądał.

- Tamara wie o twojej decyzji?

- Wie.

- Hm. - Wzruszył ramionami. - A więc co to ma wspólnego ze mną?

- Potrzebuję twojej pomocy. I jestem gotów z tobą pertraktować. Wiem, dlaczego jesteś tutaj, w Kadencji.

Moi ludzie donieśli mi o twoim zaginionym siostrzeńcu. Chyba mógłbym ci pomóc.

Dzisiejszy wieczór serwuje jedną niespodziankę po drugiej, pomyślał Emmett. Nie miał wyboru, mógł tylko dać się nieść nurtowi.

- Zanim zaczniemy rozmawiać o jakichkolwiek układach, lepiej mi powiedz, czego ode mnie chcesz.

Mercer wolno pokiwał głową, pociągnął łyk brandy i odstawił kieliszek. Wsparł łokcie na poręczach ciężkiego fotela i splótł palce.

- Jak już mówiłem, przygotowuję się do odejścia. Zamierzam jednak zrobić to rzetelnie. Tak, by pozostawić Gildię na właściwym kursie w przyszłość.

- Innymi słowy, chcesz wybrać odpowiedniego następcę - stwierdził Emmett.

- Właśnie. Przez lata pracowałem nad stworzeniem silnej organizacji, która sama potrafi o siebie zadbać. W znacznym stopniu udało mi się zrealizować ten cel. Wszyscy członkowie wywiązujący się ze swoich obowiązków mają gwarancję doskonałych dochodów i poduszki bezpieczeństwa w postaci różnych korzyści dla nich i ich rodzin.

- Dopóki słuchają twoich rozkazów, nie zadają ci żadnych pytań i dopóki cię nie wkurzą.

- Zawsze sownie wynagradzałem lojalność.
- I niszczyłeś każdego, kto odważył się zakwestionować twoje decyzje. Jesteś naprawdę strasznie staroświecki, Mercer.
- Przyznaję, że w przeszłości ty i ja mieliśmy różne poglądy na temat tego, jak należy kierować organizacją taką jak Gildia.
- Można to tak ująć. Twoje podejście jest przestarzałe o jakieś siedemdziesiąt lat.
- Podczas mojej kadencji jako szef Gildii z Kadencji przywiązywałem ogromną wagę do tradycji.

No tak, nie da się zaprzeczyć. Emmett znów odchrząknął.

- Chyba jednak coś cię zainteresuje - ciągnął Mercer. - Uznałem, że czas już, by Gildia z Kadencji się zmieniła.
- Jak to zobaczę, to może uwierzę.
- Chcę, żeby Gildia z Kadencji poszła za przykładem Gildii z Rezonansu. - Nie dał się zbić z tropu. - Chcę, żeby została zrestrukturyzowana i zmodernizowana według tego samego wzorca.

Emmett przyglądał się jego twarzy.

- Mówisz poważnie, prawda?
- Absolutnie poważnie. Ale poważnych zmian nie można wprowadzać z dnia na dzień. Ponadto, wymagają silnego przywództwa. W tym roku rozpocznę proces przemian, z pomocą Tamary.
- Chodzi ci o jej pracę dla Fundacji Gildii?
- To początek. Tamara jest bardzo oddana swoim organizacjom charytatywnym. Jej fundacja bardzo pomoże zmienić wizerunek Gildii tu w Kadencji. Ale restrukturyzacji i reorganizacji nie da się dokończyć w ciągu tych paru miesięcy, gdy wciąż będę szefem. Dlatego muszę poczynić odpowiednie przygotowania, by, jak mówisz, wybrać swojego następcę.

Emmett nagle się zaniepokoił. Zaczął coś podejrzewać. Skrzyżował ręce i oparł się ramieniem o kominek.

- Masz już kogoś na oku?
- Tak, oczywiście. - Mercer uśmiechnął się ponuro. - Ciebie.

Emmett powoli wypuścił powietrze z płuc.

- Przykro mi, że to ja ci to mówię, Mercer, wydaje mi się jednak, że mogłeś się przypadkiem trochę podsmaczyć, kiedy ostatnim razem przywoływałeś ducha.

- Zdaję sobie sprawę, że moja propozycja spada na ciebie jak grom z jasnego nieba, ale na pewno sam rozumiesz, dlaczego chcę, żebyś się nad nią zastanowił. Tylko o to cię w tej chwili proszę. Spokojnie. Mamy rok na to, aby wszystko dobrze zaplanować. To mnóstwo czasu, żeby rozpracować szczegóły.

- Tu nie ma nic do rozpracowania. Daję ci moją odpowiedź już teraz. Nie chcę tej roboty. Przeszedłem do sektora prywatnego, Mercer. Jestem teraz wyłącznie biznesmenem.

Mercer rozplótł palce i się pochylił. W jego złych oczach płonęła energia i determinacja.

- Posłuchaj mnie, synu...

- Nie jestem twoim synem - wycedził przez zaciśnięte zęby Emmett.

- Przepraszam. Przejęzyczenie.

A jakże, pomyślał Emmett. Obaj dobrze wiedzieli o plotkach i pogłoskach, które krążyły od lat. Dziś wieczorem nie zamierzał jednak iść tą drogą. Nie z Merce-rem Wyattem.

- Jak już mówiłem - ciągnął Mercer - chcę pozostawić Gildię w dobrych rękach. W rękach, które potrafią ją poprowadzić nowym, nowoczesnym kursem. Ty zrobisz to najlepiej.

- Nie.

- Przecież sam jeden zrestrukturyzowałeś Gildię z Rezonansu, gdy przejąłeś stery. To ty wprowadziłeś nowe metody, zmieniłeś ją w firmę, sprawiłeś, że ludzie zaczęli ją szanować. Chcę, żebyś zrobił to samo dla Gildii z Kadencji.

- Nie słyszysz? Już mnie nie interesuje polityka Gildii. Teraz jestem konsultantem biznesowym.

- Dokładnie kogoś takiego mi potrzeba - odparł poważnie Mercer. - Konsultanta biznesowego, posiadającego wyjątkowe kwalifikacje, by pomóc przekształcić Gildię z Kadencji w dobre przedsiębiorstwo.

- Zapomnij o tym, Mercerze. Nie obchodzą mnie twoje plany. Życzę ci powodzenia, ale nie chcę się w to mieszać.

- Rozumiem. - Mercer rozsiadł się w swoim fotelu. Nie wyglądał na pokonanego, raczej na kogoś, kto ma mnóstwo czasu. - Zostawmy więc na razie ten temat. Przejdźmy do innych spraw.

Emmett odsunął się od kominka. Podszedł do okna i spojrzał na światła miasta w dole.

- Naprawdę wiesz coś o moim siostrzeńcu, Mercer? A może to była tylko przynęta, żeby zwabić mnie tutaj dzisiaj wieczorem i spróbować namówić na przejęcie Gildii?

- Szczerze? Nie wiem dokładnie, gdzie jest młody Quinn. Jednak moje źródła poinformowały mnie, że przyjechał do Kadencji za pewną młodą kobietą. Zgadza się?

- Tak.

- Ta młoda dama zniknęła, a twój siostrzeniec, który, jak rozumiem, jest pararezonem energii dysonansu, zaginał wkrótce potem.

Emmett przyglądał się majaczącym w oddali, oświetlonym światłem księżyca ruinom Wymarłego Miasta.

- Masz dobrych informatorów.

- Bycie szefem Gildii z Kadencji przez tak długi czas ma swoje zalety - sucho odparł Mercer. - Mogłem, nie spiesząc się, budować wiarygodną sieć informatorów wewnątrz organizacji i poza nią.

Emmett odwrócił się powoli i spojrzał mu w oczy.

- Co jeszcze wiesz?

- Wiem, że przyjaciółka Quinna nie jest pierwszą młodą osobą, która zaginęła tu w Kadencji w ciągu ostatnich kilku tygodni. Nikt tego nie zauważył, bo żaden z zaginionych nie był niepełnoletni i najwyraźniej żaden nie miał rodziny, która by się o niego martwiła.

- Aż do teraz.

- Aż do teraz - przyznał Mercer. - Zresztą nic nie świadczyło o popełnieniu przestępstwa.

- Ilu zaginęło?

- Nie jestem pewien. Zdziwiłbyś się, gdybyś się dowiedział, ilu młodych ludzi co roku znika. Sam nie miałem o tym pojęcia, dopóki nie zacząłem się tym interesować. Większość z nich ląduje na ulicy albo w różnych sektach Kurtyny. Niektórzy przenoszą się do innego miasta. Wygląda na to, że nikt tego nie zauważa.

- A czemu ty nagle postanowiłeś to zauważyć?

- Bo gdy się dowiedziałem, że jesteś w mieście i szukasz swojego siostrzeńca, uznałem, że powinienem trochę powęszyc. Dowiedziałem się, że niektórzy spośród młodych ludzi zaginionych w ciągu ostatnich kilku tygodni byli pararezonami energii dysonansu. Niewyszko-lonymi łowcami duchów, w trakcie ubiegania się o przyjęcie do Gildii. Nigdy nie uczestniczyli w podstawowym szkoleniu ani w kursie. Natychmiast pomyślałem, że ktoś ich zwerbował do jakiegoś gangu, sekty albo nielegalnego zespołu wykopaliskowego. Gildia nie przepada za ludźmi z zewnątrz, którzy wykorzystują łowców duchów do nielegalnych praktyk.

- No tak, to psuje wizerunek - stwierdził sucho Emmett.

- Właśnie. Tego typu rzeczy zdarzały się czasami w przeszłości. Stosunkowo łatwo było to ukrócić. Ale tym razem są pewne komplikacje.

- Próbowalesz pójść z tym na policję? - łagodnie zasugerował Emmett.

Mercer spojrział na niego krzywo.

- Oczywiście, że nie. Gdybym to zrobił, sprawę natychmiast zwietrzyłyby media. Nie chcę nagłówek w gazetach, krzyczących, że Gildia nie potrafi już kontrolować swoich ludzi. Nie kiedy ja nią rządę, na Boga.

- No tak. - Unowocześnienie Gildii z Kadencji to niełatwe zadanie, pomyślał Emmett. Niełatwe, jeśli ludzie na samym szczycie mają takie podejście:

- Jak już mówiłem - ciągnął Mercer - uznałem, że ty i ja możemy się sobie na coś przydać.

- To znaczy, że chcesz mi dać dostęp do zasobów Gildii, żeby pomóc mi odnaleźć Quinna?

Mercer na chwilę przymknął oczy. Gdy je otworzył, płonęła w nich ponura wściekłość.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Z przykrością muszę cię poinformować, że w tej chwili na zasobach Gildii nie można polegać.

Emmett długo mu się przypatrywał. W pełni zdał sobie sprawę z konsekwencji tego, co właśnie usłyszał.

- Chyba powinienesz mi to wyjaśnić.

- Mam powody sądzić, że w mojej organizacji jest zdrajca - odparł znużonym głosem Mercer. - Ktoś z mojego najbliższego otoczenia.

Emmett powstrzymał się od komentarza. Wiedział, jak wiele kosztowało Mercera przyznanie się do czegoś takiego.

- Musiałem wyjść poza własną Gildię, by uzyskać tych kilka informacji o twoim siostrzeńcu - powiedział Mercer. - Ktoś, komu ufam, spiskuje przeciwko mnie, Emmett.

- Każdy szef Gildii ma wrogów. Takie jest życie.

- Oczywiście. I z wieloma już sobie poradziłem. Ale ten jest inny. Bardziej podstępny. Nie udało mi się wykryć zdrajcy. To może być każdy z mojego personelu administracyjnego. Każdy!

- Ktoś, kto zna twoje plany wobec Gildii z Kadencji i komu się one nie podobają?

- Tak sądzę. Ale to prawdopodobnie coś więcej, na przykład sprawa osobista. Po prostu jeszcze nie wiem. Wiem tylko tyle, że nie mogę już ufać moim ludziom.

- A co to ma wspólnego z wywabianiem z ulicy młodych, niewykwalifikowanych łowców?

- Przyszło mi do głowy, że ten zdrajca, kimkolwiek jest, może próbować stworzyć własną, prywatną armię łowców, posłusznych jego rozkazom i lojalnych wyłącznie wobec niego.

- Tworzy konkurencyjną organizację? Do diabła, Mercer. Czy nie przesadzasz?

- Zastanów się nad tym - nalegał Mercer. - Jeśli ten sukinsyn chce mi się przeciwstawić, będzie potrzebował własnych ludzi, a więc własnych wyszkolonych łowców duchów. Znasz na to lepszy sposób niż wyłapywanie młodych, którzy nie przeszli jeszcze indoktrynacji w Gildii?

Emmett gwizdnął cicho.

- Jesteś pewien, że nie wpadasz w paranoję, Mercer?

- Jestem ostrożny. A to różnica.

Owszem, różnica, ale nie zawsze łatwo ją zauważyć, kiedy stoi się na czele Gildii, pomyślał Emmett. Mercer Wyatt nie jest głupcem, nawet jeśli szaleńczo się zakochał. Jest bystry, potężny i co najważniejsze, udało mu się przetrwać. Jeżeli instynkt podpowiada mu, że wśród jego ludzi jest zdrajca, to raczej go nie zawodzi.

Emmett długo przyglądał się wzorom na dywanie pod swoimi stopami. Wreszcie podniósł wzrok.

- Czyli wszystko sprowadza się do tego, że chcesz, abym pozbył się dla ciebie tego tak zwanego zdrajcy?

- Nie przeczę, że przydałaby mi się twoja pomoc w tej przykrej sprawie. Nie mogę już ufać moim ludziom. Tak jak ja to widzę, mamy wspólne interesy, synu. Ty chcesz znaleźć swojego siostrzeńca, a ja chcę dorwać człowieka prawdopodobnie odpowiedzialnego za jego zaginięcie.

Tym razem Emmett zignorował słowo „synu”. Miał inne priorytety. Przez kilka długich sekund wpatrywał się w światła miasta, rozważając wszystkie za i przeciw bliższej współpracy z Mercerem Wyattem.

Zrozumiał, że ma bardzo niewielki wybór. Bezpieczeństwo Quinna było najważniejsze.

- Jakie informacje możesz mi dać? - spytał w końcu.

- Przyznaję, że zdobyłem ich niewiele. Jak już mówiłem, musiałem wyjść poza Gildię. Na pewno do tego samego dotrzesz. Ale przynajmniej mogę zaoszczędzić ci trochę czasu. A czas chyba bardzo się tutaj liczy.

Emmett spojrzał na niego przez ramię.

- Słucham.

Mercer pochylił się w fotelu, skupiony.

- W dniu, w którym zaginął twój siostrzeniec, zjawił się najpierw w pewnym schronisku młodzieżowym w Starych Dzielnicach, w pobliżu wschodnich murów.

- Jak się nazywa to schronisko? - zareagował szybko Emmett.

- Poprzeczna Fala. Zostało założone wiele lat temu przez Fundusz Powierniczy Andersona Amesa. To tam powinieneś zacząć szukać, Emmett. Ale chcę, żebyś dał mi słowo, że będziesz dyskretny.

- A czemu, u diabła, miałbym być dyskretny? Mercer westchnął.

- Dwa lata temu Anderson Ames zmarł. Gdy prawnikom wreszcie udało się rozpracować finanse funduszu, co zajęło im kilka miesięcy, okazało się, że był na skraju bankructwa. W zeszłym roku schronisku młodzieżowemu Poprzeczna Fala groziło zamknięcie, ale w ostatniej chwili, akurat na czas znalazł się nowy sponsor, więc nie przestało działać.

- O cholera. - Emmett zdał sobie sprawę, że widzi już pełen obraz. - Próbujesz mi powiedzieć, że włączyła się w to fundacja Gildii i że finansuje teraz Poprzeczną Falę? Chcesz, żebym był dyskretny, bo utrzymanie tego schroniska jest jednym z ukochanych przedsięwzięć charytatywnych Tamary?

Mercer zmrużył oczy. Nagle znów wyglądał jak bezwzględny kot-widmo, którym zresztą był.

- Tamara nic nie wie o moich podejrzeniach. Chcę, żeby cały ten bałagan został posprzątny bez żadnego rozgłosu. Reputacja Tamary i Fundacji Gildii nie może na tym ucierpieć. Czy to jasne?

Rozdział 15

Lyd ją ścisnęła kurczowo torebkę na kolanach. Gdy Emmett mijął frontową bramę rezydencji Wyatta, uśmiechnęła się lekko do strażnika.

W samochodzie zapadło milczenie. Błyskawicznie nabrzmiało i zgęstniało.

- Gdybym miała ocenić ten wieczór według skali imprez towarzyskich na uniwersytecie, to dałabym mu dwójkę - odezwała się w końcu.

- Aż tak dużo? - spytał Emmett.

- To było trudniejsze do zniesienia niż comiesięczne spotkania przy sherry, ale nie aż takie straszne, jak cotygodniowe nasiadówki przy kawie na wydziale paraar-cheologii.

- A ja oceniam ten wieczór na jedynkę - mruknął Emmett.

Spojrzała na niego.

- Uważasz, że był gorszy niż przyjęcie zaręczynowe, na którym twoja narzeczona stwierdziła, że nie kocha ciebie, tylko Mercera Wyatta?

- A więc słyszałaś o tym? - Emmett wrzucił niższy bieg przed zakrętem. - Wygląda na to, że w salonie zaprzyjaźniłyście się z Tamarą.

- Tak naprawdę, to temat zaręczyn pojawił się na samym początku, a potem rozmowa się nie kleiła. Spędziłam mnóstwo czasu, podziwiając kolekcję harmonijskich artefaktów Wyatta. Na szczęście godzinami potrafię mówić o znaleziskach. Zanim wyszedłeś z Mercerem z biblioteki, Tamara już przysypiała z nudów.

- Tamara nie przywiązuje wagi do spraw, które bagatelizuje. Weźmy na przykład nasze zaręczyny.

- Coś mi mówi, że potrafi bardzo zainteresować się tematem dla niej osobiście ważnym. - Lydia przerwała. - Nosi bursztyn. Bo go wykorzystuje, czy tylko dlatego, że ładnie wygląda?

- Bo go wykorzystuje. Jest silną pararezonerką energii dysonansu.

- Rozumiem. - Zgadza się, pomyślała Lydia. Statystycznie rzecz biorąc, większość łowców duchów to mężczyźni, ale w katakumbach nieraz zdarzyło się jej pracować z kobietami. - Cóż, jeśli się z tobą zaręczyła, to niewątpliwie było dla niej niezwykle ważne. Pewnie podobala jej się myśl, że zostanie żoną szefa Gildii z Rezonansu.

Na ustach Emmetta pojawił się zimny uśmiech. I natychmiast znikł.

- Wyłapałaś sporo szczegółów podczas tej herbatki. Podskoczyła w fotelu. Wściekłość odebrała jej kontrolę nad sobą.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Z paru powodów. - Jego głos zabrzmiał aż nazbyt swobodnie. - Po pierwsze, biorąc pod uwagę twoją ogólną opinię o łowcach duchów, uznałem za bezsensowne mieszanie w to polityki Gildii. Po drugie, nie sądziłem, że to będzie miało jakikolwiek bezpośredni wpływ na sytuację.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Nie wierzę! Jesteś byłym szefem Gildii i nie sądzisz, żeby to miało jakikolwiek wpływ na twoje układy biznesowe?

- Czy to, co się wydarzyło wtedy, kiedy pół roku temu czterdzieści osiem godzin przebywałeś pod ziemią, wywiera na nie jakikolwiek wpływ?

- To zupełnie inna sprawa.

- Każde z nas ma swoją przeszłość. Nie zmienimy jej. Ale oboje poszliśmy naprzód. Nie należę już do Gildii.
- No jasne! Nie należysz. Raz w Gildii, na zawsze w Gildii.
- Niektórzy twierdzą, że jeśli splatacz zostanie mocno podsmażony w pułapce, nigdy już nie będzie taki sam.
- Nawet nie udawaj, że widzisz w tym paralelę - odpaliła.
- No to czego chcesz, Lydio? Wycofać się z naszej umowy?
- Nie, do diabła. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.
- A więc musimy znaleźć sposób, żeby ze sobą współpracować.
- Jak możemy współpracować, skoro co chwila spadają mi na głowę jakieś niespodzianki? - spytała rozwścieczona.
- To, że zawarliśmy umowę, chyba nie znaczy, że musimy sobie opowiadać o wszystkich cholernych osobistych szczegółach, prawda?
- Fakt, że jesteś szefem Gildii, to nie całkiem prywatny, osobisty szczegół.
- Byłem szefem Gildii.
- Jak to się stało, że nigdy o tobie nie słyszałam?

- A potrafisz wymienić nazwiska szefów Gildii z Frekwencji czy z Kryształowego Miasta?
- No... Nie. - Zmarszczyła brwi. - Muszę przyznać, że nigdy nie" zwracałam uwagi na politykę Gildii poza Kadencją. Słyszałam coś o tym, że w Gildii w Rezonansie zaszły pewne zmiany, ale...
- Ale miałaś do tego sceptyczne nastawienie, więc nie drażyłaś tematu. Zgadza się?
- Raczej nie sądziłam, że te zmiany wpłyną na Gildię w Kadencji. A przynajmniej nie wtedy, kiedy szefuje jej Mercer Wyatt.
- Jeśli poczujesz się od tego lepiej, to zapewniam, że i tak nie zapamiętałabyś mojego nazwiska, nawet gdybyś śledziła wiadomości. - Emmett przejechał przez skrzyżowanie. - Gdy pełniłem tę funkcję, starałem się nie rzucać w oczy.
- Rozumiem.

Znów zapanowało nieprzyjemne milczenie. Lydia gotowała się ze złości.

Zawarła umowę z szefem Gildii. No, może z byłym szefem.

Konsultant pracujący jako wolny strzelec musi być elastyczny, pomyślała. Nie miała już bezpiecznej, wygodnej posady na uniwersytecie. Z jego sztywną hierarchią i regułami

społecznymi, zarówno tymi pisanymi, jak i niepisanymi. Jeśli chciała zaistnieć jako prywatna konsultantka, musiała podejmować ryzyko.

- Dlaczego postanowiłeś zrezygnować? - zapytała szorstko.

- Rządziłem Gildią w Rezonansie przez sześć lat. Tyle czasu zajęło mi przekształcenie organizacji. Kiedy tego dokonałem, uznałem, że wykonałem swoje zadanie i wystarczy. Odrzuciłem więc przedstawioną mi przez zarząd ofertę odnowienia mojego kontraktu i upewniłem się, że zamiast mnie wybiorą Daniela.

- A kim jest Daniel?

- Moim młodszym bratem.

- A więc sam wskazałeś swojego następcę?

- Jeśli chodzi o politykę Gildii, ja i Daniel myślimy podobnie. Zadbaj o to, by organizacja nadal zmierzała w dobrym kierunku. Za parę lat nikt nie będzie już nawet pamiętał dawnych czasów. Gildia z Rezonansu stanie się po prostu kolejną dużą korporacją w mieście.

Lydia zawahała się, ale niezdrowa ciekawość zwyciężyła.

- Kiedy powiedziałeś Tamarze, że zamierzasz zrezygnować?

- Na parę dni przed naszym przyjęciem zaręczynowym. Nie zwróciła mi natychmiast pierścionka, więc zakładałem, że mnie rozumie i wspiera.

- Pewnie myślała, że uda jej się namówić cię, byś zmienił zdanie.

- Poruszaliśmy ten temat kilka razy - przyznał Em-mett. - Nie zmieniłem zdania.

Wprowadził slidera na parking przed kompleksem mieszkaniowym Lydie.

- W ciągu tych sześciu lat, kiedy reorganizowałem Gildię w Rezonansie, największy błąd popełniłem, ufając Tamarze.

- Nie żartuj.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Przez chwilę w milczeniu siedział za kierownicą.

Lydia miała wrażenie, że on o cośś myśli. I to bardzo intensywnie.

- Sądziś, że powinienem był wiedzieć od samego początku, że kochała pomysł wyjścia za szefa Gildii, a nie

mnie? - spytał obojętnym tonem.

- Hej! Nie powinieneś czuć się źle z tego powodu. - Lydia nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. - Co do Ryana, ja wcale nie byłam mądrzejsza od ciebie. Interesował się mną, dopóki szybko awansowałam na wydziale paraar-cheologii i mogłam pisać prace naukowe, w których pojawiały się nasze nazwiska.

- To ty pisałaś te prace? - upewnił się Emmett.

- Ryan jest dobrym paraarcheologiem, ale nie tak dobrym jak ja - stwierdziła spokojnie. - Po moim Zaginionym Weekendzie stało się jasne, że nie przydam mu się już jako współautorka, i to długo. Ale wszystko całkiem nieźle się ułożyło. Dostał awans dzięki naszej ostatniej wspólnej dysertacji. Teraz, gdy jest szefem wydziału, jego nazwisko figuruje na każdej pracy publikowanej przez ludzi, którzy mu podlegają. Oni wykonują wszystkie badania, a on zbiera zasługi. Sprytne, co?

Wysiadła z samochodu, wciąż kurczowo zaciskając palce na torebce. Emmett wyskoczył zza kierownicy, zatrzasnął drzwi i zamknął je na klucz, po czym obszedł slidera, by do niej dołączyć. Razem ruszyli w stronę schodów.

- Gdybym cię znał w czasach, kiedy umawiałaś się z Ryanem Kelso, mógłbym ci powiedzieć, jaki naprawdę jest - oznajmił Emmett.

- A ja mogłabym ci powiedzieć, że Tamara to sprytne, ambitna kobieta, która nie pozwoli, aby coś lub ktoś stanął jej na drodze. Kocha władzę. Ona ją przyciąga.

Emmett zderezonował drzwi do budynku.

- Wystarczył jeden wieczór w jej towarzystwie, żebyś doszła do takiego wniosku? Odchrząknęła, próbując potraktować sprawę naukowo.

- Z parapsychologicznego punktu widzenia na pewno łączy seks z władzą, i vice versa.

- Innymi słowy, kiedy zrezygnowałem z szefowania Gildii, przestałem już być taki seksowny? O to chodzi?

Gdy zaczęli wspinać się po schodach, Lydia przycisnęła do piersi swoją torebkę.

- Władza zawsze pociąga, ale przejawia się pod dwiema różnymi postaciami. Albo człowiek osobiście ją sprawuje, albo wykorzystuje jej otoczkę.

- Otoczkę?

- No wiesz... Biuro, pozycja, status społeczny. Tego rodzaju rzeczy. Niektórych fascynuje ten typ władzy. Powiedziałabym, że Tamara do nich należy.

- Może masz rację. W każdym razie jestem pewny, że kompletnie straciła zainteresowanie moją osobą, gdy dowiedziała się, że zamierzam być tylko biznesmenem.

- Człowiek uczy się przez całe życie - stwierdziła Lydia.

- A więc nowa umowa nadal obowiązuje?

- Tak - odparła. - Nadal mamy umowę.

W milczeniu dotarli na piąte piętro i skręcili w korytarz prowadzący do jej drzwi.

Lydia spojrzała na torebkę, którą kurczowo przyciskała do piersi.

- Muszę znaleźć dla tego flakonika jakieś bezpieczne miejsce, dopóki nie zdecyduję, co z nim zrobić.

- Dlaczego nie zdeponujesz go rano w sejfie w prawdziwym banku?

- No niby tak. Ale on nie może tam leżeć bez końca. To niezwykle znalezisko, Emmecie. Powinno zostać odpowiednio zbadane.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko.

- Słuchaj, mam pomysł. Możesz przekazać to ni* czynnie z onirytem uniwersytetowi, żeby Ryan Kelso i jego podwładni opisali je w „Dziennikach Paraarcheologii”.

- Po moim trupie - burknęła. A kiedy przypominała sobie o Chesterze, skrzywiła się.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, to chyba nie za dobra metafora.

Spoważniał.

- Chyba nie.

- Teraz nie potrafię już jasno myśleć o tym, co zrobić z tym naczyniem. Na dziś mam już dość wysokiego rezonansu. Moje nerwy nie przywykły do tylu ekscytujących wrażeń.

- Ekscytujących?

- Tak. No wiesz, ten artefakt, kolacja z szefem Gildii w Kadencji, odkrycie, że mój pierwszy klient kiedyś rządził Gildią z Rezonansu. To trochę za dużo jak na jeden wieczór.

- Rozumiem - powiedział. - Ekscytujące doznania.

- Ostatnio prowadziłam spokojne życie. Och, czasem natykam się na czyjeś zwłoki. I śmiechu warte, zdarza się, że jakiś zabłąkany duch wypala dziury w ścianie mojej sypialni. I tyle.

- No tak, to faktycznie dość spokojne życie. - Wsunął klucz do zamka.

Przyjrzała mu się uważnie.

- A tak a propos. Prawie zapomniałam spytać. Dowiedziałeś się od Wyatta czegoś konkretnego o swoim siostrzeńcu?

- Niewykluczone.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Niewykluczone?

- Podsunął mi pewien trop - odparł swobodnie Em-mett, otwierając drzwi. - Jutro go sprawdzę.

Lydia weszła do przedpokoju.

- A czego chciał szef Wyatt w zamian za ten tak zwany trop?

- Czy ktoś ci kiedyś mówił, że masz wielkie skłonności do cynizmu?

- Raczej że mam praktyczną wiedzę o tym, jak działa polityka Gildii.

Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

- Przynajmniej tutaj w Kadencji - uściśliła. - Mercer Wyatt nic dla nikogo nie robi z dobrego serca.

Emmett wzruszył ramionami. Schylił się, by podnieść Futrzaka, który kręcił mu się pod nogami.

- Zawarliśmy układ. Lydia zamarła.

- Jaki układ?

- To ciebie nie dotyczy - odparł spokojnie. - To sprawa Gildii.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić, do jasnej cholery? „Sprawa Gildii”? Jestem twoją konsultantką, zapomniałeś? Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

- Moje ustalenia z Wyattem wykraczają poza warunki naszej umowy.

- Nie kupuję tego. Nawet na chwilę.

- To twój problem. - Wszedł do kuchni i zdjął wieczko ze słoika z precelkami. - Bo więcej ci nie sprzedam.

Otworzyła usta, by zaprotestować, ale jej uwagę przykuło błyskające światelko automatycznej sekretarki. Przeszła przez pokój i wcisnęła przycisk.

„Tu Bartholomew Greeley z Antyków Greeley*. Dzwonię w sprawie przedmiotu, o którym rozmawialiśmy, gdy byłeś w moim sklepie. Dostałem informacje, gdzie się w tej chwili znajduje. Słyszałem, że kolekcjoner, który go kupił, zgodzi się go odsprzedać po odpowiedniej cenie. Z przyjemnością mogę pośredniczyć w transakcji, za znaleźne, o którym wspominałaś. Spotkaj się ze mną w moim sklepie jutro rano. Otworzę wcześniej, żeby przeprowadzić negocjacje. Powiedzmy o dziesiątej?”

- Wygląda na to, że znalazłam twój sekretarzyk, Emmett - Lydia triumfowała.

Emmett zerknął na automatyczną sekretarkę, potem spojrzał na nią spokojnie.

- Skoro tak, to wykonałaś swoją pracę, zgadza się? To uprości sytuację. Jutro odbierzemy sekretarzyk i dam ci czek. Nasza umowa zostanie legalnie zakończona i nie będziesz już w to wszystko zamieszana.

W jednej chwili uczucie triumfu znikło. Miał rację. Gdy tylko sekretarzyk osobiwości znajdzie się w jego rękach, umowa zostanie zrealizowana. Nic nie mogła na to poradzić.

Ale dlaczego, u diabła, jednak chciała coś na to poradzić? Na litość boską, przecież był ekszefem Gildii. Umawiał się na towarzyskie kolacje z Mercerem Wyattem. I co jeszcze

gorsze, zawierał z nim jakieś układy. Jego była narzeczona była żoną szefa Gildii z Kadencji. Trudno wyobrazić sobie bardziej skomplikowaną sytuację.

O tak, chciała wywiązać się z tej umowy jak najszybciej. Dzięki honorarium, jakie zapłaci jej Emmett, będzie mogła przeprowadzić się do nowego mieszkania. Z jego nazwiskiem na liście zadowolonych klientów czeka ją oszałamiający start jej nowej kariery jako konsultantki. Życie malowało się w jasnych barwach.

A więc dlaczego się nie cieszyła?

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Wygląda na to, że jutro wieczorem odzyskam moją sofę.

Rozdział 16

Odgłos ukradkowo otwieranych drzwi do łazienki wyrwał go z ponurych myśli. Pierwszą reakcją było uczucie ulgi. Lecz odkąd tylko wyciągnął się na sofie i wyłączył światło, coraz bardziej zaplątywał się w gąszczu różnych możliwości, punktów widzenia, problemów i ryzyka.

Jego rozważania o tym, jak rozegrać poszukiwania Quinna, zawierając przy tym układ z Wyattem, nieustannie zakłócało wspomnienie promiennego uśmiechu Lydii, gdy przyznała, że nazajutrz ich umowa zostanie zrealizowana. „Wygląda na to, że odzyskam moją sofę”.

Nie musiała być taka zachwycona perspektywą pozbycia się go z sofy. A do diabła, niech ją sobie zabiera. Ten cholerny grat w wielu miejscach się zapadał, był strasznie nierówny i sporo za krótki.

Usłyszał cichy odgłos nagiej stopy uderzającej w nogę drewnianego stoliczka w przedpokoju, a potem stłumiony jęk i wymruczane pod nosem przekleństwo. Wysunął rękę spod głowy i spojrzał na fluorezonacyjną tarczę zegarka: druga nad ranem. Najwyraźniej Lydii tak samo jak i jemu nie udało się zasnąć.

Wszystkie rozważane przez niego scenariusze i plany awaryjne znikły w obliczu ważniejszego pytania, które właśnie się pojawiło: co robi Lydia w przedpokoju?

Zdał sobie sprawę, że nie tylko to pytanie się narodziło. Świadomość, że ona wstała i się zbliża, wystarczyła, by wywołać u niego erekcję.

Zastanawiał się, czy nadal jest na niego zła. A potem pomyślał o tym, że tak jak jemu wpadło jej do głowy, że gdy odzyskają sekretarzyk, nie będą już mieli żadnego logicznego powodu, by jeszcze kiedyś się spotkać. Czy ją to w ogóle obchodziło? Wydawała się bardzo zadowolona z telefonu Bartholomew Greeleya. Po prostu wpadła w zachwyty na wieść, że ich umowa wkrótce się zakończy.

Leżał nieruchomo, czując, że krew szybciej krąży mu w żyłach, jakby głupio na coś oczekiwał. Co mu się, u diabła, roilo? Na co liczył? Naprawdę był na tyle głupi, by wierzyć, że Lydia zamierzała dołączyć do niego tu, na sofie?

Najprawdopodobniej szła do kuchni. W tych okolicznościach jedynie tak dawało się to logicznie wytłumaczyć. Nie mogła zasnąć, więc prawdopodobnie chciała sobie przygotować kubek ciepłego mleka. Albo coś w tym stylu.

Dostrzegł blade zarysy jej białego szlafroka, gdy na palcach skradała się za róg. Ciemny kłębek na jej ramieniu to na pewno Futrzak.

Wstrzymał oddech, pragnąc, by Lydia podeszła do sofy.

Ale zmierzała do kuchni.

Wypuścił wstrzymywane powietrze z płuc, obserwując, jak ona znika w drzwiach. Kilka sekund później usłyszał, że otwiera lodówkę. W drzwiach do kuchni na chwilę błysnęło światło i zaraz zgasło. Rozległ się cichy brzęk.

Lydia wyjęła kubek z kredensu. Potem usłyszał odgłos wieczka zdejmowanego ze słoika z precelkami.

No nie! Do diabła, naprawdę myślała, że cały ten hałas go nie obudzi?

Odrzucił na bok pościel i wstał.

W połowie drogi do kuchni zorientował się, że ma na sobie tylko slipy. Spojrzał w dół i wyraźnie zobaczył erekcję. Tłumiąc jęk, sięgnął do torby, wyjął dzinsy i szybko w nie wskoczył.

- Nie chciałam cię obudzić - powiedziała Lydia, stając w drzwiach kuchni.

Siedział plecami do niej, szarpiąc się z suwakiem rozporoka.

- Nie spałem.

W końcu udało mu się zapiąć spodnie. Odwrócił się do niej. Wyglądała tak świetnie, że chętnie by ją zjadł.

W jednej ręce trzymała kubek, a w drugiej parę precelków. Dała jeden Futrzakowi.

- Mogę się poczęstować? - spytał Emmett, zde gustowany tym, że nie potrafi wymyślić ciekawszego tematu do rozmowy.

- Jasne. Proszę.

Gdy wszedł do kuchni, jego ramię otarło się o rękaw jej szlafroka. To było tak, jakby dotknął drutu pod napięciem. Potężna energia wstrząsnęła jego i tak już przerezonowanym ciałem.

Energicznie zdjął wieczko słoika z precelkami i sięgnął do środka.

- Tych raczej nie chcesz jeść - zauważyła Lydia. - Futrzak pewnie je oślinił. Poczęstuj się tymi z torebki w piekarniku. Tam trzymam moje. Futrzak nie ma tyle siły, żeby go otworzyć.

Emmett zakręcił słoik, szarpnął drzwiczki piekarnika i wpatrzył się w torebkę z precelkami.

- Zdarzyło ci się kiedyś niechcący to włączyć, kiedy w środku była ta torebka?

- Raz - przyznała. - Od tego czasu trzymam gaśnicę pod zlewem.

Wyjął garść precelków i zamknął piekarnik.

Wyczuwał, że Lydia wciąż jest wkurzona. A wszystko dlatego, że nie opowiedział jej o szczegółach swojego układu z Mercerem Wyattem.

Co mam do stracenia? - pomyślał. Pewnie i tak już bardziej jej nie wkurzę. To sprawa Gildii, ale może ona ma prawo co nieco się o tym dowiedzieć.

- W porządku. Opowiem ci o moim układzie z Wyattem - powiedział z ustami pełnymi precelków.

Uniosła podbródek.

- Nie fatyguj się. Dałeś mi absolutnie jasno do zrozumienia, że według ciebie to nie mój biznes.

- Bo to rzeczywiście nie twój biznes. Ale nie mogę znieść, że tak chłodno mnie traktujesz.

- Coś podobnego. Szef Gildii pęka pod wpływem chłodnego traktowania.

- Były szef Gildii. - Włożył do ust kolejnego precelka. - Krótko mówiąc, Mercer dowiedział się, że Quinn zaginął wkrótce po wizycie w pewnym schronisku młodzieżowym w Starych Dzielnicach, w Poprzecznej Fali.

Wyglądała na zamyśloną.

- Znam to schronisko. Działa od kilku lat. Oferują pomoc społeczną dzieciakom z ulicy.

- Paru innych młodych, niewyszkolonych pararezo-nerów energii dysonansu również zniknęło. Oni też mieli jakiś kontakt z tym schroniskiem. Mercer uważa, że te sprawy się jakoś wiążą. Chce, żebym sprawdził, co li tam dzieje. I żebym był dyskretny. Przekrzywiła głowę.

- Dyskretny? Dlaczego?

- Ponieważ od kilku miesięcy schronisko sponsoruje Fundacja Gildii z Kadencji.

- Ach!

- No właśnie. Ach! - Wsunął do ust następnego precelka.

- Gdyby się okazało, że w schronisku prowadzona jest jakaś nielegalna działalność, mogłoby to być naprawdę kłopotliwe dla Gildii.

- Taka sytuacja byłaby niezręczna zwłaszcza dla Tamary. - Emmett się zawahał. - Mercer ją kocha. Chce ją chronić.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że Mercer Wyatt kocha coś innego niż władzę, którą ma jako szef Gildii.

- Ludzie się zmieniają.

- Jedni tak, inni nie.

- Trochę to cyniczne. Ale jest coś jeszcze. Wyatt uważa, że ktoś z pracowników jego administracji jest zdrajcą. Sądzi, że to właśnie ta osoba odpowiada za to, co dzieje się w schronisku.

- Oho! Chyba wiem, dokąd to zmierza.

- I w zamian za trop, który doprowadzi mnie do Quin-na, zgodziłem się spróbować znaleźć zdrajcę wśród ludzi Wyatta.

Wypuściła z płuc powietrze.

- Rozumiem. A więc teraz jesteś szpiegiem szefa Gildii z Kadencji.

Nic nie odpowiedział, tylko dalej żuł precelka.

- Dobrze, już dobrze. Nie mam ci tego za złe - oświadczyła.

To go zaskoczyło.

- Naprawdę?

- Tak. Na twoim miejscu też bym zawarła taki układ. Bądź co bądź, jesteś przede wszystkim odpowiedzialny za to, żeby odnaleźć swojego siostrzeńca. I rzeczywiście wygląda na to, że Wyatt podsunął ci dobry trop. W życiu nic nie jest za darmo. A jeśli chodzi o Gildię, należałoby to jeszcze pomnożyć przez dwa.

- Mniej więcej tak na to patrzę. - Przełknął ostatniego precelka. - Przepraszam, że byłem wcześniej taki poirytowany.

- Pewnie nie przywykłeś do tego, by musieć się tłumaczyć.

Spojrzał na nią.

- Nie w tym rzecz. Nie chciałem wchodzić w szczegóły, bo znam twoją opinię o Wyatcie i miejscowej Gildii.

- Przyznaję, że za grosz nie ufam Mercerowi Wyat-towi. Ale...

- Ale co?

Uśmiechnęła się krzywo.

- Ale ty nie jesteś Mercerem Wyattem. Gdzieś głęboko w sobie poczuł ulgę.
- Czy to znaczy, że mi ufasz? Lekko wzruszyła jednym ramieniem.
- O wiele bardziej niż Wyattowi.

No dobrze. Nie deklarowała swojego całkowitego zaufania do niego, lecz przynajmniej nie zaliczała go do tej samej kategorii co Wyatta.

- Jutro, gdy już odbierzemy sekretarzyk, sprawdzę to schronisko - powiedział.
- Dobry plan. Życzę ci powodzenia, Emmetle. Mam nadzieję, że twojemu siostrzeńcowi nic się nie stało. Odczekał chwilę.
- Chciałbym, żebyś o czymś wiedziała, zanim zakończymy nasz kontrakt.
- O czym takim?
- Chciałbym sprostować drobne nieporozumienie; chodzi o to, co wiesz o łowcach duchów.

Obserwowała go w ciemności.

- Jeśli zamierzasz wygłosić kolejny wykład o polityce Gildii...
- To nie ma nic wspólnego z polityką.
- Nie?

Oparł się plecami o lodówkę i skrzyżował ręce.

- Wczoraj w nocy wspominałaś o swego rodzaju „dziwactwie”. Nie wiem, skąd masz tę informację, ale ktoś cię wprowadził w błąd.
- Melanie. - Odchrząknęła. - Melanie Toft o tym mówiła. Wyglądała na wyjątkowo pewną swojej wiedzy.
- Przywołanie lub zneutralizowanie ducha faktycznie oszalała - powiedział z namysłem - ale ten efekt jest krótkotrwały.
- Jak krótko?
- Maksymalnie pół godziny. Zastanowiła się.
- Teraz, kiedy o tym myślę, nie przypominam sobie, żeby Melanie napomknęła coś o czasie.
- Hm, no cóż... Chciałem tylko wyjaśnić, że ten efekt nie może trwać na tyle długo, by spowodować to, co się stało między nami ubiegłej nocy.
- Rozumiem - szepnęła.

Opuścił ręce i postąpił krok w jej stronę. A że kuchnia była bardzo ciasna, znalazł się tuż przed nią. Jej ciepły zapach sprawił, że przeszył go dreszcz pożądania. Wiedział, że to wyczuła, ale nie poruszyła się, nie uciekła. Futrzak wpatrzył się w Emmetta, a potem sturlał z ramienia Lydii i potoczył gdzieś tam, gdzie stał słoik z precelkami.

- I z całą pewnością nie spowodowałby tego. - Emmett chwycił ją w ramiona i nakrył jej usta swoimi.

Przez parę sekund, które wydawały mu się najgorsze w życiu, myślał, że Lydia go odtrąci.

A potem poczuł, jak jej usta miękły, i nagle wszystko było tak, jak być powinno. Nawet lepiej. Znacznie, znacznie lepiej.

Objęła ramionami jego szyję i wsunęła palce w jego włosy. Rozchyliła wargi. Teraz mógł ją smakować. Zawyla w nim żądza. Po niej pojawiło się euforyczne podniecenie. I przekonanie, że w tej chwili potrafiłby przywołać z tuzin - nie, do diabła - ze sto duchów, ale absorbowało go co innego.

Długie okresy abstynencji nie są za dobre dla mężczyzny w moim wieku, pomyślał. Mężczyzna w moim wieku nie powinien się angażować w takie przelotne przygody, powinien być żonaty, mieć w łóżku żonę. Powinien się kochać tak regularnie, że stałoby się to rutyną, być może nawet czymś trochę nudnym, tak jak jedzenie śniadania.

A śniadanie jeszcze nigdy nie smakowało mu tak wyśmienicie.

Lydia była ciepła, pachniała nocą i kobiecością. Czymś wyjątkowym, oszałamiającym i tajemniczym, czegoś takiego nie wdychał jeszcze nigdy w swoim życiu i nigdy tego nie zapomni.

Zsunął rękę po pełnej krągłości jej biodra i objął palcami udo. Poruszyła się, przylgnęła do niego. Jej Itopa dotknęła jego stopy. Oparł ją o kuchenny blat i pocałował w szyję.

Namacał pasek jej szlafroka i rozwiązał go. Ujęła w dłonie jego twarz.

- Nie, Emmett.

Zamarł. Uniósł głowę, by na nią spojrzeć.

- Nie?

Uśmiechnęła się smutno.

- To naprawdę nie jest dobry pomysł. Formalnie rzecz biorąc, wciąż mamy umowę biznesową.

- Kończy się jutro rano.

- Wiem. Ale na razie trwa.

Gdzieś w głębi wybuchła w nim złość i frustracja.

- O co ci, u diabła, chodzi? Pragniesz mnie. Ja pragnę ciebie. W czym problem?

- Problem w tym - odparła spokojnie - że nie znamy się za dobrze. W tym, że jesteś moim klientem. I w tym, że nie chcę przygody na jedną noc.

- Czemu po prostu nie powiesz tego szczerze? Prawdziwy problem tkwi w tym, że jestem byłym szefem Gildii, tak?

- Nie.

- Jasne. Akurat! - Puścił ją raptownie i odepchnął się rękoma od blatu. - Masz takie cholerne uprzedzenia wobec każdego, kto związał się z Gildią, że nawet nie potrafisz sobie pozwolić na normalny fizyczny kontakt z łowcą.

- Jak śmiesz zrzucać to na mnie? - Krótkimi, gwałtownymi ruchami zawiązała pasek. - To, że nie mam ochoty na przygody z mężczyznami, których ledwie znam, nie znaczy, że nie jestem normalna, do cholery.

- Do diabła! - Przesunął palcami po włosach. - Nie chciałem sugerować, że jesteś nienormalna.

- Owszem, chciałeś. Dokładnie to powiedziałaś. Jakby nie wystarczyło, że moi dawni koledzy uważają, że straciłam swoje paraharmonijne zdolności. Naprawdę nie musiałeś mi mówić, że pod innymi względami też nie jestem normalna. Bardzo przepraszam, ale mam już dość. Wracam do łóżka.

Bezradnie obserwował, jak odwraca się na pięcie i wściekła wypada z kuchni. Spojrzał na Futrzaka, który gapił się na niego z kuchennego blatu.

- Miałeś kiedyś takie uczucie, że strasznie spieprzyłeś sprawę? - spytał.

Rozdział 17

Lydię obudził dzwonek telefonu przy łóżku. Uderzyła dłonią o stół, przez chwilę szukała po omacku, aż wreszcie znalazła aparat.

Udało się jej przytknąć słuchawkę do ucha, w chwili gdy Emmett odebrał drugi telefon w salonie.

- London - warknął.

Lydia przerażona usiadła na łóżku.

- Halo? Halo?

- Przepraszam - rzucił szorstko Ryan Kelso. - Chyba wybrałem niewłaściwy numer.

- Ryan? - zawołała szybko. - Poczekaj.

- To ty, Lydio? - Teraz sprawiał wrażenie zdezorientowanego.
- Tak. Emmett, odebrałam. Możesz się rozłączyć.
- Przepraszam - powiedział swobodnie Emmett. - Kiedy będziecie rozmawiać, zacznę robić śniadanie. Nie spiesz się. Nawet jeszcze nie brałem prysznic.

Rozległo się kliknięcie, gdy odłożył słuchawkę. Zapadło napięte milczenie. Lydia wiedziała, że do Ryana docierają właśnie implikacje tego, że to Emmett odebrał telefon w jej mieszkaniu tak wcześnie rano. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie wpaść z impetem do sąsiedniego pokoju i nie nawrzeszczyć na Londona.

Opanowała się i błyskawicznie rozważyła różne możliwości: Ryan dzwonił, aby jej powiedzieć, że wydział postanowił znów ją zatrudnić. Albo z propozycją prywatnej umowy konsultacyjnej z uniwersytetem. A gdyby tak jej nowa kariera wreszcie na dobre wystartowała?

- Przepraszam. Ktoś przez pomyłkę odebrał telefon -oznajmiła.
- Odebrał ten sam facet, który był parę dni temu razem z tobą w Kontrapunkcie, prawda? Teraz w głosie Ryana brzmiała nutka dezaprobaty. To rozdrażniło Lydię. Kto mu dał prawo komentować tę sytuację?!

- Pan London jest moim gościem.

Zamajaczył nad nią cień. Spojrzała przez pokój i zobaczyła pana Londona, tylko w dżinsach, zasłaniał całe drzwi. Zbyła go machnięciem ręki, żeby sobie poszedł. Nawet nie drgnął.

- Czego chcesz, Ryan? - spytała.
- Odchrząknął. Po chwili, gdy się odezwał, jego ton był trochę zbyt życzliwy.

- Dzwonię z pytaniem, czy nie wybralibyśmy się razem na lunch?
- Na lunch?
- Kiedy cię zobaczyłem tamtego wieczoru, uświadomiłem sobie, że od dawna nie znajdujemy czasu, by usiąść razem i porozmawiać - wyjaśnił. - Musimy sporo nadrobić.
- Rozumiem. - Nie domyślała się, czy proponował jakąś biznesową rozmowę, czy po prostu próbował zachowywać się po przyjacielsku.

- Kiedy chcesz iść na ten lunch?
- Może dzisiaj?

Lydia pomyślała o naczyniu z onirytem, które tego ranka inusiała bezpiecznie umieścić w bankowym skarbcu, i o sekretarzyku osobliwości, który mieli dziś odebrać od Bartholomew

Greeleya. No i jeszcze praca w muzeum. Nawet w porze lunchu. Pewnie wróci późno do domu.

- Dziś mam dość napięty harmonogram, Ryan. Może jutro?

- Cholera, Lydio! Muszę z tobą porozmawiać. - Teraz wyraźnie irytował się i niecierpliwił. - Dzisiaj. Jak najszybciej. Mogę przyjść do ciebie do domu.

Ryan był zdecydowanie czymś zaniepokojony. Spróbowała zignorować Emmetta, który oparł się ramieniem o framugę drzwi i obserwował ją z wielkim zainteresowaniem.

- Co się dzieje, Ryan? - spytała.

- To dotyczy spraw zawodowych - odparł sztywno. Spróbowała ukryć podniecenie.

- Chcesz mi powiedzieć, że mam być konsultantką dla wydziału?

Nastąpiła krótka, lecz znacząca chwila milczenia.

- Niezupełnie.

Cały jej entuzjazm nagle wyparował.

- Ryan, przede mną ciężki dzień. Nie mam czasu na twoje gierki.

- Poczekaj, Lydio. Nie rozłączaj się! To ważne. Niesłuchanie ważne. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon. Ale uwierz mi, chodzi o wyjątkowe harmonijne znalezisko.

Lydia ścisnęła mocniej słuchawkę.

- Jakie znalezisko?

- Teraz nie mogę o tym mówić. Musimy się spotkać. - Ryan się zawahał. - Słyszałem pewną plotkę. Zdradzę ci tylko tyle, że jeśli okaże się prawdziwa, kariera chyba znów stanie przed tobą otworem.

Lydia poczuła, jak w jednej chwili powraca jej pewność siebie. Ryan jej potrzebował, co oznaczało, że to ona panowała nad sytuacją. Musiała ostrożnie rozegrać tę grę.

- Wiesz co, Ryan? Oddzwonię trochę później, kiedy już poznam mój harmonogram na cały tydzień.

- Lydio, poczekaj! Nie rozłączaj się. Nie rozłączaj się, do cholery! Od tego zależy nasza przyszłość.

- Zadzwoń do ciebie później, Ryan. - Bardzo delikatnie odłożyła słuchawkę. Spojrzała na Emmetta.

- I co? - spytał.

- Niestety, wydaje mi się, że Ryan usłyszał jakieś plotki o tym, co Chester zostawił mi w spadku.

- Myślisz, że wie, że masz to naczynie?

- Nie, ale chyba podejrzewa, że mogę coś o nim wiedzieć.
- Niedobrze. - Odsunął się od drzwi, podszedł do łóżka i rzucił jej szlafrok. - Zbieraj się, moja mała bogini seksu. Powinniśmy stać pod drzwiami banku, kiedy tylko się otworzą. Chcę, żeby to naczynie znalazło się w sejfie, zanim zajmiemy się czymś innym.

Lydia złapała szlafrok i spojrzała Emmettowi w oczy.

- Bogini seksu?

- A wolisz określenie: seksowny kociak?

- Nie, lepsze to pierwsze. Bogini seksu może być. City Bank w Kadencji otwierano punktualnie o dziewiątej. Dwadzieścia po dziewiątej Lydia miała już wypełnione wszystkie dokumenty, konieczne, by złożyć dtpo* zyt w sejfie. Pracownik banku zaprowadził ją i Emmetta do cichego skarbca w głębi budynku i zostawił ich samych. ¹¹¹

Lydia wyjęła naczynie z onirytem z papierowej toreb* ki. Chciała jeszcze raz na nie popatrzeć, nim bezpiecznie zamknie je w sejfie.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. - Przyglądała się strumyczkom nieustannie zmieniających się barw, otaczającym naczynie niczym maleńkie niezwykle morza. - Twardy jak skała, a jednak to czysty oniryty. Czy to możliwe? Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien się już dawno stopić i rozpaść na miliard cząsteczek.

- Nie wiem, czy to rzeczywiście takie niewiarygodne - powiedział Emmett.

- Niewiarygodne? Zdolność obróbki oniryty to coś, o czym nikt nie słyszał.

- Pomyśl tylko. - Emmett przypatrywał się naczyniu w jej dłoniach. - My, ludzie, jesteśmy tu zaledwie od kilkuset lat, a już wykształciła się w nas zdolność rezonowania z rezobursztynem. Wykorzystujemy ją na co dzień, by robić właściwie wszystko, od włączania rezowizji aż po gotowanie obiadu czy neutralizowanie duchów. Harmonijczycy prawdopodobnie ewoluowali na tej planecie.

- Tego nie wiemy na pewno - odparła szybko Lydia. - Mogli przed tysiącami lat przybyć przez Kurtynę, tak jak my zjawiliśmy się tutaj dwieście lat temu. Eksperci twierdzą, że nie wiadomo, ile razy Kurtyna zamykała się i otwierała w przeszłości ani jakie planety łączyła, gdy pojawiało się przejście.

Emmett wzruszył ramionami.

- Mniejsza z tym. Tak czy inaczej, Harmonijczycy żyli tu pewnie wiele tysięcy lat, prawda?

- Prawda.

- Mieli mnóstwo czasu, by dostroić swoje zdolności do podstawowych częstotliwości planety. A co potrafili zrobić, używając rezobursztynu? Do diabła, nie wiemy nawet, jak

tworzyli duchy czy pułapki iluzji. Niektórzy z nas potrafią nimi manipulować, ale jak dotąd nikt jeszcze nie wymyślił sposobu, by stworzyć od podstaw ducha czy pułapkę.

- Zgadza się.

Lydia spojrzała na naczynie w swoich dłoniach. Czowała ciężar stuleci i echa kreatywności, nie w pełni ludzkiej, lecz mimo to rezonującej na bardzo ludzkiej częstotliwości.

- Może odkryli albo stworzyli coś jeszcze lepszego niż rezobursztyn, by móc skupiać swoje zdolności psi?

- Nie byłbym zaskoczony. Jeśli pożyjemy tu jeszcze parę tysięcy lat, prawdopodobnie też wymyślimy coś skuteczniejszego. - Emmett zerknął na zegarek. - Dochodzi wpół do dziesiątej. Greeley na nas czeka.

- No tak. - Przecież mogła wrócić tu później, by napatrzeć się na swoje bajeczne naczynie. Zaczęła wsuwać je do papierowej torebki. Nagle zamarła.

- Coś nie tak? - spytał Emmett.

- Nie jestem pewna. - Znów wyjęła naczynie z torebki i ważyła je w dłoniach. Wysłała delikatny impuls psi. Poczuła, że jej bursztynowa bransoletka się nagrzewa. Ostrożnie poszukała harmonicznego impulsu energii promieniującej z naczynia.

Bursztyn rozgrzał się jeszcze bardziej. Przeszył ją dreszcz.

- O rany!

Emmett przysunął się bliżej, wpatrując się uważnie w jej twarz.

- Co odbierasz? Wiek tego przedmiotu?

- Nie. "Tb coś innego. Pamiętasz, wczoraj wieczorem mówiłam ci, że wyczuwam coś dziwnego. Jakby odrobinę energii pułapki iluzji. Myślałam, że to po prostu coś specyficznego dla oniryty, ale teraz już sama się pogubiłam.

Zerknął na naczynie, a potem szybko podniósł wzrok. Ich oczy się spotkały. Widziała, że Emmett rozumie implikacje tego, co właśnie powiedziała.

- To nie jest energia ducha - oświadczył z absolutnym przekonaniem. - Wyczułbym ją wyraźniej niż ty.

- Nie - szepnęła. - To energia iluzji.

- Pułapki iluzji są bardzo rzadkie poza katakumbami.

W milczeniu skinęła głową. Miał rację. Mimo to nie mogła się powstrzymać. Rozejrzała się po skarbcu. Baczenie przyglądała się każdemu zakamarkowi, za pomocą bursztynowej

bransoletki wzmacniając i skupiając swoje zdolności pararezonansu. Nie zobaczyła żadnych plam ciemności. Żadnych niewytłumaczalnych cieni pod stołem ani pod sufitem.

Oczywiście, że nie ma tu żadnych pułapek iluzji, pomyślała. Na litość boską, przecież są w samym środku City Banku w Kadencji.

Wyraźnie czuła jednak na skórze ciepło bursztynu z bransoletki. W pomieszczeniu połyskiwały ślady energii.

Popatrzyła na naczynie, a potem na Emmetta.

- Może ma to coś wspólnego z obrobionym oniry-tem? - spytał. - Z jakąś jego właściwością, o której nie wiemy, bo żaden człowiek nie umiał nim manipulować.

Podniosła flakonik do światła.

- Wydaje mi się, że tu jest wieczko. Właściwie należałoby je zdjąć w laboratorium. Nie chcę ryzykować, że uszkodzę naczynie.

- Przetrwało tyle czasu. Nie może być zbyt kruche.

- Spróbuję.

Postawiła flakonik na stoliku i bardzo delikatnie podważyła wieczko. O dziwo dało się łatwo zdjąć. Wtedy spojrzała w ciemne, bardzo ciemne wnętrze niewielkiego artefaktu.

- Hm.

Uniosła naczynie i ustawiła je pod takim kątem, by światło sufitowej lampy wpadało do jego wnętrza. Nie przebiło się jednak przez ciemność. Żadnego błysku czy iskierki ukrytego w środku onirytu. Tylko gęsta, nieprzenikniona czarna mgła.

Są tylko dwie możliwości, pomyślała. Albo tracę swoje zdolności pararezonansu, tak jak podejrzewał Ryan i inni, albo trzymam w dłoniach naczynie wypełnione pułapką iluzji.

- Uff! - sapnęła.

- Jest prawdziwa? - spytał cicho Emmett.

- Uhm. Nieduża. Taka, by zmieścić się w tym naczyniu.

Nie podważył jej opinii. Zaakceptował ją, choć przecież miał prawo w nią wątpić.

Obserwował, jak bardzo ostrożnie odstawia naczynie na stół.

- I co o tym myślisz?

- Nie wiem. Nigdy nie widziałam czegoś takiego poza Wymarłym Miastem, zresztą nikt nie widział. Sam fakt, że istnieje wewnątrz tego naczynia, może oznaczać, że ta pułapka jest inna od wszystkich dotychczas napotykanych. Musi być jakoś zakotwiczona w onirycie. Znamy tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Spojrzał na nią, pochyloną nad naczyniem.

- Zrób to.

- Może lepiej, żebyś przeszedł do drugiego pokoju. Tak na wszelki wypadek.
- Wykluczone. Zostaję.
- Twoja decyzja.

Wzięła głęboki oddech i skupiła się na przesłaniu energii psi przez bursztyn na jej nadgarstku. Kamienie szybko znów się rozgrzały. Zawibrował w niej impuls energii rezonansu - nie do pomylenia z niczym innym - słabej, lecz stabilnej i wyraźnej.

- To mała pułapka - szepnęła. - Emituje tylko drobną strużkę energii.
- Nawet taka strużka może wywołać bardzo przykre efekty - ostrzegł ją Emmett.

Nie odpowiedziała. Oboje pracowali w katakumbach. Wiedzieli, jakie szkody potrafią wyrządzić sidła pradawnych Harmonijczyków. Sny i koszmary obcej rasy.

Wysłała stabilny impuls energii psi przez bursztyn, wpatrując się w mroczną noc wewnątrz naczynia. Po kilku sekundach spostrzegła, że coś w głębi się porusza. Ciemność wydawała się kondensować i gęstnieć. Reagowała na impulsy energii, które wysyłała Lydia. Jeśli schrzanię robotę na tym etapie, mogą bardzo łatwo uaktywnić pułapkę, pomyślała dziewczyna.

Gdyby wyzwoliła pułapkę iluzji, miałyby tylko sekundę na to, by zdać sobie sprawę, że wpadła w tarapaty. I ani chwili na coś innego. Ciemność sięgnęłaby po nią po falach częstotliwości psi, których sama jej dostarczyła. Zalałaby jej umysł, zanim ona zdążyłaby zareagować.

Jeśli pułapka była wystarczająco silna, nie tylko pogrążyłaby ją w dezorientującej iluzji, której jej ludzki umysł zbyt długo by nie zniósł, lecz także wykorzystałaby jej własną energię psi, by usidlić każdego, kto na swoje nieszczęście znalazł się obok. Na przykład Emmetta.

Jak długo trwałby koszmar albo jaką formę by przybrał? Wielka zagadka. Biorąc pod uwagę rozmiary pułapki, Lydia mogła tylko mieć nadzieję, że wywołany przez nią sen byłby mglisty i krótki.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nawet gdyby trwał ledwie parę minut, dochodziłaby do siebie przez wiele dni.

Używając zdolności pararezonansu, dotarła głębiej w małą plamę ciemności. Przeszukiwała spowijającą ją energię efemeryczną, póki nie wychwyciła wyraźnego echa rezonansu. Dostroila swoją sondę, znalazła ukryty wzór i tłumiąc ruch fal, posłała w niego energię.

Powoli, ostrożnie zaczęła się dostrajać do częstotliwości rezonansu w pułapce. Osłabł. Stawał się coraz bardziej płytki.

Ciemność w naczyniu nagle znikła.

Lydia wypuściła z płuc powietrze. Nie zdawała sobie sprawy, że przez cały czas wstrzymywała oddech. Podniosła wzrok i zobaczyła szeroki uśmiech Emmetta.

- Piękna robota - pochwalił.

I wtedy zalała ją fala uniesienia. To od Zaginionego Weekendu był pierwszy raz, gdy miała szansę pracować z pułapką iluzji, sprawdzić się i udowodnić samej sobie, że wciąż posiada harmoniczne zdolności, że ich nie utraciła.

Spróbowała nad sobą zapanować, nie okazać ogarniającego ją podniecenia.

- Minęło trochę czasu. Bałam się, czy nie zardzewiałam - powiedziała bez owijania w bawełnę.

- Zardzewiałaś? Też coś! Chrzanić cały cholerny Wydział Paraarcheologii, Uniwersytet w Kadencji i te duchy, na których jeżdżą! Nie straciłaś swoich zdolności.

Już nie tłumila wielkiej radości i ulgi. Z cichym okrzykiem rzuciła się w ramiona Emmetta. Szybko ją objął.

- Wszystko w porządku - wyszeptła, wtulona w jego kurtkę. - Naprawdę nic mi nie jest. Wciąż mogę to robić. - Roześmiała się.

A on uniósł ją i też się roześmiał.

- Możesz to powtórzyć. - Postawił ją na podłodze, nie wypuszczając jej z objęć, i z całych sił pocałował.

Na chwilę przywarła do niego, delektując się tym radosnym, dodającym otuchy uściskiem. I wtedy zdała sobie sprawę, że na świecie nie ma nikogo, absolutnie nikogo innego, z kim chciałaby świętować tę chwilę.

Gdy euforia powoli zaczęła opadać, Lydia uświadomiła sobie, że całuje się z Emmettem w samym środku bankowego skarbcza. Gwałtownie powróciła do rzeczywistości. Powoli, niechętnie odsunęła się, zaczerwieniona i bez tchu. Miała być przecież profesjonalistką. Profesjoniści tak się nie zachowują.

Emmett wydawał się nie zauważać jej zakłopotania. Zerknął na naczynie na stoliku.

- Jest tam coś jeszcze oprócz zderezonowanej pułapki?

Lydia podbiegła do stolika. Podniosła naczynie i jeszcze raz skierowała je do światła.

- Nic nie widzę. Zaraz, poczekaj! Coś tu jest. Wygląda jak kawałek papieru.

- Papieru?

- Tak. - Opuściła naczynie i odwróciła do góry dnem. Oboje wpatrzyli się w kartkę, która wypadła na jej

dłoń. To był zwykły, najzwyklejszy papier. Z całą pewnością nie sprzed paru tysięcy lat. Nikt nigdy nie znalazł w ruinach czegoś, co przypominałoby papier.

- Chester - szepnęła Lydia. - Mógł zderezonować pułapkę, włożyć tę kartkę do środka, a potem znów zastawić sidła.

Odstawiła flakonik i ostrożnie rozłożyła papier. Zobaczyła znajome bazgroły, trzy linijki chaotycznych liter i cyfr, a pod nimi wiadomość.

Droga Lydio,

niezły plan emerytalny, co? Szkoda tylko, że nie mogę być z Tobą i się nim cieszyć. Obiecałem Ci, że pewnego dnia zaskoczę wszystkich tych sukinsynów z Uniwersytetu. Ale naprawdę niesamowite jest to, że tam, gdzie to znalazłem, jest tego więcej. Niestety inne szczury ruin już prowadzą tam nielegalne wykopaliska. Wydobycie całego onirytu zajmie im jednak wiele tygodni, o ile nie miesięcy, Z tego, co wiem, w każdym cholernym korytarzu tego odgałęzienia katakumb aż roi się od duchów i pułapek iluzji. W podziemnych miastach nigdy nie widziałem niczego tak dobrze chronionego. Bez względu na to, co postanowisz, nie idź tam sama. Będziesz potrzebowała pomocy łowcy duchów, lecz nawet wtedy będzie to niebezpieczna eskapada. Niezależnie od tego, kogo wybierzesz, musisz być pewna, że możesz mu bezgranicznie zaufać. Jest tam tyle onirytu, że nawet Twój najlepszy przyjaciel zacznie się zastanawiać, czy Cię nie zamordować.

Powyżej są zaszyfrowane współrzędne. Przepraszam, ale musiałem tak zrobić. Nie mogę być pewien, że ktoś inny nie znajdzie pierwszy tego naczynia albo że nie uda mu się ominąć tej małej pułapki w środku. Niezłe paskudztwo, no nie? Jest zakotwiczona w onirycie. Coś niesamowitego!

Będziesz potrzebowała klucza do kodu. Z oczywistych powodów nie chciałem zostawiać go tutaj, w tym samym miejscu, co współrzędne. Nie martw się jednak, zadbam o to, żebyś go dostała.

Kiedy wybierzesz się po resztę onirytu, bądź ostrożna. Inne szczury ruin, które się tam kręcą, to prawdziwe sukinsyny. Wątpię, by zawahały się poderżnąć Ci gardło, gdyby Cię tam spotkały.

Twój Chester

- O mój Boże - szepnęła Lydia. - Tego jest tam więcej.

Emmett wpatrywał się w trzy linijki liter i cyfr.

- Pisze, że zadba o to, żebyś dostała klucz do tych współrzędnych.

Lydia zamarła. Przeszyła ją paraliżująca myśl.

- Emmett, może to właśnie robił Chester w muzeum tej nocy, kiedy został zamordowany? Może przyszedł tam po to, by zostawić klucz w moim biurze? Morderca musiał go śledzić, zabić i odebrać mu klucz.

- Zgoda. Kupuję to. Ale ten klucz na nic się sukinsynowi nie przydał, bo Chester ukrył współrzędne w tym naczyniu. - Emmett zerknął na zegarek. - Chodźmy już. Jesteśmy umówieni z Greeleyem.

Rozdział 18

w ciągu tej godziny, którą spędzili w banku, poranna mgła napływająca od rzeki zgęstniała. Teraz była tak nieprzenikniona, że Lydia nie widziała drugiego końca przecznicy. W sklepach przy Alei Ruin było wciąż ciemno. Za wspólną zgodą właścicieli i mocą wieloletniej tradycji otwierały się dopiero o jedenastej. We mgle, za niskimi budynkami, majaczyły potężne zielone mury Wymarłego Miasta.

Gdy wysiadła ze slidera, przeszył ją chłód, więc energicznie potarła dłońmi ramiona. Zauważyła, że Emmett włożył czarną skórzaną kurtkę. Sięgnęła do samochodu po płaszcz i dołączyła do Londona na chodniku. Razem ruszyli w stronę frontowych drzwi Antyków Greeleya.

Emmett zerknął na bursztynową tarczę swojego zegarka.

- Jeszcze nie ma dziesiątej.
- W Alei Ruin prawdziwy ruch zaczyna się po południu. Ale Greeley na pewno będzie już w swoim sklepie.

Podeszli do drzwi. W środku było ciemno. Lydia nacisnęła klamkę. Zamknięte.

- Byłam pewna, że przyjedzie wcześniej. - Przyłożyła dłonie do szyby i zajrzała do obskurnego wnętrza. - Założę się, że jest na zapleczu. Zapukajmy.

Emmett zacisnął dłoń w pięść i głośno uderzył w drzwi. Lydia obserwowała wnętrze sklepu, lecz nikt nie wyłonił się z półmroku za kontuarem. Odsunęła się od witryny. - Zaczyna trochę głuchnąć - powiedziała. - Spróbujmy dostać się od tyłu.

Poprowadziła go za róg i skręciła w wąską uliczkę za sklepami. Tutaj mgła wydawała się jeszcze gęstsza, a mrok intensywniejszy. Ulotne ślady zbłąkanej energii wyciekającej ze Starych Murów sprawiły, że Lydia poczuła się nieswojo. Emmett szedł tuż za nią.

Nagle przeszył ją dreszcz. Energia pararezonansu. Jej bursztyn nadal miał temperaturę skóry.

- Emmett, czy to ty?
- Przepraszam - rzucił roztargniony. - Tylko sprawdzałem.

Posłała mu groźne spojrzenie.

- Co sprawdzałeś?

- Energię dysonansu. Wydawało mi się, że czuję jej śladowe ilości.

- Zaraz, zaraz. - Zatrzymała się, okręciła na pięcie i wsunęła ręce do kieszeni płaszcza. - Chcesz mi powiedzieć, że gdzieś w pobliżu pracuje łowca duchów?

- Nie w tej chwili. Jeśli jakiś tu był, to albo już poszedł, albo przestał pracować.

Zaniepokojona, wpatrywała się w spowitą mgłą uliczkę.

- W tej części miasta kręci się mnóstwo dzieciaków. Lubią bawić się energią, która wycieka przez mury Wymarłego Miasta. Młodzi pararezonery energii dysonansu, tacy jak Zane, przychodzą tutaj, żeby ćwiczyć przywoływanie iskierek.

Emmett kiwnął głową.

- Przy murach Starego Rezonansu dzieje się to samo. Może wyczułem ślady jakiegoś przyszłego, młodego łowcy.

Chyba sam w to wątpi, pomyślała Lydia. Ale kim ja jestem, żeby się z nim spierać?

Odwróciła się, postawiła kołnierz płaszcza i ruszyła dalej. Gdy dotarła do tylnych drzwi sklepu Greeleya, zatrzymała się i mocno zapukała.

Cisza.

- Cholera - zakląła. - Mówił, że będzie około dziesiątej. Wygląda na to, że musimy poczekać w samochodzie. Nie sądzę, żeby się bardzo spóźnił. Greeley ma krótką listę priorytetów. Pieniądze są na samym jej początku.

Emmett przez parę sekund w milczeniu przyglądał się zamkniętym drzwiom. Potem wyjął z kieszeni kurtki rękawiczki.

Lydia nagle zrobiło się bardzo zimno. Odkasznęła.

- Jako twoja konsultantka odradzam ci włamanie do Antyków Greeleya. To bez sensu. Bartholomew nie zostawiłby na noc na zapleczu czegoś tak cennego jak twój sekretarzyk. Wierz mi, Emmett.

- Wierzę. - Dłonią w rękawicze sięgnął do klamki. -W kwestii sekretarzyka. Wciąż jednak odbieram ślady energii rezonansu. Nie czujesz jej?

Zmarszczyła brwi.

- Nie. Poczułam twoją energię, kiedy przed chwilą jej użyłeś, ale teraz nic nie odbieram.

- Pewnie dlatego, że jesteś splataczką. To są wibracje łowcy.

Owinęła się szczelniej płaszczem. Większość ludzi potrafiła odbierać słabe ślady energii psi, gdy ktoś w pobliżu aktywnie pracował z bursztynem. Najczęściej jednak człowiek był o wiele

bardziej wrażliwy na tych, którzy zostali obdarzeni podobnymi jak on zdolnościami paranormalnymi. Łowca duchów łatwiej wykrywał ślady energii pozostawione przez innego łowcę, a pararezonator energii efemerycznej, taki jak ona, lepiej wyczuwał innego splatacza pracującego w pobliżu.

Jednak nawet najsilniejsze ślady paraenergii szybko zniknęły, gdy ten, kto ją wytwarzał, przestawał rezonować przez bursztyn. Skoro Emmett odbierał energię dysonansu, oznaczało to, że gdzieś w pobliżu pracował łowca, i to bardzo niedawno.

Lydia patrzyła, jak Emmett naciska klamkę. Ustąpiła łatwo pod jego palcami. Zbyt łatwo.

- To chyba niedobry znak, że tylne drzwi są otwarte, Emmett.

- Zabawne. Właśnie doszedłem do tego samego wniosku. - Otworzył drzwi na oścież i zajrzał na zaplecze sklepu.

Lydia stanęła na palcach, żeby zajrzeć mu przez ramię. Najpierw nie zauważyła nic prócz ciemnych kształtów kartonów i waz z zielonego kwarcu. Potem dostrzegła ciało rozciągnięte na podłodze.

- O mój Boże, Emmett!

Bartholomew Greeley leżał twarzą do ziemi w kałuży krzepnącej krwi. Miał poderżnięte gardło.

- O Boże! - znów krzyknęła Lydia. Nie mogła złapać tchu. Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że musiała wepchnąć je do kieszeni. - Tak jak Chester.

- Jest w tym pewien wzorzec, prawda? - Emmett, w pełni skoncentrowany, rozglądał się po pomieszczeniu.

- O co chodzi? - spytała Lydia. - Co odbierasz?

- Pracował tu łowca z bursztynem. Niedawno. Prawdopodobnie przywołał ducha, żeby ogłuszyć Greeleya, po czym poderżnął mu gardło. Kimkolwiek był, spieszył się.

- Dlaczego tak myślisz?

- Coś przypalił. Nie czujesz?

Lydia wciągnęła powietrze. Wychwyciła lekki swąd zwęglonego wypełniacza do kartonów.

- Czuję.

Emmett zerknął na nią.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Kłamała jak z nut. Żołądek jej się wywracał na widok zamordowanego z zimną krwią Greeleya.

- Tylko tu nie zwymiotuj - ostrzegł ją Emmett.

- Nie bój się. Nie zwymiotuję.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Potem wszedł na zaplecze i zasłonił ciało.

- Czekaj! Co robisz? - Spojrzała nerwowo w uliczkę. - To jest miejsce zbrodni.

- Wiem. Chcę tylko szybko się rozejrzeć, zanim stąd znikniemy.

Ogarnęło ją złe przeczucie.

- Znikniemy?

- Tak. - Poruszał się ostrożnie w półmroku, uważając, by nie wdepnąć w krew.

- A co z policją? To ty się upierałeś, żebyśmy po nich zadzwonili, kiedy znaleźliśmy Chestera, pamiętasz?

- Wtedy nie mieliśmy wyboru. Ale tym razem mamy. Kiedy już stąd znikniemy, zadzwonimy z budki telefonicznej.

Zdała sobie sprawę, dokąd on zmierza, i coraz bardziej chciało jej się wymiotować.

- Zapewne anonimowo? - spytała sucho.

Emmett pochylił się, by przyjrzeć się podłodze wokół ciała. Wydawało jej się, że coś podnosi, ale nie widziała co.

- W tych okolicznościach - powiedział, prostując się - anonimowość będzie dla nas najlepsza. Detektyw Martinez nie dokonała jeszcze żadnego przełomu w sprawie Brady'ego. A coś mi mówi, że bardzo by tego chciała. Jeśli się dowie, że znów ty pierwsza pojawiłaś się na miejscu kolejnej zbrodni... - urwał znacząco.

- Umieści mnie na początku swojej listy podejrzanych, tak?

- Prawdopodobnie. Lydia się zastanowiła.

- Nie tylko ja pojawiaam się już drugi raz na miejscu zbrodni.

- Nie musisz mi przypominać. - Podszedł do zavalonego papierami biurka. - Za pierwszym razem udało mi się wywinąć, ale za drugim Martinez raczej mi tak łatwo nie odpuści.

- Zwłaszcza że zadajesz się ze mną - mruknęła ponuro Lydia.

- Mhm. - Delikatnie przerzucał papiery, wciąż w rękawiczkach.

- Nie ma żadnych mocnych dowodów na to, że coś łączy mnie czy ciebie z tymi morderstwami. Martinez będzie musiała to przyznać. Nie może użyć przeciwko nam niczego konkretnego.

Emmett podszedł do drzwi. Kiedy wrócił, bez słowa otworzył dłoń.

Lydia wpatrzyła się w bransoletkę z rezobursztynu w jego ręce. Sześć dobrej jakości kamieni, każdy z jej inicjałami, oprawionych w niedrogą imitację złota. Znów wezbrała w niej fala nudności i przerażenia.

- To jedna z moich bransoletek - szepnęła.
- Tego się obawiałem. - Położył bursztyny na jej dłoni, po czym wziął ją pod ramię i szybko wyprowadził przez tylne drzwi sklepu Greeleya. - Chcesz się założyć, że ukradł ją ten łowca, który przeszukał twoje mieszkanie?
- I zostawił tutaj, na miejscu zbrodni?
- Wątpię, żeby to zrobił ten sam człowiek. Tamten to był jeszcze dzieciak.
- Dzieciaki potrafią zabijać.
- Ale zazwyczaj nie tak sprawnie. - Emmett obejrzał się przez ramię. - Ten dzieciak w twoim mieszkaniu pewnie dla kogoś pracował.
- Ktoś próbuje mnie powiązać z zabójstwem Greeleya. - Teraz drżała tak bardzo, że omal nie upuściła bransoletki. - Nie mogę w to uwierzyć. Czemu to robi?
- Żeby mieć pewność, że przez następnych parę dni będziesz bardzo zajęta. Zbyt zajęta, żeby koncentrować się na takich drobiazgach, jak bezcenne naczynie z oniry-tem czy mój sekretarzyk osobliwości.

Spróbowała pomyśleć logicznie. Nie przyszło jej to łatwo.

- Jest jeszcze inny powód, dla którego mógł zostawić moją bransoletkę przy zwłokach Greeleya. Jeśli przyjedzie tu Martinez, znajdzie ten zwęglony wypełniacz do kartonów. Będzie podejrzewać, że w morderstwo jest zamieszany łowca duchów.

- Uhm.
- I wie, że ty i ja pracujemy ostatnio razem.
- Tak.

Zerknęła na niego.

- Powiązanie mnie z miejscem zbrodni to dobry sposób, żeby wplątać w to także ciebie.
- Owszem, też na to wpadłem.
- O cholera.
- Właśnie, o cholera.

Dziesięć minut później Lydia, wciąż zdenerwowana, siedziała na fotelu pasażera w sliderze i patrzyła, jak Emmett odwiesza słuchawkę w budce telefonicznej i wraca z ponurą twarzą do samochodu.

Usiadł za kierownicą, zarezonował zapłon i spojrzał na nią.

- Na pewno nie zwymiotujesz?
- Raczej nie. Co powiedziałeś glinom?

- Zgłosiłem, anonimowo, że tylne drzwi w Antykach Greeleya są otwarte. - Zjechał z krawężnika. - Zasugerowałem, że wygląda to tak, jakby właśnie się tam włamywano. Przesła patrol, żeby to sprawdzić.

Zmusiła się, by myśleć logicznie.

- Może tak właśnie było, Emmett? Może Greeley zaskoczył zabójcę, gdy przyszedł wcześniej, żeby się przygotować na naszą wizytę? Gdybym nie zgodziła się spotkać z nim dziś rano...

- Przestań! Natychmiast! Nie masz z tym nic wspólnego. To Greeley chciał dokonać transakcji przed otwarciem sklepu, zapomniałaś?

- No cóż. Nie zapomniałam. Ale...

- Żadne ale. To on ustalił termin. - Emmett zwolnił przed zakrętem. -l mógł zaprosić zabójcę do środka.

- O czym ty mówisz? - spytała z niedowierzaniem.

- Chodźmy gdzieś, gdzie dostaniemy kawę. Muszę pomyśleć.

Rozdział 19

Kawiarenka Bursztynowe Niebo była jednym z tych przyjemnych miejsc, gdzie można siedzieć nad filiżanką rezoherbaty i pączkiem przez co najmniej godzinę, zanim kelnerka zacznie się gapić. Emmett szybko rozejrzał się po lokalu i wypatrzył spokojny boks na jego tyłach.

Obserwował Lydię, gdy zamawiała herbatę. Chyba dobrze się trzymała, ale martwił się o nią. Na jej twarzy widział napięcie. Była niesamowicie odporna, ale ciosy spadały na nią jeden za drugim. Wielu ludzi, których znał, wpadłoby już w histerię. Zastanawiał się, ile ta dziewczyna jeszcze znieśie. Każdy w końcu kiedyś się załamuje. Nawet dzielni paraarcheolodzy, którzy potrafili zderezonować harmonij-skie pułapki iluzji w banku w samym centrum miasta.

Co gorsza, wątpił, by mu całkowicie ufała. Pewnie nie potrafiła zaufać nikomu, kto miał powiązania z Gildią.

Siedzieli w milczeniu, póki kelnerka nie przyniosła im tego, co zamówili. Lydia uniosła filiżankę z parującą herbatą. Pączka nie chciała.

- Powiedz mi, dlaczego przypuszczasz, że Greeley mógł znać mordercę? - spytała spokojnie.

Wrócił myślami do makabrycznej sceny w sklepie Greeleya.

- Wyglądało na to, że morderca przeszukiwał biurko Greeleya w pośpiechu - odparł. - Papiery były porozrzucane i wymieszane. Dwie szuflady zostawił na wpół otwarte.

- Według ciebie czego szukał?

- To nic pewnego, ale z kalendarza na biurku wyrwano parę kartek. Brakowało dzisiejszej i wczorajszej strony. I jeszcze dwóch czy trzech innych.

- Morderca się obawiał, że to, co zapisano na jednej z tych stron, odcisnęło się na sąsiednich?

- Istnieje taka możliwość - Emmett przerwał. - Zastanawiam się, czy Greeley próbował zorganizować aukcję, żeby podbić cenę mojego sekretarzyka.

- To do niego podobne. - Zabębniła palcami w blat stołu. - Jeśli tak, to niewykluczone, że zanotował tę aukcję w kalendarzu na biurku. Był bardzo skrupulatny. Na kartce z dzisiejszą datą mógł zapisać nazwisko i numer telefonu mordercy.

- I nasze nazwiska, razem z twoim numerem telefonu. Wyrażnie się wzdrygnęła.

- Ktokolwiek go zabił, wiedział, że mieliśmy przyjść o dziesiątej. Musiał wczoraj kontaktować się z Greele-yem. Wszystko zaplanował. O Boże, Emmett! To znaczy...

- Ktoś nas próbował zrobić. Lydia zastanawiała się przez chwilę.

- Potrafię zrozumieć, że ktoś zamordował biednego Chestera, żeby dostać klucz do współrzędnych. A nawet sobie wyobrazić, że ktoś zabił Greeleya dla sekretarzyka. Nie jest może bezcenny, ale bardzo wartościowy. Co jednak łączy te dwie sprawy?

- Ty - odparł Emmett. - I ja. I oniry.

- I domniemany zdrajca z Gildii w Kadencji - dodała.

- Co znaczy „domniemany”? - spytał.

- Możliwe, że zostaliśmy wciągnięci w jakiś nielegalny handel antykami, prowadzony przez Mercera Wyatta - wyjaśniła chłodno.

Emmett poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. Jej niechęć i nieufność wobec do wszystkiego, co wiązało się z Gildią, nie były dla niego niczym nowym. Nie pozwoli się wciągnąć w kłótnię o etykę łowców.

- Jeśli Gildia byłaby w to zamieszana, Mercer Wyatt nie zaprosiłby mnie na kolację - oświadczył z przekonaniem. - Nie powiedziałby mi, że Quinna widziano w Poprzecznej Fali. Nie zawarłby ze mną układu.

- Tego nie możesz być pewien. Kto wie, co naprawdę knuje Wyatt? Powiedział ci, że chce, żebyś mu pomógł zniszczyć jakiegoś rywala, który podobno trenuje młodych łowców duchów bez zgody Gildii. A co, jeśli cię okłamał? Co, jeśli próbuje cię zrobić w morderstwo?

- Wierz mi, Wyatt nie chce, żeby mnie aresztowano. Na sto procent. On mnie potrzebuje. I nie tylko żeby pozbyć się jakiegoś łowcy renegata.

Opadła na oparcie plastikowego fotela. Jej spojrzenie stało się bardzo zimne.

- Nie powiedziałeś mi wszystkiego o twojej umowie z Wyattem, co?

Zalała go fala złości. Pochylił się nad stolikiem i spojrzał na nią ostro.

- Powiedziałem ci prawdę o moim układzie z nim.

- A czego mi nie powiedziałeś?

- Cholera, reszta nie ma z tym nic wspólnego.

- Powiedz mi!

Powoli się wyprostował. Ogromnym wysiłkiem woli udało mu się zapanować nad sobą.

- Wyatt wyznał mi, że zamierza za rok ustąpić. Cicho prychnęła.

- To chyba dobra wiadomość. Ja na pewno nie będę za nim tęsknić. Ale co ty masz do tego?

- Mercer twierdzi, że zanim odejdzie, poważnie z restrukturyzuje Gildię w Kadencji, według wzorca Gildii z Rezonansu.

- No proszę... I chce, żebyś był jego konsultantem biznesowym, tak? Żebyś mu pomógł wszystko zmodernizować?

Emmett się zawahał.

- Chce trochę więcej niż tylko doradztwa.

- Cholera. Chce wybrać swojego następcę, co? Żebyś ty nim był?

Oburzenie w jej głosie znów obudziło z trudem tłumiony gniew. Spojrzał znacząco w bok, by jej przypomnieć, że nie są sami w kawiarence.

- Mów trochę ciszej. I tak mamy dość problemów, nie musimy jeszcze rozpuszczać jakichś niestworzonych plotek o wewnętrznej polityce Gildii. Wyattowi by się to nie spodobało.

- Nie obchodzi mnie, co by się nie spodobało Wyattowi.

- A co ważniejsze - syknął cicho - mnie by się to nie spodobało.

- Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie zastraszyć?

- Owszem.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie. Jednak gdy znów się odezwała, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Co odpowiedziałeś Wyattowi, kiedy ci oznajmił, że chce, byś po nim przejął Gildię?

Emmett uniósł swoją filiżankę.

- Że nie interesuje mnie ta robota.

- I myślisz, że to go powstrzyma przed próbą zmuszenia cię do tego?

- Poradzę sobie z Mercerem Wyattem. - Odstawił filiżankę trochę zbyt gwałtownie. -
Posłuchaj. Nie przyszłość Gildii w Kadencji leży nam na sercu. Na wypadek gdybyś
zapomniała, próbujemy uniknąć aresztowania za morderstwo.

- Chyba mi to jakoś umknęło - powiedziała do swojej filiżanki z herbatą.

- Coś mi się wydaje, że detektyw Martinez jest bardzo dociekliwa. Jeśli zwiertzy morderstwo
Greeleya i powiąże je ze sprawą Brady'ego, możesz być pewna, że zasypie nas pytaniami.
Musimy ustalić naszą wersję.

Lydia westchnęła.

- A jaką historyjkę jej sprzedamy?

- Prawdziwą. Na tyle, na ile to możliwe.

- Brzmi podstępnie.

- Zawsze najbezpieczniej jest trzymać się jak najbliżej prawdy. Wtedy są mniejsze
szanse, że coś schrzanisz.

- Masz doświadczenie w tego typu sprawach? Nic nie odpowiedział, tylko spojrzał na nią.

Zaczerwieniła się.

- Przepraszam. Ponoszą mnie nerwy.

- Ja też nie jestem w najlepszej formie. - Oparł łokcie o stół. - Powiemy tak: byliśmy
razem przez całą ubiegłą noc i dzisiaj rano. Najpierw u ciebie, potem w banku. Wypiliśmy
tutaj herbatę, a potem podwiozłem cię do Shrimptona. Po prostu nie wspomnimy o tych paru
minutach w Antykach Greeleya. To nam powinno dać alibi. Mamy kilku świadków. Dzwonił
Kelso, a poza tym potwierdzą to ludzie, którzy byli w banku. Zostawię tutaj duży napiwek,
żeby kelnerka nas zapamiętała. No i w końcu mogliśmy stać w korkach.

- A co, jeśli ktoś widział nas w Alei Ruin?

- W takiej mgle? Wątpię. Wszystkie okoliczne sklepy były zamknięte. Powinno nam się
udać.

- Tak sądzisz? - Lydia wyglądała na zmartwioną. -Twoja historyjka sprowokuje inne pytania.

- Na przykład jakie?

- Choćby dlaczego byłeś u mnie ubiegłej nocy i czemu nadal byłeś dziś rano. Czemu
siedzimy tutaj w kawiarni, skoro powinnam być już w pracy? No wiesz, tego typu sprawy.

- Na szczęście istnieje prosta i oczywista odpowiedź na te pytania.

- No właśnie. Na litość boską, Emmett, wszyscy pomyślą, że mamy romans.

- Lepiej, aby myśleli, że ze mną sypiasz, niż gdyby doszli do wniosku, że mordujesz swoich
współpracowników z branży handlu antykami.

Zbladła.

- No tak.

- Ty i ja jesteśmy dla siebie nawzajem alibi.

- Super. Moim alibi jest to, że sypiam z moim pierwszym poważnym klientem. Świetny sposób na rozpoczęcie nowej kariery jako prywatnej konsultantki. Już nie mogę się doczekać, by zobaczyć, jak wspaniała klientela zgłosi się do mnie, kiedy to się rozniesie.

Karteczki z notatkami na jej telefonie źle wróżyły. Lydia niechętnie usiadła przy biurku i sięgnęła po nie.

Szybko je przejrzała. Dwa połączenia z Ryanem i wiadomość od kobiety, która chciała zaplanować wycieczkę po Muzeum Shrimptona w ramach urodzinowego przyjęcia jej siedmioletniego syna. Na szczęście detektyw Alice Martinez się nie odezwała. Lydia się odprężyła.

Ostatnio w jej życiu doszło do poważnych zmian. Kto by pomyślał, że będzie się zadawać z byłym i być może przyszłym szefem Gildii i unikać telefonów z policji?

Spojrzała na półkę z książkami po drugiej stronie biura i przypomniała sobie krew na podłodze na zapleczu sklepu Greeleya.

Melanie otworzyła drzwi i wsunęła głowę do środka.

- No, no! Proszę. Wreszcie postanowiłaś przyjść do pracy.

Lydia się wzdrygnęła.

- Jadłam śniadanie z moim klientem. Trochę się przeciągnęło.

Melanie obejrzała się przez ramię, sprawdzając, czy nikt nie idzie, a potem wpadła do małego pomieszczenia.

- Wydawało mi się, że parę minut temu widziałam samochód Londona. Spotkanie przy śniadaniu, co?

- Tak. - Lydia wstała i podeszła do regału z książkami, na którym stał czajniczek. Tak naprawdę nie chciała już więcej herbaty, ale musiała coś zrobić, by znieść te nieuniknione pytania.

- Jak tam z projektem konsultingowym? - spytała trochę zbyt wesoło Melanie.

- Robimy postępy. - Lydia nasypała herbaty do czajniczka.

- Tak się zastanawiam...

- Nad czym się zastanawiasz, Melanie?

- ...dlaczego pan London podwiózł cię do pracy. Zazwyczaj chodzisz pieszo.

Jeśli nie potrafię znieść Melanie, pomyślała Lydia, nie będę miała większych szans niż kulka śniegu w piekarniku, by znieść detektyw Alice Martinez. Potraktuj tę rozmowę jako dobrą okazję, by poćwiczyć swoją historyjkę, nakazała sobie.

Odstawiła czajniczek, odwróciła się i oparła plecami o regał. Rękami chwyciła drewnianą półkę i uśmiechnęła się do Melanie.

- Pan London był tak miły i zaproponował, że podrzuci mnie tutaj po spotkaniu.

- Rzeczywiście, to bardzo miłe.

- Uhm.

- Nie myśl sobie, że jest wielu dobrze sytuowanych klientów, którzy pofatygowaliby się, żeby podwieźć swoją konsultantkę. Zastanów się, ile trudu musiał sobie zadać: wstać wcześniej, wyjść z hotelu, pojechać po ciebie do Starych Dzielnic, podwieźć cię do kawiarni, podrzucić tutaj...

- Na czas projektu pan London zatrzymał się u mnie - wypaliła Lydia.

Melanie osłupiała.

- O Boże! Sypiasz z nim, tak? Masz romans ze swoim nowym klientem? Wiedziałam! Wiedziałam to od chwili, kiedy zobaczyłam, jak wysiadasz z jego sli-dera.

Lydia chciała coś odpowiedzieć, ale uratował ją widok blisko dwumetrowej wysokości szkieletu, którego cień przesłonił szklane szybki w drzwiach biura. Koścista dłoń uniosła się, by zapukać.

- Proszę wejść, panie Shrimpton! - zawołała. Im więcej ludzi, tym weselej. Martinez pewnie pojawi się lada chwila.

Drzwi się otworzyły. Winchell Shrimpton spojrzał na nią ponuro.

- O! Jesteś wreszcie!

- Przepraszam, że dziś rano trochę się spóźniłam. Sprawy osobiste. Proszę się nie martwić, nadrobię to, będę pracować w porze lunchu.

Shrimpton posępnie pochylił swoją łysą jak kolano głowę.

- Nie sądzę, żeby to coś pomogło. Jak pewnie zauważyłaś, znowu nie ma ruchu. Klienci już się nie pchają do naszego muzeum.

Tego ranka chroniczny pesymizm Shrimptona wydawał się bardziej irytujący niż zwykle, a ona na pewno nie chciała wysłuchiwać narzekań szefa. Miała własne problemy. Musiała jednak wykazać dobrą walkę i na niego nie nawrzeszczyć. Chcesz sobie, facet, pojęczeć? - pomyślała. Spróbuj wstać rano i od razu wylądować na miejscu zbrodni. Spróbuj znaleźć

swoją bransoletkę z bursztynem przy zwłokach, bo zabójca ją przy nich zostawił. Pomartw się o to, czy cię za chwilę nie aresztują. Spróbuj stawić, że gość, który sypia na twojej sofie i korzysta z twojego prysznica, ma zostać nowym szefem Gildii w Kadencji.

Lydia wzięła się w garść. To nie wina Shrimptona, że wygląda nie tylko tak, jakby właśnie wyszedł z krypty, ale ma też osobowość pasującą do takiego wyglądu. Ten człowiek dał jej pracę, kiedy jej desperacko potrzebowała. A to się dla niej bardzo liczyło. A poza tym, jako szef, dosłownie i w przenośni górował nad egoistycznymi typkami z uczelni, z którymi wcześniej pracowała.

- Proszę się nie martwić, panie Shrimpton - powtórzyła, siląc się na optymizm. - Wkrótce zaczną się wiosenne ferie. W wakacje zawsze mamy większy ruch. Dzieciaki uwielbiają to miejsce.

Shrimpton nie rozpogodził się zauważalnie; teraz sprawiał wrażenie zamyślonego.

- To przez te zwłoki w sarkofagu w Galerii Grobowców poprawił nam się ruch na parę dni - stwierdził. - Ciekawe, czy moglibyśmy w jakiś sposób zaaranżować kolejny drobny „wypadek”.

Lydia zamarła.

Melanie prawie podskakiwała z ekscytacji.

- Świetny pomysł, szefie! Wie pan, gdyby znaleziono u nas drugie zwłoki, moglibyśmy wymyślić jakąś naprawdę dobrą legendę.

Shrimpton spojrział na nią z nadzieją.

- Jaką legendę?

- Najlepiej coś o jakiejś klątwie pradawnych Harmo-nijczyków. - Melanie podparła policzek palcem. - Wie pan, ludzie uwielbiają tego typu rzeczy. Moglibyśmy rozpocząć kampanię reklamową wokół Klątwy Harmonij-skiego Sarkofagu.

Shrimpton pokiwał głową.

- Podoba mi się to. Dobrze rokuje. Lydia ukryła twarz w dłoniach.

Rozdział 20

Wilgotna mgła przegnała zwykłych bywalców małego parku, ale Emmett i Zane musieli się jakoś przedrzeć przez labirynt porzuconych butelek po winie Nocne Wibracje i piwie Kwaśna Aura.

- Poprzeczna Fala? - Zane oderwał wzrok od Futrzaka, który węszył pod drzewem. - Tak, jasne. Znam to miejsce. Kręci się tam sporo dzieciaków z ulicy. Mają darmowe zarcie, gry komputerowe i fajną salę gimnastyczną. Chodziłem tam czasem po szkole, póki Lydia się nie dowiedziała.

Emmett wsunął ręce do kieszeni swojej skórzanej kurtki.

- Lydii nie podoba się to schronisko?

- Nie. - Zane przewrócił oczami. - Przekonała ciocię Olinę, że nie jest to dla mnie odpowiednie „środowisko”.

- Ach!

- Powiedziała, że to miejsce dla dzieciaków, które nie mają domu, i że ja mam dom.

- No, to chyba logiczne.

- Może. W każdym razie ciocia Olinda to kupiła. Emmett obserwował, jak Futrzak toczy się w ich stronę przez pogniecioną trawę.

- Jest otwarte przez całą dobę?

- Kiedyś było. Ale parę miesięcy temu zaczęli zamykać o północy. Podobno pani, która prowadzi Poprzączną Falę, twierdzi, że pojawiły się nowe problemy prawne i obostrzenia wobec całonocnych schronisk.

- Mógłbyś mi opisać, jak tam jest w środku?

- Jasne. - Zane spojrział na niego z ukosa. - A czemu interesuje pana Fala?

- Zastanawiam się, czy tam nie wpaść, żeby się rozejrzeć.

- Lydii się to raczej nie spodoba.

- Raczej nie.

Wrócili do slidera, oparli się o zderzak i patrzyli, jak Futrzak wesoło skacze wokół pustych butelek.

- Lydia uważa, że powinienem pójść do koledżu - odezwał się po chwili Zane.

Emmett kiwnął głową.

- Nie dziwi mnie to.

- Ale ja nie chcę. Chcę się przyłączyć do Gildii.

- Przecież jedno nie wyklucza drugiego. Zane prychnął.

- Koledż to strata czasu dla łowcy duchów.

- Wielu łowcom przestaje odpowiadać łowienie duchów w pełnym wymiarze godzin, gdy robią to długo. Albo o jeden raz za dużo zostaną podsmażeni i postanawiają z tym skończyć. Jeśli nie nauczyli się niczego innego, trudno im zmienić pracę.

- Nie wyobrażam sobie, żebym kiedykolwiek się zmęczył łowieniem.

- Raz na jakiś czas jest to całkiem fajne. Ale nie powiem, że to największe wyzwanie intelektualne na świecie.

Zane znów prychnął.

- A kogo obchodzą intelektualne wyzwania?

- Być dobrym w łowieniu duchów to trochę jak być dobrym w przechodzeniu przez ruchliwą ulicę w miejscu, gdzie nie ma przejścia dla pieszych. Jeśli jesteś szybki, rzadko coś cię potrąci. Jasne, przez jakiś czas może to być ekscytujące, ale czy naprawdę chcesz spędzić na tym całe życie?

Zane spojrzał na niego ze złością.

- To wcale tak nie wygląda.

- Niczym się to nie różni od zdolności derezonowania pułapek iluzji. Lydia jest w tym dobra i pewnie mogłaby świetnie zarabiać, nie robiąc nic innego prócz neutralizowania pułapek, ale gdyby robiła tylko to, szybko by jej się znudziło.

- Łowienie duchów nigdy mi się nie znudzi - oświadczył z przekonaniem Zane.

- Może i nie.

- Skończyłeś college?

- Tak. Dorabiałem na boku, unieszkodliwiając duchy w katakumbach w Rezonansie. Później, kiedy zaliczyłem szkołę, przez jakiś czas zajmowałem się tylko tym. Ale zmęczyło mnie to, że wszystkie zasługi za nowe odkrycia zawsze są przypisywane paraarcheologom.

Zane zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Kiedy odsłaniane są nowe części katakumb, nigdy nie uznaje się tego za zasługę łowców. Dla większości ludzi jesteśmy po prostu mięśniakami do wynajęcia. To paraarcheolodzy piszą artykuły w fachowych czasopismach i to ich zdjęcia są w gazetach.

- To nie fair.

- Wiem - odparł Emmett. - Ale tak już jest.

- Proszę wejść, panie London. - Denver Galbraith--Thorndyke uniósł się zza szerokiego biurka. Poprawił okulary na nosie i wskazał Emmettowi krzesło. - Dzwonił do mnie pan Wyatt, by uprzedzić o pańskiej wizycie.

- Nie zajmę panu zbyt dużo czasu. - Emmett rozejrzał się po luksusowym biurze fundacji. Tamara na pewno pociągnęła za wszystkie sznurki, by zrealizować swój cel i zmienić wizerunek Gildii. Ekskluzywna boazeria, drogie dywany i połyskujące drewniane meble bez wątplenia zostały wybrane przez projektanta wnętrz, którego poproszono, by stworzył atmosferę „wykwintnego, dobrego smaku”.

Denver Galbraith-Thorndyke w naturalny sposób pasował do swojego otoczenia. Wyraźnie widać było po nim, że wiele lat uczył się w prywatnych szkołach. I że ma świetne koneksje. Była w nim również powaga i determinacja. Mercer właściwie go ocenił, pomyślał Emmett. Ten młody człowiek chciał się sprawdzić. Chciał sam do czegoś dojść. Tamara dała mu środki, aby to osiągnął.

- Rozumiem, że interesują pana szczegóły naszego wkładu w schronisko młodzieżowe Poprzeczna Fala. -Denver znów poprawił okulary w złotych oprawkach i otworzył grubą teczkę. - Nie wiem, czego dokładnie pan szuka, ale mam tutaj pełne sprawozdanie finansowe, jeśli to pomoże.

- Chciałbym je zobaczyć. - Emmett sięgnął nad biurkiem po raport. Szybko go przejrzał. - jak zakładam, wszystkie organizacje charytatywne poddawane są ścisłej kontroli, zanim autoryzujecie fundusze?

- Oczywiście. Wszelkie istotne fakty weryfikuję osobiście. Sprawdzamy wszystkich, którzy są związani z organizacją, i przeprowadzamy audyt ich sytuacji finansowej. Musimy się najpierw upewnić, czy instytucja działa zgodnie z prawem. Wie pan, oszustów nie brakuje.

- Wiem. - Emmett przeglądał dane finansowe. - Widzę, że gdy fundacja zaczęła finansować Poprzeczną Falę, schronisko miało problemy.

- Tak. - Denver rozparł się w fotelu. - Kiedy umarł założyciel, finanse Fali były zabałaganione. Z tego powodu niemal zrezygnowaliśmy z projektu. Jednak w przeszłości schronisko cieszyło się dobrą opinią, przyciągało młodych ludzi z ulicy, a pani Wyatt bardzo chciała finansować jakiś projekt ukierunkowany na bezdomną młodzież. Postanowiliśmy, że będziemy współpracować z panną Vickers, by znów postawić Falę na nogi. Całkiem niezłe nam się to udało.

Emmett podniósł wzrok.

- Z panną Vickers?

- To ona jest odpowiedzialna za prowadzenie schroniska. Zaczęła w nim pracować wkrótce po śmierci Ame-sa. Bardzo się zaangażowała.

Lydia wpatrywała się w sarkofag, w którym znalazła zwłoki Chestera. Sprzątaczkę wykonały doskonałą robotę. Wszystkie plamy krwi zniknęły. Tyle że przezroczysty zielony kwarc, z którego Harmonijczycy budowali swoje miasta, katakumby i większość tego, co się w nich znajdowało, był nie tylko niezniszczalny, lecz również łatwy do wyczyszczenia. Gdyby ludzie kiedykolwiek nauczyli się, jak stosować proces pararezonansu do wytwarzania takiego materiału, prawdopodobnie wspaniale by się sprzedawał firmom budowlanym i remontowym, świetnie nadawał do łazienek i kuchni, zakładając, że projektant wnętrz lubiłby zieleń.

Powoli się odwróciła i rozejrzała po tonącej w półmroku galerii.

Co Chester robił tutaj tej nocy, gdy został zabity? Detektyw Martinez i wszyscy inni podejrzewali, że przyszedł ukraść jakiś artefakt. Nawet w swoich najlepszych dniach Dom Pradawnej Grozy Shrimptona był zaledwie podrzędnym muzeum. Nie skrywał niczego niezwykle wartościowego, choć znalazłoby się parę rzeczy, choćby zwierciadła nagrobne, które mogłyby zainteresować drobnych kolekcjonerów. A przecież Chester miał reputację drobnego złodziejzka.

Jednak, jeśli poprawnie zinterpretowali z Emmettem list Chestera, nie przyszedł tu, aby coś ukraść. Próbował ukryć klucz do swojego szyfru.

Prawdopodobnie zginął, zanim zdołał zrealizować swój cel. A jeśli tak, jego zabójca miał teraz klucz i nie było sensu go szukać.

Ale co, jeśli Chestera zamordowano, gdy wracał z muzeum? Co, jeśli ukrył klucz, zanim ktoś poderżnął mu gardło?

Przyglądała się kryptom po obu stronach sali wystawowej. Na polecenie Shrimptona urny z zielonego kwarcu, zwierciadła nagrobne i inne eksponaty zostały efektownie oświetlone, tak by niesamowicie błyszczały w ciemnościach.

To skrzydło galerii obfitowało w miejsca, w których Chester mógł ukryć klucz. Musiał wiedzieć, jak trudno przeszukać całe muzeum. Jeśli to w ogóle możliwe.

- Lydio?

Głos Ryana za jej plecami wyrwał ją z zadumy. Odwróciła się szybko i zobaczyła, jak podchodzi do niej nerwowym krokiem.

- Cześć, Ryan.

- Zostawiłem ci z dziesięć wiadomości - powiedział bez żadnych wstępów.

- Widziałam.

- Dlaczego, u diabła, nie oddzwoniłaś?
 - Jestem ostatnio trochę zajęta.
 - Cholera, przez cały dzień próbuję cię złapać.
 - Na wypadek gdybyś zapomniał, Ryan, nie pracuję już dla wydziału. A to znaczy, że nie zawsze natychmiast oddzwaniam do moich dawnych kolegów. Teraz mam inne priorytety.
 - Takie jak ten twój tak zwany nowy klient? Poczula się nieswojo.
 - Nie tak zwany. Pan London jest jak najbardziej realnym klientem - odparła spokojnie.
 - Odebrał telefon w twoim mieszkaniu dziś rano. Sypiasz z nim, na litość boską! Masz w ogóle pojęcie, kto to taki?
 - Owszem. Zignorował to.
 - London jest szefem Gildii z Rezonansu. Myślałem, że komu jak komu, ale tobie na pewno nie przyszłoby łatwo romansować z tego typu człowiekiem.
 - Jest byłym szefem Gildii.
 - Znasz powiedzenie: raz w Gildii, na zawsze w Gildii.
 - Mój klient to mój problem, nie twój.
 - Nieprawda... - Głos Ryana złagodniał. - Jesteśmy przyjaciółmi, Lydio. Kolegami. Czuję się odpowiedzialny za ciebie, więc ostrzegam cię przed Londonem. On cię wykorzystuje.
 - Możesz uznać, że już mnie ostrzegłeś. Słuchaj, nie mam czasu. Przejdźmy do rzeczy. Czego chcesz?

 - Do diabła, próbuję ci wyświadczyć przysługę.
 - Ostatnim razem, kiedy wyświadczyłeś mi przysługę, straciłam pracę.
 - Pracuj nad tym ze mną, a może uda mi się znów wprowadzić cię do wydziału.
- Miałam rację, pomyślała. Tylko jedna rzecz może tłumaczyć natarczywość Ryana: usłyszał coś o onirycie.
- Co się dzieje, Ryan?
 - Muszę z tobą porozmawiać. - Rozejrzał się dookoła, najwyraźniej sprawdzając, czy galeria nadal jest pusta. - Wydarzyło się coś ważnego.
- Pewnie należałoby się dowiedzieć, ile wie o onirycie. Założyła ręce i oparła się biodrem o narożnik zielonego sarkofagu.
- Opowiadaj.
 - Nie możemy tu rozmawiać.

- Czemu nie? Muzeum zostało zamknięte parę minut temu. Jesteśmy sami.

Przejechał palcami włosy i znów się rozejrzył. Aż biło od niego napięcie.

Podszedł do niej bliżej i odezwał się niemal szeptem.

- Mam własnego prywatnego klienta.

- Gratuluję. A co mi do tego? Przyglądał jej się uważnie.

- Ubiegłej nocy skontaktował się ze mną w sprawie plotki o kawałku obrobionego onirytu.

Poczuła, że w środku robi jej się zimno, ale udało jej się pogardliwie zachichotać.

- Wygląda na to, że ten twój wspaniały prywatny klient uciekł z jakiegoś oddziału parapsychofizycznego. Wszyscy wiedzą, że nie istnieje coś takiego jak obrobiony oniryt.

- Mój klient mówił poważnie. - Ryan wciąż uporczywie się w nią wpatrywał. - Nie zwariował. Myśli, że ta plotka nie wzięła się znikąd, i poprosił mnie o pomoc w jej sprawdzeniu.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Łatwe pieniądze. Naliczysz mu trochę godzin za poszukiwanie lipnego kawałka onirytu, a potem oświadczysz, że nie istnieje, i wyślesz mu rachunek.

- On uważa, że możesz coś o tym wiedzieć, Lydio.

- Ja? - Wybałuszyła oczy, udając zdumioną niewinność. - Na litość boską, dlaczego łączy mnie z jakąś nieprawdopodobną plotką o onirycie?

- Ponieważ pracujesz dla Londona, a jego zdaniem London przyjechał do Kadencji szukać onirytu.

- Posłuchaj, Ryan. Twój klient najwyraźniej mocno się podsmążył - syknęła. - Pan London nie goni za jakąś urojoną plotką. Przyjechał tu szukać swojej rodzinnej pamiątki.

- Nie wierzę ci. - Ryan podszedł jeszcze bliżej. - Odmawiasz współpracy ze mną, bo chcesz to mieć tylko dla siebie. Wydaje ci się, że sama potrafisz znaleźć ten oniryt.

- Oszalałeś? Według ciebie, pracowałabym dzisiaj tu u Shrimptona, gdybym była na tropie onirytu? Wierz mi, natychmiast rzuciłabym tę robotę, by móc się całkowicie poświęcić poszukiwaniom. Gdybym namierzyła kawałek obrobionego onirytu, trafiłabym na okładkę „Dzienników Paraarcheologii”. Mogłabym sobie przebierać w posadach na uniwersytecie. Cholera, pewnie zrobiliby ze mnie szefa wydziału. Pomyśl tylko, Ryan, niewykluczone, że dostałabym twoją posadę!

Ryan zamrugał, najwyraźniej zaniepokojony. Gdy się opanował, jego wyraziste rysy wykrzywił ponury grymas.

- Mój klient to doświadczony kolekcjoner; docierają do niego wszystkie plotki z ruin. Jest przekonany, że oniryt istnieje.

- A jak się nazywa ten doświadczony kolekcjoner?

- Tego nie mogę ci powiedzieć. - Ryan zeszywniał. - Woli pozostać anonimowy.

- A jakże. Nic dziwnego. Gdyby ludzie się dowiedzieli, że szuka oniryta, ktoś mógłby zadzwonić po facetów w białych fartuchach, żeby go zabrali do wariatkowa.

Ryan z taką siłą zacisnął zęby, że Lydia usłyszała zgrzyt.

- Cholera, Lydio. Powinnaś ze mną nad tym pracować. To leży w twoim najlepszym interesie.

- Tak? A dlaczego?

- Mój klient nie tylko zgodził się zapłacić mi fortunę, jeśli odnajdę oniryt. Zgodził się też na to, by artefakt został zbadany i opisany przez wydział.

Wydeła usta.

- To znaczy, że twoje nazwisko pojawiłoby się we wszystkich artykułach...

- Oczywiście zadbałbym o to, żeby nie pominięto ciebie - zaznaczył.

- O rany! Jak za dawnych czasów, co? Ja piszę artykuł, a ty figurujesz jako główny autor? Serce tak mi bije, że chyba zaraz wyskoczy z piersi!

Ryan wyprężył się jak struna.

- W porządku. Obiecuję, że to ty będziesz główną autorką.

- Nie kupuję tego nawet przez chwilę. Już tego próbowałeś, nie pamiętasz?

- Lydio, to nie jest właściwy moment, by sprzeczać się o takie drobiazgi. Jeśli mój klient ma rację co do tego oniryta, stoimy przed przełomem w całej naszej karierze.

Chwilę mu się przyglądała.

- Naprawdę wierzysz, że ten twój klient się nie myli, prawda?

- Tak jak mówiłem, to doświadczony kolekcjoner. Sądzę, że wie, co robi. Ktoś tak inteligentny nie gonilby za czymś, co nie istnieje.

- No nie wiem... Kolekcjonerzy są dziwni. Gdyby nie byli trochę ekscentryczni, nie byłiby kolekcjonerami.

- Ale jeśli ma rację, gra toczy się o wielkie pieniądze. I rzecz nie tylko w kasie. To mogłoby wymazać całą twoją przeszłość. Gdybyś pojawiła się z onirytem, nikogo by już nie obchodziło, co ci się przydarzyło pół roku temu.

- Dobrze. Spróbuj mnie przekonać. Co wiesz o tym tak zwanym oniryście?

- Nie powiem ci ani słowa więcej, dopóki nie zgodzisz się ze mną pracować - zaryzykował.
- Cóż, w takim razie... - wyprostowała się i odsunęła od sarkofagu - wygląda na to, że nasza rozmowa dobiegła końca. Do zobaczenia, Ryan.
- Zaczekaj! - Gwałtownie chwycił ją za ramię, gdy próbowała go wyminąć. - Jesteś profesjonalistką. Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli w tej plotce jest choćby ziarno prawdy, to będzie znalezisko dziesięciolecia. To zbyt ważna sprawa, żebyś pozwoliła, by rządziły tobą uczucia.
- Jeśli jest w tym choćby ziarno prawdy - powtórzyła i spojrzała znacząco na jego dłoń na swoim ramieniu. -Bądź tak miły i zabierz rękę.
- Chodzi o Londona, tak?! - wrzasnął rozwścieczony. - Szuka onirytu, a tobie się wydaje, że lepiej trzymać z nim niż ze mną!
- Zabierz tę rękę, Ryan.
- On jest z Gildii! A to znaczy, że jest niebezpieczny.

- Puść mnie, Ryan.
- Cholera! Nie widzisz, co się dzieje? On cię wykorzystuje.
- O czyrń ty mówisz?
- Doskonale wiesz o czym. On ma własne plany.
- Każdy ma własne plany. Ty też.
- Cokolwiek planuje London, założę się, że to niezgodne z prawem.
- Na twoim miejscu nie oskarżałabym głośno Londona o to, że jest przestępcą. - Przypomniała sobie słowa Emmetta w kawiarni. - Mogłoby mu się to nie spodobać. Ryan poczerwieniał.
- Co to znaczy? Tylko dlatego, że cię pieprzy, wierzysz w każde jego słowo?! Myślałem, że jesteś mądrzejsza, Lydio.
- Moje prywatne życie to nie twoja sprawa, Ryan. Już nie.
- Uważaj - warknął. - Sam fakt, że London w ogóle cię wynajął, powinien być wzbudzić w tobie podejrzenia, że ma wobec ciebie złe plany.
- A jaśniej?
- Wiesz równie dobrze jak ja, że gdyby potrzebował konsultanta do jakichś legalnych działań, zwróciłby się do Stowarzyszenia i wynajął prywatnego paraarcheologa. Ale on wybrał ciebie. To cię nie zastanawia?
- Chyba dość już powiedziałeś, Ryan.

- Wybrał ciebie. Splataczkę pracującą w takim miejscu jak to, bo tak się podsmażyła, że straciła pracę na uniwersytecie. Wytlumacz mi, dlaczego zachciało mu się zatrudnić paraarcheolog, która pewnie już nigdy nie będzie pracować w szanowanym zespole wykopaliskowym?

- Zamknij się, Ryan.

- Widziałaś swoje własne akta parapsychologiczne? Co najmniej dwóch psychiatrów, którzy cię leczyli po tym, jak wyszłaś z katakumb, zalecało, żebyś się zgłosiła na miły, spokojny oddział, i to na dłuższy pobyt.

Zacisnęła pięści.

- Te dane są podobno prywatne.

- Gówno prawda. To na wydziale tajemnica poliszynela, co jest w tych aktach. Zdiagnozowali u ciebie skrajny paradysonans, amnezję i ogólny uraz psychiczny. Oboje wiemy, co to znaczy. Według opinii ekspertów, jesteś skłonna do załamania pod najlżejszą presją.

- Nic takiego się nie zdarzy.

- A już na pewno nie będziesz nigdy pracować pod ziemią. Nie z legalnym zespołem. - Machnął ręką. - Cholera, masz szczęście, że w ogóle dostałaś robotę w tym byle jakim muzeum.

Zalała ją fala złości. Poczula ból i uświadomiła sobie, że paznokcie wbijają jej się w skórę.

- Jeśli mnie nie puścisz, zacznę krzyczeć. Może cię aresztują? Jak myślisz, jak zareagowałiby na to w laboratorium? A skoro już o tym mowa, wyobraź sobie, jakby to przyjął twój nowy „klient”? Skoro szuka oniryty, oczekuje chyba odrobiny dyskrecji od swojego konsultanta.

Twarz Ryana wykrzywił grymas wściekłości. Przez chwilę myślała, że będzie musiała rzeczywiście spełnić swoją pogroźkę. Ryan jednak dostrzegł determinację w jej oczach.

Zły, zaklął i puścił jej ramię.

- Posłuchaj, Lydio. Nie zdajesz sobie sprawę, w co się pakujesz. Powtarzam, London jest niebezpieczny. I o czymś jeszcze powinnaś wiedzieć. Jego wrogowie też są niebezpieczni.

Oprzytomniała.

- Wrogowie?

- Mój klient mówił mi, że nie wszystkim z Gildii w Rezonansie podobają się zmiany, jakie wprowadził w tamtejszej organizacji. - Ryan zniżył głos do szeptu. - Co więcej, paru ludzi, którzy stanęli mu na drodze, znaleziono martwych w katakumbach. Wielu sądzi, że to London zaaranżował te nieszczęśliwe wypadki.

- Bzdura. Jeśli twój klient ci to powiedział, to naprawdę ostro go przysmażyło. A teraz przepraszam, Ryan. - Ostentacyjnie zerknęła na zegarek. - Idę do domu.

- Cholera. Czy ty mnie słuchasz? Nie możesz ufać Londonowi. On cię wykorzystuje.

- Chyba nie wyraziłam się jasno - odparła spokojnie. - Na razie ufam Londonowi bardziej niż tobie.

- Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że dobre pieprzenie wystarczy, aby zdobyć twoje zaufanie. Cholera, sam bym cię przeleciał.

Nie pozwolę, by ten sukinsyn wytrącił mnie z równowagi, obiecała sobie w myślach. Trzęsła się z wściekłości, lecz jej głos zabrzmiał chłodno.

- Prosiłeś o to, o ile pamiętam. Może zapomniałeś, że odmówiłam. Chyba musiałam tamtej nocy umyć głowę.

Uniósł dłoń. Patrzyła na niego z niedowierzaniem; chce ją uderzyć? W galerii niemal bezgłośnie szumiała energia. Nie jej energia! Bursztyn na jej nadgarstku nadal miał taką samą temperaturę jak skóra. Niewidzialnych wibracji nie wysyłał też Ryan. To była częstotliwość łowcy duchów.

Ryan z wyraźnym wysiłkiem opuścił rękę. Pewnie nie zdawał sobie sprawy, że wokół faluje energia. Zbyt spięty, zbyt zaangażowany w kłótnię, nie zwrócił na nią uwagi.

- Znalazłaś się w bardzo trudnej sytuacji, Lydio. Mogę ci pomóc. Zadzwoń do mnie, kiedy przejrysz na oczy. Stawką jest nie tylko moja przyszłość. Twoja też.

Okręcił się na pięcie i szybko ruszył galerią.

Lydia odprowadziła go wzrokiem. W powietrzu wokół niej nadal łagodnie wibrowała energia; jakby ją chroniła.

Odwróciła się powoli i zobaczyła Emmetta; wyszedł z cienia rzucanego przez potężny filar z zielonego kwarcu.

- Długo tam stałeś? - spytała.

- Wystarczająco długo.

- Słyszałeś? O jego nowym kliencie? I całej reszcie?

- Słyszałem.

- Emmett, to znaczy, że ktoś naprawdę szuka tego onirytu. Kimkolwiek jest, uważa, że to dlatego zjawiłeś się tu, w Kadencji.

- Na to wygląda. - Emmett spojrzał w głąb galerii, tam, gdzie zniknął Ryan. - Myślałem, że będę go musiał podsmażyć.

- Kogo? Ryana? - Przez chwilę na tym się skupiła. -Mógłbyś? Tak daleko od Wymarłego Miasta?

Nie odpowiedział, po prostu wziął ją pod ramię.

- Chodźmy. Jesteśmy umówieni.

- Z kim?

- Z panną Helen Vickers.

- A kto to taki?

- Dobra kobieta, kierowniczka schroniska młodzieżowego Poprzeczna Fala. Po drodze przedstawię ci naszą historyjkę.

- Mam pomysł. Mogę być twoją prawniczką, a ty możesz udawać bogatego, ekscentrycznego faceta, który chce wydać mnóstwo pieniędzy.

- Za późno. Gdy zadzwoniłem do panny Vickers, powiedziałem jej, że przyjadę z żoną. A tak nawiasem mówiąc, nazywamy się Carstairs - powiedział Emmett.

Rozdział 21

N a razie ufam Londonowi bardziej niż tobie".

W porządku. Nie całkiem było to wprost wypowiedziane zapewnienie, pomyślał Emmett, wchodząc za Ly-dię do biura schroniska młodzieżowego Poprzeczna Fala. Mogła być odrobinę bardziej przekonująca i szczyptę bardziej dramatyczna: „Powierzyłabym Londonowi moje życie, mój majątek i moje święte poczucie własnej wartości". To byłoby niezłe. Albo: „Będę ufać Londonowi aż do końca wszechświata". Ale musiał zadowolić się tym to, co mógł dostać.

Chyba jednak powinien był podsmażyć Ryana, kiedy miał szansę.

Biuro schroniska młodzieżowego mieściło się tuż przy głównym budynku. Z miejsca, gdzie stali, Emmett widział garstkę młodych ludzi, w wieku mniej więcej od kilkunastu do dwudziestu lat, szwendających się przed schroniskiem. Jeden z nich od niechcienia dryblował piłką częstotliwościową.

Ta część Starych Dzielnic Kadencji, przylegająca do wschodnich murów Wymarłego Miasta, najwyraźniej nigdy nie odczuła zmian na lepsze. Współistniały tu tandetny szyk, urok cyganerii i typowe dla takich rejonów miasta problemy. Z okna biura Poprzecznej Fali

Emmett widział lombardy i obskurne tawerny świadczące usługi tłumowi włóczęgów. Między nimi stały zabite deskami, rozpadające się budynki. Na wąskich chodnikach mijali się żebracy i prostytutki. Zrozumiał, dlaczego Lydia nie chciała, żeby Zane wałęsał się po tej okolicy.

Nad niskimi, przysadzistymi domami, wzniesionymi przez pierwszych ludzi, którzy zamieszkali w Kadencji, wznosiły się potężne zielone mury Wymarłego Miasta. Gmach Poprzecznej Fali był jednym z najstarszych w tej dzielnicy. Znajdował się dosłownie w cieniu murów.

Zbłąkana energia psi wyciekała swobodnie przez niewielkie, często niewidoczne szczeliny w kwarcu. Emmett ignorował dreszcze przenikające jego paranormalne zmysły. Wiedział, że Lydia też to czuje. Drobne prądy i wiry energii charakteryzowały klimat Starych Dzielnic prawdziwych miast. Turyści uwielbiali ten dreszczyk emocji.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, rozejrzał się po obskurnym, zagraconym biurze. Stały w nim dwa poobijane metalowe biurka, na których piętrzyły się papiery i ulotki, parę szafek na akta, telefon i nadpalone drewniane krzesła. Takiego właśnie umeblowania można oczekiwać po organizacji charytatywnej, prowadzonej na pokaz i za wyjątkowo małe pieniądze. Wąski korytarz wiódł do kolejnego biura i zamkniętych drzwi. Za nimi pewnie znajdował się magazyn.

Z przodu, za biurkiem siedziała poważna, zmęczona kobieta. Na oko tuż po czterdziestce. Nie miała makijażu. Siwiejące włosy upięła w prosty, mały kok. Emmett nie zauważył żadnych akcesoriów z bursztynu.

Spojrzała na nich wyczekująco.

- Państwo Carstairsowie?

Lydia wyciągnęła dłoń.

- Panna Vickers, prawda? Bardzo się z Emmettem cieszymy, że możemy panią poznać.

Emmetta rozbawił jej afektowany ton bogaczki. Domyślił się, że sprawiał to jej akademicki akcent.

- Proszę mi mówić Helen. - Helen wskazała dwa krzesła. - Niech państwo usiądą. Napiją się państwo herbaty?

Emmett zaczął otwierać usta, by powiedzieć: nie.

- Dziękuję - mruknęła Lydia. - To bardzo miłe z pani strony.

Emmett spojrzał na nią i postanowił się nie sprzeciwiać.

- Z miłą chęcią.

- Jestem bardzo szczęśliwa, że zadzwonił pan dziś po południu, panie Carstairs. - Helen wstała, by nalać herbaty z imbryczka stojącego na drugim biurku. - Mogę spytać, gdzie pan usłyszał o pracy, jaką wykonujemy tutaj, w schronisku młodzieżowym Poprzeczna Fala?

- Nasz przyjaciel wspominał o państwa placówce -odparł swobodnie Emmett. - Wiedział, że jesteśmy bardzo zainteresowani przekazaniem pieniędzy jakiejś organizacji wspierającej młodych ludzi.

- To cudownie. - Helen promieniała entuzjazmem. Podała im filiżanki. - Więc trafiliście państwo we właściwe miejsce. Tu, w Poprzecznej Fali, pomagamy młodzieży, która nie ma się do kogo zwrócić.

Lydia upiła łyk herbaty.

- Nasz księgowy poradził mnie i mężowi, żebyśmy przyjrzeni się kilku instytucjom charytatywnym pracującym z młodymi ludźmi, zanim podejmiemy decyzję.

Ostrzegaliśmy nas, że sporo takich organizacji nie kitfU)fl til w swojej działalności etyką. <•*

- Niestety, to prawda. Jednak tutaj, w Fali, dumą napawa nas fakt, że ogromna większość otrzymywanych przez nas darowizn idzie bezpośrednio na schronisko. Tylko bardzo niewielka kwota przeznaczana jest na koag* ta ogólne i organizowanie kwest. Pozwólcie państwo, i4 dam wam naszą broszurę i ostatni roczny raport.

Podeszła do szafki na akta, otworzyła szufladę i wyjęła teczkę. Podała ją Emmettowi.

Otworzył roczny raport i przerzucił parę stron, docierając do informacji o organizacji, podanej na końcu dokumentu. Przeglądał listę darczyńców, jednocześnie słuchając, jak Lydia delikatnie wypytuje Helen Vickers.

- Może nam pani opowiedzieć o historii Poprzecznej Fali, Helen? Jak rozumiemy, schronisko istnieje już od wielu lat?

- Od ponad trzydziestu - zapewniła ją Helen. - Zostało założone przez Andersona Amesę, zamożnego przemysłowca pochodzącego ze zubożałej rodziny. Doświadczył na własnej skórze niebezpieczeństw życia na ulicy i pragnął stworzyć fundację, która pomagałaby młodym ludziom ich uniknąć.

- Czy pan Ames jest nadal czynnie zaangażowany w pracę Fali? - spytała niewinnie Lydia.

- Muszę z przykrością poinformować, że zmarł dwa lata temu - odparła Helen. - Miał nadzieję, że schronisko będzie nadal działać bez niego, ale prawnicy doszukanali się jakichś nieprawidłowości w finansach funduszu powierniczego. Sprawy wyglądały dość ponuro, dopóki...

Nagle otworzyły się drzwi frontowe. Do biura wma-szerował wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w dresie i sportowych butach. Pod pachą trzymał piłkę częstotliwościową. Na jego czole połyskiwały kropelki potu. Helen Vickers się uśmiechnęła.

- Tb jest Bob Matthews. Pracuje dla nas społecznie. Prowadzi zajęcia rekreacyjne. Bob, poznaj pana i panią Carstairsów. Rozważają przekazanie darowizny naszemu schronisku.

- Och! To wspaniale! - Bob chwycił dłoń Emmetta i entuzjastycznie ją uściskał. - Jeśli czegoś potrzebujemy tu najbardziej, to właśnie donatorów. Zawsze się cieszę, mogąc jakiegoś poznać.

Emmett kiwnął głową i cofnął dłoń.

- Wygląda na to, że wykonujecie dobrą robotę. Bob się roześmiał.

- Próbujemy. Może uda mi się namówić państwa na zakup nowego sprzętu sportowego?

- Innym razem, Bob - wtrąciła stanowczo Helen. -Dziś państwo Carstairsowie tylko zbierają informacje.

- Rozumiem. - Bob uniósł rękę. - Helen świetnie mnie zna. Kiedy mogę coś zdobyć dla moich dzieciaków, zawsze mnie trochę ponosi.

- Jak długo pracuje pan społecznie w tym schronisku? - spytał Emmett.

- Pomyślmy. Ile to już, Helen? Sześć? Osiem miesięcy?

- Chyba osiem. - Helen się uśmiechnęła. - Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. - Spojrzała na Emmetta. -Bob naprawdę podrezonował nasz program sportowy. Ruch jest tak ważny dla młodych ludzi. Pomaga im choć trochę wyładować frustrację i złość.

- To prawda. - Lydia wstała i z filiżanką w dłoni podeszła do wielkiego kalendarza, wiszącego na ścianie przy szafce.

Emmett wiedział, że nie zrobiła tego bez powodu.

- Wygląda na to, że macie tu w Fali bardzo napięty harmonogram - stwierdziła, przyglądając się małym kwadracikom przy niemal każdej dacie.

Helen promieniała.

- To głównie zasługa Boba.

Bob wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Proszę w to nie wierzyć. Robię, co mogę, ale to dzięki Helen schronisko nieprzerwanie funkcjonuje. A teraz proszę mi wybaczyć. Wpadłem tylko po klucze do mojego biura. Przepraszam, że przeszkodziłem.

- Nic się nie stało - powiedział Emmett.

Bob ruszył korytarzem do niewielkiego pomieszczenia biurowego, otworzył drzwi i zniknął za nimi. Lydia spojrzała na Emmetta.

- Masz jeszcze jakieś pytania, kochanie?

- Jedno. - Zamknął roczny raport i popatrzył na Helen. - Widzę, że wśród głównych darczyńców wymieniona jest Gildia.

- Owszem. I mogę państwu szczerze powiedzieć, że gdyby nie Gildia z Kadencji, która zaangażowała się w to w zeszłym roku, kiedy mieliśmy trudny finansowo okres, schronisko musiałoby zostać zamknięte. To, że ciągle istniejemy, zawdzięczamy wyłącznie nowej żonie Mercera Wyatta. To bardzo szlachetna, opiekuńcza dama.

- Ach tak? - odezwała się Lydia.

- Gdy zaglądaliśmy już prosto w oczy katastrofie finansowej, nowa żona pana Wyatta założyła Fundację Gildii z Kadencji. Byliśmy jedną z pierwszych organizacji charytatywnych, które otrzymały dotacje. Wsparcie Gildii to jak dar niebios.

- W porządku, przyjrzyjmy się temu - powiedziała Lydia dwadzieścia minut później, wsiadając do slidera od strony pasażera. - Co myślisz o zaangażowaniu Gildii w pomoc schronisku Poprzeczna Fala?

- Jeszcze nie wiem, co o tym myśleć - odparł Emmett. - Wciąż zbieram dane. Dziś rano dzwoniłem do mojego biura w Rezonansie. Ktoś robi tam dla mnie to, co tutaj zrobili administratorzy Fundacji Gildii w Kadencji.

- Sprawdza to schronisko?

- Tak. - Zjechał z krawężnika. - Powielanie wysiłków, wiem, ale nie mógłbym poprosić o raport Fundacji, nie prowokując pytań, na które jeszcze nie potrafię odpowiedzieć.

- A propos Fundacji Gildii, nie jest ci trochę trudno przełknąć, że Tamarę Wyatt interesuje działalność charytatywna?

- Nie. Tamara zawsze była zagorzałą zwolenniczką poprawy wizerunku Gildii.

- Uhm.

Uśmiechnął się lekko.

- Uważasz, że ten cel jest niemożliwy do osiągnięcia. Zdaję sobie z tego sprawę. Jednak wielu z nas sądzi, że Gildie mogą naprawdę stać się szanowanymi przez ludzi przedsiębiorstwami.

- Zanim się obejrzyysz, jakiś szef Gildii wystartuje w wyborach na burmistrza.

- Wróćmy do istotniejszego tematu - zaproponował Emmett.

- Chyba powinniśmy. - Zawahała się, zastanawiając się, jak daleko może się posunąć. Zdecydowała się iść na całość. - Porozmawiajmy szczerze, Emmett. Pomijając wszelkie sprawy osobiste. Sądzisz, że Tamara jest w to zamieszana?

Nie oderwał wzroku od wąskiej, zatłoczonej ulicy.

- Niewykluczone. Wyatt mówił mi, że zaczął planować odejście wkrótce po tym, jak pobrali się z Tamarą.

- To musiał być dla niej szok.

- Możemy chyba bezpiecznie założyć, że nie była tym zachwycona.

- Pewnie nią to wstrząsnęło - stwierdziła sucho Lydia. - Pomyśl tylko. Najpierw cię rzuca, kiedy się dowiaduje, że chcesz ustąpić z funkcji szefa Gildii w Rezonansie i że jeśli za ciebie wyjdzie, nie będzie panią szefową Gildii. Potem rozkochuje w sobie szefa Gildii z Kadencji i wychodzi za niego. Tyle że on wkrótce potem ogłasza, że również zamierza się wycofać. I co ta biedna dziewczyna ma począć?

- Dobrze pytanie - stwierdził Emmett. - Ale znając Tamarę, nie byłbym zaskoczony, gdyby już coś wykombinowała.

- Wciąż nie potrafię zrozumieć, co w niej takiego widziałeś.

- Zabawne. A ja, co ty widziałeś w Kelsie - odgryzł się Emmett. - Co robiłaś tam w schronisku, kiedy przyglądałaś się kalendarzowi na ścianie?

- Wydawało mi się, że wychwytiłam ślady energii rezonansu.

Zmarszczył brwi.

- Biuro jest tuż przy starych murach. Wszędzie tam przecieka zagubiona energia.

- Jeśli się nie mylę, to była energia pułapki iluzji -szepnęła cicho.

Ib go zaintrygowało.

- Jesteś pewna?

- Nie. Energia była bardzo słaba. - Wyrzała przez okno na wznoszące się nad nimi mury z zielonego kwarcu.

Przypomniał sobie o pułapce, którą odkryła w naczyniu z onirytem.

- Kiedy rozglądałaś się po biurze, zauważyłaś coś podejrzanego?

- Nie, nic. To musiał być jakiś zabłąkany wyciek. Prawdopodobnie przedostał się przez fundamenty i podłogę. Niektórzy eksperci, wśród nich Ryan, sądzą, że nie sporządziliśmy map nawet dwudziestu procent wszystkich katakumb tu w Kadencji, nie mówiąc już o oczyszczeniu ich z pułapek. Kilometrami ciągną się pod ziemią.

- Skoro wspominasz pana profesora, chyba powinniśmy się przekonać, czy uda nam się namierzyć jego klienta.

- To pewnie tylko jakiś prywatny kolekcjoner. Usłyszał plotki o onirycie, a to często się zdarza.

- A jak często prywatni kolekcjonerzy sprawdzają te plotki o onirycie, które dotyczą ciebie? Skrzywiła się.

- W porządku. To dla mnie jasne, o co ci chodzi. Kimkolwiek był człowiek, który skontaktował się z Ry-anem, wie, że nie tylko ja jestem w to zamieszana, ale również ty.

- Co oznacza, że to może być ktoś o wiele ważniejszy niż jakiś prywatny kolekcjoner, któremu obły się o uszy plotki.

- Racja. Mam pomysł, jak się dowiedzieć czegoś więcej o nowym kliencie Ryana.

- Jak?

- Dość długo pracowałam na uniwersytecie. Znam tam wielu ludzi. Niektórzy są mi winni przysługę. Gdy tylko wrócimy do mnie do domu, podzwonię tu i tam.

Emmett wszedł do kuchni i otworzył pudełko z pizzą, którą kupił po drodze. Słuchając Lydii - rozmawiała przez telefon - wyjął z kredensu dwa talerze.

- Nie, nie szpieguję Ryana. Na litość boską, Sid! Myślisz, że jestem zazdrosna, bo umawia się z Suzanne? Nie bądź śmieszny. To sprawa zawodowa.

Zapadło milczenie.

Emmett zdjął wieczko ze słoika z precelkami. Futrzak wtoczył się przez próg i spojrzał na niego szeroko otwartymi błękitnymi oczami.

- Dlaczego chcę wiedzieć, czy w tym tygodniu umówił się z kimś po pracy? Powiem ci dlaczego. Podejrzewam, że Kelso dobiera się do mojego klienta i próbuje mi go ukraść - oświadczyła.

Emmett dał Futrzakowi precelka.

- Nie, nie chcę, żebyś zrobił coś, za co zapłaciłbyś utratą pracy, Sid. Chcę się tylko dowiedzieć, czy w harmonogramie Ryana na ten tydzień coś wskazuje na poza-akademickie spotkanie.

Emmett wziął do rąk talerze z pizzą i oparł się o drzwi kuchni. Po drugiej stronie niewielkiego pokoiku Lydia siedziała wygodnie rozparta na sofie, ze stopami opartymi o stoliczek.

- Czy proszę cię o przysługę? Cóż, można tak powiedzieć. Masz rację. Jesteś mi coś winien. Gdybym tamtego popołudnia nie kryła ciebie i Lorraine... Ale chyba nie warto tego roztrząsać?

Znów zapadło milczenie. Lydia uśmiechnęła się szeroko i pokazała Emmettowi uniesiony do góry kciuk.

- Dzięki, Sid. Doceniam to. Naprawdę nie mogę sobie pozwolić na utratę nowego klienta. W porządku, nie Spiesz się. Będę pod tym numerem przez cały wieczór -zapewniła.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Emmetta.

- Misja zakończona sukcesem.

- A kto to taki ten Sid? - Emmett przeszedł przez pokój i usiadł na sofie. Postawił oba talerze na stoliku. -I dlaczego jest ci winien przysługę?

- Sid jest technikiem laboratoryjnym. - Sięgnęła po kawałek pizzy. - Rok temu on i Lorraine, sekretarka Ry-ana, mieli szalony, namiętny romans. Pewnego popołudnia trochę ich poniosło. Weszłam do gabinetu Ryana i zastałam ich na biurku.

- Przypuszczam, że nie czytali protokołu z ostatniego spotkania rady wydziału?

- Nie. Kryłam ich. Zatrzymałam Ryana w korytarzu jakimiś głupimi pytaniami, dopóki się nie ubrali, a Lorraine nie usiadła przy swoim biurku.

- Co by zrobił Kelso, gdyby odkrył, że pieprzą się na jego biurku?

- Pewnie zwolniłby oboje.

- Ma takiego hopla na punkcie właściwego zachowania w pracy?

Uśmiechnęła się powoli.

- Niezupełnie. Wtedy Ryan sam sypiał z Lorraine. Wszyscy o tym wiedzieli. Dostałby ataku furii, gdyby się dowiedział, że zdradza go z jakimś technikiem laboratoryjnym.

- A ja myślałam, że akademicy to tacy nieciekawi, stateczni ludzie. Zniszczyłaś moje złudzenia.

- Wszyscy mamy swoje wielkie chwile.

Żuł pizzę, rozmyślając nad szczegółami rozmowy, którą właśnie podsłuchał.

- Co do tej historyjki, którą opowiedziałaś swojemu przyjacielowi Sidowi...

Wciągnęła do ust długą nitkę roztopionego sera, zwisającą z jej kawałka pizzy.

- Że się martwię, że Ryan próbuje ukraść mi klienta?

- O ile pamiętam, twoje słowa dokładnie brzmiały tak: „Kelso dobiera się do mojego klienta i próbuje mi go ukraść”.

- No i?

- Chciałbym jedno wyjaśnić.
- Co?
- Zakładając, że mówiłaś o mnie, chciałbym cię zapewnić, że nie mam najmniejszej chęci, aby ktoś inny, poza tobą, się do mnie dobierał. Tak naprawdę, pragnę, abyś ty, wyłącznie ty, się do mnie dobierała. No, ewentualnie, ja do ciebie...

Zamarła z kęsem pizzy w ustach. Jej oczy się rozszerzyły. Potem głośno przełknęła.

- Uf...
- Wcześniej czy później będziemy musieli o tym porozmawiać, przecież wiesz.
- Co? O czym porozmawiać?
- O tobie. O mnie. O nas.
- Też coś. Jesteśmy tylko partnerami biznesowymi. Nikim więcej.
- A mnie się wydawało, że to mężczyznom ciężko jest rozmawiać o związkach. - Wzruszył ramionami. - To może poczekać, skoro tak chcesz. Ale nie możesz wiecznie unikać tego tematu.
- A chcesz się założyć? - Wyciągnęła rękę po kolejny kawałek pizzy.

Zadzwonił telefon. Upuściła pizzę na talerz i złapała słuchawkę.

- Tu Lydia. Taaa... Cześć, Sid. Co dla mnie masz?

Emmett patrzył, jak na jej inteligentnej twarzy pojawia się wyraz intensywnego skupienia, gdy słuchała kolegi. Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę z tego, jak niesamowicie seksownie wygląda, kiedy jest tak absolutnie skoncentrowana.

Zaczęła gwałtownie machać ręką - pewnie pokazywała, że potrzebne jej kartka i coś do pisania. I papier, i długopis leżały na końcu stolika, sięgnął więc po nie i podał je Lydii.

Lydia znieruchomiała, długopis zawisł nad kartką. Zmarszczyła brwi.

- To wszystko, Sid? Tak, tak. Wiem. Lepsze to niż nic. Lorraine nie domyśliła się, kto dzwonił?

Sid chyba niewiele jej przekazał. W każdym razie nic ważnego, bo Lydia odłożyła długopis.

- Jeśli dowiedziałeś się tak niewiele, to trudno. Zrób mi przysługę i nie wspominaj o tym nikomu w laboratorium, dobrze? Nadal nie straciłam nadziei, że odzyskam moją pracę. Co? Pewnie. Wybierzemy się na drinka kiedyś po pracy.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Emmetta. Na jej twarzy walczyły ze sobą triumf i frustracja.

- No i? - spytał.

- Sid mówi, że sprawdził u Lorraine. W terminarzu Ryana nie ma nic niezwykłego. Poinformowała go jednak, że wczoraj późnym popołudniem odebrała telefon w jego biurze. Dzwonił jakiś mężczyzna. Nie przedstawił się, powiedział tylko, że chce rozmawiać z Ryanem. Po tej rozmowie Ryan wydawał się bardzo podekscytowany. Pytał o mój nowy numer telefonu.

- Podziała mu go?

- Tak. Lorraine uznała, że musi chodzić o jakieś wyjątkowo gorące plotki, i podsłuchiwała Ryana, kiedy znów dzwonił do mnie. Ale mnie nie zastał w domu, a i on tylko wpadał do swojego gabinetu. Zajrzał tam raz czy dwa, żeby spytać, czy dzwoniłam. Kiedy mu odpowiadała, że nie, wydawał się niezłe wkurzony.

- Wkurzony, mówisz?

- Uhm. Często tak działałam na mężczyzn.

- Zapamiętam to sobie.

- W każdym razie - ciągnęła Lydia - kiedy Lorraine niemal wychodziła z biura, odebrała jeszcze jeden telefon do Ryana. Dzwonił ten sam mężczyzna, co dzień wcześniej. Rozpoznała jego głos. Już zamierzała mu powiedzieć, że Ryana nie ma, gdy ten wpadł jak burza do gabinetu...

- Tuż po spotkaniu z tobą u Shrimptona - dokończył Emmett.

- No właśnie. Zaintrygował ją taki obrót spraw, więc została w biurze, aby podsłuchiwać pod drzwiami Ryana, kiedy rozmawiał przez telefon. Słyszała, jak zgadza się spotkać z tym kimś dziś wieczorem, choć nie odpowiadało mu miejsce spotkania. Lorraine mówiła Sidowi, że Ryan protestował, ale koniec końców ustąpił.

Emmett zerknął na pusty papier.

- I pewnie Lorraine nie podsłuchiwała, gdzie się mają spotkać?

- Niestety nie. - Lydia wzięta długopis i, rozdrażniona, zaczęła stukać nim w kartkę. - Ale mam pomysł.

Emmett znów nałożył sobie kawałek pizzy.

- Chcesz się zająć w pobliżu mieszkania Kelso i dowiedzieć się, dokąd się dzisiaj wybiera?

Spojrzała na niego.

- Jak na to wpadłeś?

- Cóż, to wydaje się dość oczywiste. Uniosła brwi.

- Chyba myślimy o tym samym.
- Właśnie. To doskonały przykład na to, jak dwa tak wielkie umysły mogą ze sobą rezonować.

Rozdział 22

Około wpół do jedenastej Lydia spróbowała się przeciągnąć na przednim siedzeniu slidera.

- Jeśli zaraz coś się nie wydarzy, to zapukam do Ry-ana i spytam, czy mogę skorzystać z toalety.
- Próbowałem ci wyperswadować towarzyszenie mi dziś w nocy - odparł Emmett bez śladu współczucia.
- Tylko dlatego, że ty możesz sobie pójść w krzaki w parku... - Nagle urwała, bo drzwi domu Ryana się otworzyły. - O wilku mowa.

Pochyliła się naprzód, podekscytowana. Widziała Ryana bardzo wyraźnie w świetle ulicznych latarni. Szedł do swojego coastera zaparkowanego przy krawężniku.

- Tam idzie - szepnęła.

Nie musiała zniżać głosu. Byli dobrze ukryci w sli-derze stojącym pół przecznicy dalej w cieniu potężnego drzewa. Ryan nie mógł jej zobaczyć, a tym bardziej usłyszeć. Udzielił jej się jednak dramatyczny klimat śledzenia. Wybierał się na jakieś tajemnicze spotkanie, a ona podniecona tym, że go śledzi, zdała sobie sprawę, że jest tak samo nakręcona jak wtedy, gdy spleta pułapki iluzji.

- Widzę go - powiedział Emmett.

Napięcie w jego głosie zdradzało, że i on poczuł przyływ adrenaliny.

- Zastanawiam się, czy nie wybraliśmy sobie niewłaściwych zawodów - mruknęła. - Może powinniśmy być prywatnymi detektywami albo kimś takim?

Spojrzał na nią rozbawiony i zarezonował zapłon.

- Ta praca podobno wcale nie jest bardzo interesująca. Większość prywatnych detektywów spędza czas na zbieraniu dowodów cudzołóstwa, które mogą zostać wykorzystane w sprawach rozwodowych o rozwiązanie Małżeństwa Przymierza.

- Szkoda. Chyba nadal będę u Shrimptona. Emmett odczekał, aż Ryan zjedzie z krawężnika, po

czym wyprowadził slidera z cienia pod drzewem. Lydia wsłuchiwała się w cichy, głuchy jęk silnika i modliła się, żeby Ryan nie spojrzął w lusterko wsteczne.

Kelso jechał powoli i ostrożnie, tak jakby mu się nie spieszyło.

- Pewnie nie chce wyjaśniać swojemu klientowi, że nie udało mu się skłonić mnie do współpracy - stwierdziła Lydia. - Mam nadzieję, że dziś w nocy ten facet go zwolni. I dobrze mu tak.

- Wyczuwam ślady osobistej urazy, może nawet mściwości w twoim tonie - zauważył Emmett.

- Owszem.

Ryan spokojnie mijał szerokie uliczki dzielnicy uniwersyteckiej, pięknie utrzymane trawniki, domki i rezydencje o miłych dla oka, harmonijnych proporcjach, w końcu skręcił w lewo w stronę Starych Dzielnic.

- Proszę, proszę - powiedziała Lydia.

- Czuję to samo, co ty.

Parę minut później Ryan dojechał do Starych Dzielnic i sunął jeszcze wolniej labiryntem wąskich uliczek pod wschodnimi murami Wymarłego Miasta. W tej okolicy niektóre atrakcyjne dla turystów miejsca były całkiem niezłe oświetlone, jednak reszta tonęła w mroku.

Przecznice od głównej drogi małe kręte uliczki i alejki oświetlała jedynie słaba, drżąca poświata, sącząca się z okien tawern i klubów.

- Uważaj, tutaj łatwo go zgubić - ostrzegła Lydia. - Wielu z tych uliczek nawet nie ma na mapie miasta.

- Nie zgubię go - zapewnił Emmett.

W jego głosie pojawił się jakiś nowy ton. Napięcie pozostało, ale teraz było coś jeszcze. Jakby groźba. Lydia przypatrywała mu się ukradkiem. Choć w ciemności nie widziała jego twarzy, wyczuwała drapieżne wyczekiwanie.

Przeszył ją dreszcz. To energia wyciekająca z Wymarłego Miasta, pomyślała. Znajdowali się przecież bardzo blisko murów.

Wiedziała jedynie, że to, co czuje, nie ma nic wspólnego z zabłąkanymi w tej okolicy impulsami energii psi. Jej zmysły, podrezonowane, wibrowały w odpowiedzi na pierwotną moc rezonującą głęboko w Emmecie. Moc jednocześnie bardzo męską i bardzo niebezpieczną. To było tak, jakby przygotowywał się do walki wręcz. Bez sensu, pomyślała. Przecież przyjechali tu tylko po to, żeby obserwować spotkanie Ryana z jego klientem. Dlaczego Emmett promieniował tak intensywną energią?

Otworzyła usta, by zapytać go, czy coś jest nie tak, lecz w tej samej chwili dostrzegła, że samochód Ryana zjeżdża na bok i parkuje przy krawężniku. Wytężyła wzrok i dostrzegła słaby blask szyldu tawerny.

- O rany - mruknęła. - Chyba idzie do Zielonego Muru. Nic dziwnego, że próbował wyperswadować swojemu klientowi to miejsce spotkania.

- Ib nie jest jakiś ekskluzywny, modny lokal?

- Wręcz przeciwnie, najgorsza speluna. Zastanawiam się, z jakich nizin społecznych musi być klient Ry-ana. Kelso miał sporo tupetu, zarzucając ci, że jesteś członkiem Gildii, skoro jego klient umawia się na spotkanie w takiej dziurze jak Zielony Mur.

- Miło wiedzieć, że oceniasz mnie odrobinę lepiej -odparł spokojnie Emmett.

Jak to dobrze, że nie widać mnie w tym głębokim mroku, pomyślała, kiedy poczuła, że mocno się czerwieni.

Obserwowała, jak Ryan wysiada z coastera, starannie go zamyka, a potem nerwowo rozgląda się wokół.

- Nie podoba mu się tu - stwierdził Emmett, zatrzymując slidera przy krawężniku.

- I nic dziwnego.

Ryan ruszył chodnikiem w stronę tawerny Zielony Mur. Kilka razy się oglądał i zerkał na swój wóz.

- Boi się, że kiedy wróci, szyby będą stłuczone, a samochód okradziony - powiedziała Lydia. Pomyślała, że slider jest jeszcze bardziej łakomym kąskiem dla ulicznych złodziei niż coaster Ryana. - A jeśli ktoś obrabuje twoje auto, Emmett? Może powinniśmy zaparkować gdzie indziej?

- Nie martw się o slidera. - Wsiadł i zatrzęsął drzwiami. - Nie sądzę, żeby spadły na nas jakieś kłopoty.

Lydia bez przekonania wygramoliła się ze swego siedzenia i popatrzyła na Emmetta, stojącego po drugiej stronie wozu.

- To jedno z najgorszych miejsc w Starych Dzielnicach.

- Samochodowi nic się nie stanie. - Emmett obszedł przód auta i wziął ją pod ramię. - Jest ubezpieczony.

- Nawet jeśli, to kiedy wrócimy i przekonamy się, że slider został okradziony, utkniemy tutaj.

- Idąc, niespokojnie obejrzała się przez ramię, tak jak jeszcze przed chwilą Ryan.

Wychwyciła błysk zieleni.

Stanąła jak wryta, odwróciła się i wpatrzyła w zaparkowany samochód. Wokół tablicy rejestracyjnej slidera unosiła się bardzo słaba, lecz nie do pomylenia z niczym innym jaskrawozielona poświata.

Emmett też się zatrzymał i jakby od niechcenia zerknął na błyszczącą tablicę rejestracyjną.

- Mówiłem ci, jest ubezpieczony.

- O rany. No nieźle. Żaden włamywacz, który ma choć trochę oleju we łbie, nie tknie wozu łowcy duchów, na tyle silnego, by pozostawić przy nim małego ducha. Jak to zrobiłeś?

- To nic wielkiego. Jest tu mnóstwo zabłąkanej energii psi. Tak dużo, że mogłem jej trochę zakotwiczyć do samochodu.

Skoro Emmett potrafi przywołać choćby niewielkiego ducha i pozostawić go przy swoim samochodzie, gdy sam się od niego oddali, pomyślała, musi być o wiele potężniejszy, niż sądziłam. Nie żebym była szczególnie zaskoczona. Słabi łowcy duchów pewnie nie docierają na sam szczyt w hierarchii Gildii, ale mimo wszystko...

- Ho, ho! - mruknęła.

- No chodź. - Wziął ją znów pod ramię i odciągnął od lśniącej tablicy rejestracyjnej. Nie wolno nam zgubić Kelsa.

Później będzie mnóstwo czasu na zastanawianie się nad implikacjami współpracy z łowcą, który potrafi przywołać ducha, żeby pilnował jego samochodu w niebezpiecznej okolicy, stwierdziła. Skup się na anonimowym kliencie Ryana.

- Nie możemy wejść za Ryanem do tawerny - powiedziała. - Zobaczmy nas.

- I co z tego? Chcemy tylko ustalić tożsamość jego klienta. Kiedy już sprawdzimy, kto to taki, nie będzie miało znaczenia, czy Kelso nas zauważy.

Niby tak, logiczne. A jednak nadal czuła się nieswojo. Cóż, nie wypadało jej się spierać z Londonem. W końcu to ona wpadła na pomysł śledzenia Ryana.

Pozwoliła więc Emmettowi poprowadzić się przez mroczne, wypełnione synchronodem wnętrze Zielonego Muru. Natychmiast się zorientowała, że tej tawernie daleko jest do lokali takich jak Loża Surrealistyczna. Podczas gdy Loża miała swego rodzaju klimat wesołej obskurności, w Zielonym Murze po prostu ostro się piło.

Jej obawy, że Ryan ich zobaczy, szybko znikły. W miejscach takich jak to ludzie z reguły unikają kontaktu wzrokowego. Poza tym Ryan na pewno był najbardziej nerwowym spośród klientów, więc raczej nie zacząłby się rozglądać za jakąś znajomą twarzą.

Emmett znalazł niewielki boks w kącie sali; Lydia wśliznęła się w sam narożnik. Podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie. Emmett poprosił o dwa piwa.

Lydia nachyliła się do niego.

- Widzisz Ryana?
 - Jest przy barze. Sam.
 - Myślisz, że mógł nas zauważyć, kiedy weszliśmy?
 - Nie. Ma opuszczoną głowę i niańczy swoje piwo. Chyba nie chce rzucać się w oczy, zresztą tak jak my.
 - Hmm. A jeśli ten jego ważny klient go wystawił? -Ta możliwość ją rozbawiła. - Nie spodoba mu się to. Ryan jest przyzwyczajony do tego, żeby o niego zabiegano.
- Kilka minut później kelnerka przyniosła piwo. Lydia ostrożnie zerknęła w stronę baru i dostrzegła Kelsa; wyglądał tak, jakby pragnął stać się niewidzialny. Zdecydowanie nie bawi się za dobrze, pomyślała.
- Coś mi się zdaje, że ten klient jednak go wystawił -powiedział Emmett i się zamyślił. - Interesujące.

Tłum się przeredził i Lydia dojrzała barmana; szedł wzdłuż baru do miejsca, gdzie Ryan kulił się nad swoim piwem. Musiał mu coś powiedzieć, bo Ryan szybko uniósł głowę.

- Mamy problem. - Emmett już się poderwał. - Zostań tutaj. Cokolwiek by się działo, nie wracaj sama do samochodu. Rozumiesz?
- Nie mam najmniejszego zamiaru wychodzić stąd bez ciebie. Co jest? Dokąd idziesz?
- Barman właśnie podał Kelsowi jakiś liścik. Nie sądzę, że z podziękowaniami od tajemniczego klienta. Zaraz wrócę.

Ruszył w stronę baru. Lydia chwilę na niego czekała. Narastało w niej przecucie, że nadciąga potężna katastrofa. Emmett pakował się w kłopoty, bez dwóch zdań.

Odstawiła piwo, złapała torebkę i wysliznęła się z boksu. Zanurkowała w tłum, dopchała się do baru i stanęła przy nim dokładnie w takim momencie, by zdążyć jeszcze zobaczyć Ryana; zmierzał do ciemnego korytarza ze znakiem toalety. Emmett deptał mu po piętach. Sunął przez ciżbę jak rekin przez wodę.

Obaj zniknęli w ciemnym przejściu. Lydię ogarnęła panika. Działo się coś bardzo, bardzo złego.

Ściskając kurczowo torebkę, przepchnęła się przez grupkę ludzi stłoczonych przy barze. Synchronym był tutaj tak gęsty, że musiała pomachać ręką przed twarzą, żeby go rozwiać.

I zamarła. Zobaczyła przed sobą potężnego mężczyznę o dzikich, zapuchniętych oczach, tłustych włosach, w strasznie poplamionym moro i skórze łowcy duchów. Bił od niego tak intensywny smród alkoholu, że wstrzymała oddech.

- Witaj, ślicznotko. - Posłał jej coś, co bez wątpienia miało być diabelnie seksownym uśmiechem, a niestety bardziej przypominało pijacki grymas. - Jesteś tu sama, kochanie?

- Nie - odparła zimno. - Z kimś. Proszę, daj mi przejść.

- A kto to taki? - Mężczyzna zatoczył się lekko, rozglądając się w tłumie za jej plecami. - Pokaż mi go. Założę się, że go przekonam, aby pozwolił ci iść ze mną do domu.

- Wątpię. Zejdź mi z drogi.

- Nazywam się Durant. Jestem łowcą.

- Nie żartuj! - Spróbowała go wyminąć, ale jej się nie udało.

- Zabawiałaś się kiedyś z łowcą, ślicznotko? - Mrugnął do niej. - Jesteśmy ekstraspecjalni. Wiesz, o czym mówię?

- Dziwne, że właśnie o tym. Akurat tak się składa, że jestem tu dzisiaj z łowcą, który nie będzie zadowolony, jeśli się dowie, że próbujesz się do mnie przystawiać. A teraz spadaj.

- Nie martw się, ślicznotko. Zaproszę go na zaplecze i podsmażę mu mózg. Przez jakiś czas nie będzie miał wiele do powiedzenia.

- Gildia nie aprobuje pojedynków łowców - rzuciła lodowatym tonem.

- Eee tam. Nie lubi tylko, żeby to trafiało do gazet. - Durant wyciągnął potężną rękę. - Może napijemy się drinka? Kiedy pojawi się ten twój były chłopak, już ja się nim zajmę.

- Chcesz drinka, Durant? - Chwyciła kieliszek z tacy, którą niosła przechodząca obok kelnerka. - Masz! Ja stawiam.

Chlusnęła mu zawartością kieliszka prosto w oczy. Skrzywiła się, czując zapach taniej whisky Zielone Ruiny. Durant zawył przeraźliwie i zatoczył się, ocierając mokłą twarz.

- O cholera! - Parę razy zamrugał, a potem uśmiechnął się, zachwycony. - Zawsze chciałem mieć babeczkę z jajami.

Lydia przebiegła obok niego i zanurkowała w korytarz prowadzący do toalet.

- Hej! Wracaj, ślicznotko! - Durant chwiejnym krokiem ruszył za nią. - No nie uciekaj tak przede mną! Jesteś kobietą, której szukam, odkąd skończyłem trzynaście lat. Kocham cię, słoneczko!

Sytuacja z chwili na chwilę się pogarszała. Lydia zmarszczyła nos, gdy poczuła zapach toalety. Szła dalej naprzód, szukając tylnego wyjścia. Skręciła za róg i zobaczyła drzwi na

ulicę. Nigdzie ani śladu Ryana i Emmetta. Kątem oka dostrzegła jednak słabą zieloną poświatę sączącą się przez drzwi. Poświatę ducha.

Zły znak, pomyślała.

- No wracaj, ślicznotko! - wrzeszczał rozochocony Durant. - Chcę się z tobą ożenić. Chcę mieć z tobą dzieci, kochanie.

Wybiegła na obskurną uliczkę. W powietrzu aż trzeszczało od energii psi. Rozejrzała się, szukając źródła poświaty. Zamarła, gdy przy tylnej ścianie tawerny wypatrzyła oświetlonego dziwnym zielonym światłem Ryana. Zbliżało się do niego dwóch łowców. Każdy manipulował średniej wielkości duchem. Używali siły zielonej energii, żeby przyszpilić Ryana do muru. W jaskrawozielonym świetle jego twarz wyglądała jak maska przerażonego człowieka.

Lydia uświadomiła sobie, że łowcy na niego czekali. Zwabili go w pułapkę, a teraz wysłali do niego swoje duchy. Energia powoli, niezdarnie tańczyła w ciemnościach, co świadczyło o tym, że napastnicy byli młodzi i nie mieli doświadczenia w manipulowaniu nią.

Jednak ich zamiary były oczywiste. Chcieli usmażyć Ryana.

Lśniące kule energii dysonansu miały co najmniej pół metra średnicy. Spore duchy, biorąc pod uwagę, że młode koty-widma pracowały poza Wymarłym Miastem. Może i niezręczni, ci chłopcy byli jednak na pewno silnymi pararezonanami.

Osobno, każdy z duchów mógł tylko sprawić, że Ryan utraciłby przytomność i prawdopodobnie przez parę godzin cierpiałby na amnezję, oba razem mogły go zabić, a co najmniej usmażyć mu mózg i trwale go uszkodzić.

- O cholera! - Durant zachwiał się i zatrzymał przy Lydii. Zerknął w uliczkę.

- Co tu się, u diabła, dzieje? Mały pojedynek? Lydia zignorowała go, zbyt pochłonięta próbą namierzenia w ciemności Emmetta.

Najpierw zobaczyła ducha, którego przywołał. Nagle wybuchł zielony płomień i natychmiast przekształcił się w płachtę płonącej energii, większą niż dwa mniejsze duchy razem wzięte.

Emmett wyszedł z cienia murów Wymarłego Miasta, po drugiej stronie uliczki. Wokół niego noc drżała i pulsowała rezonującą energią. Duch, którego przywołał, płynął w kierunku dwóch łowców atakujących Ryana.

- O cholera! - powtórzył Durant, tym razem tonem podziwu graniczącego ze czcią. - Niesamowite! Ale wielki ten duch! A przecież nie znaleźliśmy się za murami. Ktokolwiek to jest, zaraz ich nieźle przysmaży.

Dwóch młodych łowców musiało wyczuć ogromnego NiZOED-a. Błyskawicznie się odwrócili.

- Co, do diabła?! - Jeden z łowców patrzył oszołomiony na zbliżającego się ducha. - Tam jest ten drugi! Dorwij go!

- Za silny. Zaraz nas usmaży.

- Damy sobie z nim radę!

Może i dadzą, pomyślała przerażona Lydia.

- Przestańcie! - krzyknęła. - Dzwonię na policję! To nielegalne.

Nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Dwa duchy, które jeszcze przed chwilą zbliżały się do Ryana, zawróciły, by przechwycić pole energetyczne przywołane przez Emmetta. Trzy połyskujące kule energii zderzyły się; posypał się deszcz zielonych iskier. Jaskrawozielone światło rozbłysło intensywnie, trzeszcząc złowróźnie w powietrzu.

Lydia zamknęła oczy, by nie oślepił jej błysk. Gdy otworzyła je sekundę później, obawiając się najgorszego, zobaczyła twarz Emmetta jakby wyrytą w ruchomej zielonej poświacie. Na pewno dosięgła go fala powrotna, wyglądało jednak na to, że nic mu się nie stało. Parł dalej naprzód. Jego duch też.

Dwa mniejsze duchy zgasły.

- Załatwił mojego! - wrzasnął przerażony drugi z napastników. Odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Kumpel mu nie odpowiedział. Już zniknął w ciemnościach nocy. Duch Emmetta również. Jednak inny, znacznie mniejszy, pojawił się nagle przed jednym z uciekających chłopaków.

- Niech mnie diabli! - w głosie Duranta brzmiał wyraźny podziw. - Od lat nie widziałem kogoś tak szybkiego. Zaskoczył tego małego sukinsyna.

Lydia wstrzymała oddech, gdy chłopak wpadł prosto w pole energii. Duch zniknął równie szybko, jak się pojawił, wiedziała jednak, że dosięgnął młodego łowcy. Dzieciak zeszytniał i osunął się na chodnik. Nie ruszał się.

Emmett zatrzymał się przy nim.

- Czy on... - Lydia podeszła do nich i się zatrzymała. - Emmett, co z nim?

- Tylko lekko oberwał zderezonowaną falą powrotną. Przez jakiś czas będzie nieprzytomny.

- Całe szczęście. - Spojrzała na Ryana; wciąż oszołomiony, stał przyciśnięty do ściany. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Emmett szybko przeszukuje kieszenie łowcy. - Co z nim zrobimy? - zagadnęła.

- Nic. - Emmett wyłowił z kieszeni chłopaka portfel i go otworzył. - Chcę tylko zobaczyć, kim jest.

- O cholera - zaklął Durant.

Emmett spojrział na niego znad otwartego portfela. Chyba dopiero teraz zauważył stojącego w otwartych drzwiach olbrzymia.

- Kto to? - spytał Lydię.

Spojrziała na Duranta gapiącego się z otwartymi ustami na Emmetta.

- To Durant. Twierdzi, że mnie kocha. Chce się ze mną ożenić i mieć ze mną dzieci.

- Naprawdę? - Łowca wbił wzrok w Duranta. Olbrzym przełknął ślinę i zamknął usta.

- Nie. Nie. To jakieś wielkie nieporozumienie. - Machnął ręką. - Przelotna znajomość i tyle.

- Wspominał, że chce bić się z tobą o moją rękę - dodała Lydia.

- Tak? - London ze stoickim spokojem go obserwował.

- Ona źle mnie zrozumiała - zaskomlał Durant. Zatoczył się w tył, niezdarnie odwrócił i zniknął w ciemnym korytarzu tawerny.

- Jest dokładnie tak, jak piszą we wszystkich czasopismach dla kobiet. W dzisiejszych czasach mężczyźni nie potrafią się poważnie zaangażować - oświadczyła Lydia.

Rozdział 23

R

an wyciągnął się na sofie w swoim salonie i popijał brandy z wielkiego kielicha, który trzymał we wciąż drżącej dłoni.

- Słuchaj, gdybym wiedział coś, co mogłoby ci się przydać, powiedziałbym ci. Ale prawda jest taka, że aż do dzisiejszego wieczoru wszystko uzgadnialiśmy przez telefon.

Nie tylko Kelso wciąż odczuwa skutki burzy duchów w ulicze, pomyślał Emmett. Ja również za użycie tak potężnych ilości energii psi, by uporać się z dwoma młodymi łowcami, musiałem zapłacić wysoką cenę. A w dodatku, byłem na tyle niezręczny, że dałem się złapać fali powrotnej.

Przerabiał już to wszystko. Wiedział, czego się spodziewać.

Niepokój go nie opuszczał, zmysły wciąż rezonowały, a w żyłach krążyła adrenalina. Przyjaciółka Lydii, Melanie, miała rację co do jednego aspektu fizjologii łowcy. Mimo pilnych spraw, z którymi należało się uporać tego wieczoru, był strasznie napalony. Choć panował nad sobą i wiedział, że ta nagła potrzeba wkrótce osłabnie, dałby wszystko, żeby być teraz z Lydią sam na sam.

Nie z jakąkolwiek kobietą. Z Lydią.

O rany! Wpakował się w niezłe kłopoty. Obserwował ją kątem oka, skręcając się z pożądania

i tęsknoty. Nie zwracała na to najmniejszej uwagi, zbyt zajęta przypieraniem do muru nieszczęsnego Ryana.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie podpisałeś ze swoim klientem formalnej umowy, Ryan? - jej głos aż ociekał wyniosłą dezaprobatą.

Triumfuje, pomyślał Emmett. Na zewnątrz udaje troskę i całkowicie normalne profesjonalne zdziwienie, ale w głębi zdecydowanie triumfuje. Kelso potwornie nawalił, a ona nie zamierza pozwolić mu o tym zapomnieć. I dobrze sukinsynowi.

W tej chwili mieli jednak pilniejsze sprawy.

- Ten facet wydawał się wiarygodny - próbował bronić się Ryan.

- To znaczy, że wspomniał o onirycie, a ty się cały nakręciłeś - odpaliła Lydia. - No powiedz, Ryan, co ty sobie wyobrażałeś? Oniryty? Daj spokój!

Ryan skulił się nad brandy. Sprawiał wrażenie pokonanego. Przynajmniej w tej chwili.

Lydia prychnęła i dalej dręczyła swoją ofiarę.

- A wszyscy myślą, że to mój mózg się usmażył. Napawa się tym, pomyślał Emmett. Ale wygląda przy tym cholernie seksownie.

Cholera, głupiec z niego. Nawet gdyby był z nią sam na sam w sypialni, i tak by go odtrąciła. Doszłaby do wniosku, że jego erekcję spowodowało wypalenie dużych ilości energii.

1 miałaaby rację, tyle że częściowo. Pragnął jej, i to coraz bardziej, lecz to, co czuł tej nocy, nie było zwyczajnym, krótkotrwałym, nieukierunkowanym pożądaniem seksualnym po zużyciu dużych ilości energii psi, ale czymś silniejszym, potężniejszym, skupionym tylko na niej. Nie chciał po prostu uprawiać seksu. Chciał uprawiać seks z Lydią.

Zastanawiał się, czy zrozumiałaby, jak istotna to różnica. On na pewno to rozumiał. Aż ugięły się pod nim kolana.

Wziął głęboki oddech i spróbował zapanować nad hormonami. Za jakąś godzinę znikną ostatnie efekty wypalenia energii, a wtedy zapomni o seksie z Lydią czy z kimkolwiek innym. Będzie marzył tylko o tym, żeby zasnąć. Potrzeba snu stanie się silniejsza niż chęć pójścia z kimś do łóżka. Ale na razie musiał to jakoś wytrzymać i skupić się na Ryanie.

Słuchając, jak Kelso opowiada o wydarzeniach tego wieczoru, przyglądał się grzbietom książek na regale. Wiele z tych tytułów widział na półkach u Lydii, i w jej mieszkaniu, i w biurze. Były tam osławiony Świt w Wymarłym Mieście Caldwell'a Frosta, Paraarcheologia. Teoria i praktyka Arrioli i kilka roczników „Dzienników Paraarcheologii”. Patrząc na książki

Lydii, chaotycznie upchnięte, miało się wrażenie, że je rzeczywiście przeczytała, tymczasem w bibliotece Kelsa panował rygorystyczny porządek.

Emmett odwrócił się powoli i rozejrzał po pokoju. Staromodne skórzane meble, rzeźbione dębowe biurko i ciemny dywan z misternym, harmonijnym wzorem, wszystko to krzyczało wielkimi literami: „Jestem ważnia-kiem z uniwersytetu!” Mieszkanie wyglądało tak, jakby przygotowano je do fotoreportażu o mieszkaniach profesorów w „Przeglądzie Architektury Harmonijskiej”. Co, u diabła, Lydia widziała w tym palancie?

Z trudem skupił się na najistotniejszym problemie. Spojrzał na Ryana. Kelso chyba mówił prawdę, przynajmniej taką, jaką znał. Wykończony, wciąż przerażony i w szoku, zdawał sobie sprawę, co tym razem mu groziło.

- Ktoś próbował cię zabić dziś w nocy - wyrębał bez ogródek Emmett. - A co najmniej tak cię przysmażyć, żebyś zapadł w krótkotrwałą śpiączkę. Ten twój tak zwany klient zwabił cię do Zielonego Muru. Dlatego musimy założyć, że to on chciał cię podsmażyć.

Ryan skrzywił się nad kieliszkiem brandy.

- Co sugerujesz?

- Że na pewno coś wiesz.

- Nie wiem - wyszeptał Ryan. - Przysięgam. Wiem tylko tyle, że facet do mnie zadzwonił. Twierdził, że jest kolekcjonerem, mówił tak, jakby się znał na sztuce. Powiedział, że słyszał plotkę o obrobionym onirycie i że ty przyjechałeś do miasta go szukać. No i że wynająłeś Ly-dię, żeby ci w tym pomogła.

- I to wszystko? - spytał Emmett.

- To wszystko. Nikt nie zamierza usmażyć człowieka tylko dlatego, że słyszał jakąś plotkę o onirycie. Cholera, opowiadano o nim niestworzone historie, odkąd go odkryto. To woda na młyn kolekcjonerów.

Emmett zaczął krążyć po pokoju, by pozbyć się resztek adrenaliny.

- Opowiedz mi dokładnie, co powiedział twój klient tego popołudnia, kiedy go poinformowałeś, że Lydia odmówiła współpracy z tobą.

Ryan wzruszył ramionami.

- Oświadczył, że chce pogadać o sposobach namierzenia oniryty. Zaproponował, żebym spotkał się z nim w tej tawernie o jedenastej. Kiedy tam dotarłem, barman dał mi karteczkę z informacją, że mój klient chce się ze mną spotkać w uliczce na tyłach knajpy.

- I nie wydało ci się to trochę podejrzane? - protekcjonalnym tonem spytała Lydia.

Ryan się skrzywił.

- Facet od początku dawał do zrozumienia, że bardzo mu zależy na dyskrecji. Pomyślałem, że po prostu nie chce, by go widziano w tym barze.

- Spotkanie w ciemnej uliczce w Starych Dzielnicach to rzeczywiście szczyt dyskrecji - mruknęła Lydia.

Ryan zacisnął zęby.

- No to nazwij mnie głupcem.

- Skoro nalegasz... - Ucieszyła się. Emmett jęknął.

- Chyba się świetnie bawicie, ale nie mamy czasu na docinki. Ryan, musisz wyjechać z miasta. Ostatni lot pasażerski do Rezonansu jest za niecałą godzinę.

- Co takiego? - Ryan nagle się wyprostował. Twarz mu poszarzała. - Nigdzie nie jadę.

- Owszem, jedziesz, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. - Emmett zerknął na zegarek. Złocistożółta tarcza była zamglona od potężnego wypalenia. Musi pamiętać, żeby ją jak najszybciej zastąpić świeżym, dostrojonym bursztynem. - Masz pięć minut, żeby się spakować. Potem zabierzemy cię na lotnisko.

- Ale...

- Ktoś wyjdzie ci na spotkanie na lotnisku w Rezonansie - ciągnął Emmett.

Ryan się irytował.

- Kto?

- Paru łowców z Gildii w Rezonansie.

- O nie! Wielkie dzięki. - Ryan walnął kieliszkiem w stół. - Bez obrazy, ale dziś w nocy nie zamierzam już poznawać kolejnych łowców.

- Ktokolwiek próbował cię dzisiaj usmażyć, spróbuje pewnie znowu. I to całkiem szybko. - Emmett nie dawał za wygraną: - Potrzebujesz ochroniarzy. W normalnych okolicznościach zadzwoniłbym do Mercera Wyatta i załatwiłbym ci ochronę tutaj w Kadencji, okoliczności nie są jednak normalne. Miejskowa Gildia ma problemy.

Lydia się skrzywiła.

- Można tak powiedzieć. Emmett ją zignorował.

- Jeśli nie wsiądziesz do tego samolotu, Kelso, będziesz musiał bez przerwy oglądać się przez ramię, dopóki to się nie skończy.

- A co z Lydią? Jeżeli coś mi grozi, to jej też. Emmett zerknął na Lydię.

- Nawet o tym nie myśl - syknęła. Znow spojrzał na Ryana.

- Ja się zajmę Lydią.

- Tak? A kto się zajmie tobą? Następnym razem mogą przysłać trzech łowców zamiast dwóch. I sobie nie poradzisz.

- Jestem w trochę lepszej sytuacji niż ty - odparł cicho Emmett. - Po pierwsze, znacznie trudniej mnie usmażyć. A po drugie, jeśli komuś się uda, będzie się musiał martwić o wiele bardziej, niż gdyby przysmażył ciebie.

- Co masz na myśli? - Ryan arogancko zadarł głowę. - Jestem profesorem zwyczajnym na uczelni. Szefem wydziału paraarcheologii, do cholery. Gdyby coś mi się stało, gliny natychmiast by w to wkroczyły.

Emmett uśmiechnął się ponuro.

- Może. Ale gdyby mi coś się stało, tu w Kadencji, to nie tylko policja by się tym zajęła. Mercer Wyatt musiałby wyjaśnić sytuację szefowi Gildii z Rezonansu. A to by mu się nie spodobało.

Lydia spojrzała na niego badawczo, lecz nic nie powiedziała.

Ryan zamrugał, oszołomiony. Potem w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

- A więc to sprawa Gildii.

- Tak.

- To komplikuje sytuację, prawda? - Ryan wstał, zrezygnowany. - Lepiej się spakuję. - Odwrócił się i niechętnie wyszedł do holu.

Lydia odczekała, aż zniknie, i znów spojrzała na Emmetta.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Wszystko w porządku. Muszę tylko wymienić bursztyn.

- Wymienić? - jej głos zdradzał troskę. - Stopiłeś bursztyn?

Wzruszył ramionami.

- To się czasem zdarza.

- Ludziom przeważnie nie - zauważyła ostro. - Mój Boże, Emmett, jeśli rzeczywiście zużyłeś tyle energii, żeby roz-rezonować własny bursztyn, musisz padać ze zmęczenia.

- Nic mi nie będzie. Przynajmniej przez jakiś czas. Wystarczająco długo, żebym zabrał Kelsa na lotnisko. - Potarł dłonią kark. - Ale kiedy wrócimy do ciebie, będę musiał się przespać.

- A jakże - powiedziała. - Co znalazłeś w portfelu tego młodego łowcy? Coś, co się nam przyda?

- Żadnych dowodów tożsamości.
 - O cholera. Miałam nadzieję, że go namierzemy.
 - Pewnie kazano mu zadbać o to, żeby nie miał przy sobie niczego, co pozwalałoby go namierzyć - odparł Emmett. - Ale to był młody chłopak. Bez dobrego wyszkolenia i nieprzyzwyczajony do tego, żeby myśleć do przodu. Popełnił drobny błąd.
 - Jaki?
 - Wyjął ze swojego portfela dowód, ale zapomniał o kluczu do szafki w siłowni. Zostawił go. Jeśli się nam poszczęści, nawet nie wpadnie mu do głowy, że ktoś o tym wie.
- Oczy Lydii błysnęły.
- A z jakiej siłowni korzysta?
 - Na kluczu wygrawerowano: „Schronisko Młodzieżowe Poprzeczna Fala”.

Godzinę później Lydia zaparkowała slidera pod kompleksem mieszkaniowym, zderezonowała klucz i spojrzała z wielką troską na Emmetta.

Wyciągnął się na siedzeniu pasażera, głowę oparł na zagłówku. Wciąż jej powtarzał, że nic mu nie jest, ale już mu nie wierzyła.

Gdy tylko umieścili Ryana na pokładzie ostatniego samolotu do Rezonansu, Emmett gdzieś zadzwonił, by się upewnić, że ktoś wyjdzie po niego. Rozmawiał kilka minut, a potem się rozłączył. Lydia stała przed budką telefoniczną i nie słyszała szczegółów tej rozmowy.

Kiedy do niej podszedł, zbyt się o niego martwiła, by męczyć go jeszcze pytaniami. Widziała, że ledwo trzyma się na nogach. Gdy wzięła go pod ramię w drodze z terminalu, nie protestował. Po chwili zaczął się na niej ciężko

opierać. Poprosiła o kluczyki do slidera, żeby zawieźć ich do domu. Nie oponował.

- Emmett? - Położyła dłoń na jego ramieniu i lekko nim potrząsnęła. - Obudź się, jesteśmy na miejscu.

Poruszył się, ale wyglądał na zdezorientowanego.

- Muszę się przespać.

Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do kogoś i nie zapytać, co zrobić z łowcą z syndromem postopiennym. Niestety nie знаła nikogo, kto by jej coś poradził. Stopienie bursztynu zdarzało się bardzo rzadko, głównie dlatego, że niewielu ludzi miało na tyle silne zdolności psi, aby do tego doprowadzić. Natomiast ci, którzy to potrafili, pewnie niewiele mówili o tym, co działo się później, zwłaszcza jeśli byli to łowcy-macho; oni nie lubili się przyznawać do jakichkolwiek słabości.

„Stopienie bursztynu" - to tylko takie określenie. W rzeczywistości nie topił się pod dużym wpływem energii psi, lecz stawał się „zamglony". Tracił dostrojenie, które umożliwiało dobrą koncentrację.

Lydia ujęła w dłonie twarz Emmetta i zmusiła go, żeby na nią spojrział.

- Posłuchaj. Potrzebujesz lekarza?

Pokręcił głową, rozdrażniony, może nawet zde gustowany.

- Potrzebuję snu - jego głos zabrzmiał ostro. Poruszył ręką. Domyśliła się, że po omacku szukał

klamki.

- Poczekaj. - Otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. - Przejdę na twoją stronę i ci pomogę.

Zanim to zrobiła, Emmettowi udało się już otworzyć drzwi, ale wyraźnie nie miał siły zwlec się z siedzenia.

- Chyba prześpię się tutaj - szepnął.

- Chcesz spędzić noc w samochodzie? W tej okolicy? Nie żartuj. To niebezpieczne.

- Nie dam rady wejść po tych cholernych schodach.

- Zaczekaj tutaj. Sprowadzę Zane'a i Olinę. Zabierzemy cię na górę.

Nie protestował, kosztowałoby go to zbyt wiele wysiłku. Lydia ruszyła szybko do klatki schodowej; wbiegła na trzecie piętro, przeskakując po dwa stopnie. Nim dotarła do 3A, zabrakło jej tchu.

Zapukała. Otworzył Zane. W piżamie. Z pokoju za nim płynęła poświata rezowizora.

- Nie powinieneś być w łóżku? - zapytała. - Za późno już na oglądanie rezowizji.

- Byłem. Śpię w salonie, zapomniałaś?

To nie był odpowiedni moment, żeby go strofować.

- Potrzebuję pomocy, Zane. Zaniepokoił się.

- Co się dzieje? Chodzi o Futrzaka? Znów jakiś duch?

- Nie. Chodzi o Emmetta. Wdał się dziś w nocy w awanturę z łowcami duchów. Stopił bursztyn i zupełnie opadł z sił. Sama nie dam rady wprowadzić go po schodach. Olinda jest w domu?

- Stopił bursztyn? - Oczywiście Zane'a się rozszerzyły. -O cholera!

Potężna postać Olindy w przetartym szlafroku zamajaczyła w holu.

- Musi być z niego diabelnie dobry łowca. Gdzie on jest?

- Na dole. W samochodzie. Możecie mi pomóc?
 - No pewnie. Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć. - Zane wypadł z mieszkania i popędził w stronę schodów.
- Olinda ruszyła za nim wolniej. Zamknęła drzwi i dołączyła do Lydii na korytarzu.
- Słyszałam, że jak ktoś stopi bursztyn, musi potem kilka godzin odpoczywać.
- Lydia szybko podeszła do schodów.
- Co chwila powtarza, że potrzebuje snu.
 - Wygląda na to, że przez jakiś czas nie będziesz miała z niego pożytku - Olinda puściła do niej oko. - Może powinnaś sobie wybrać kogoś nie tak silnego jak London? Słyszałam, że efekty rozgrzania bursztynu są u łowców dość interesujące.

Rozdział 24

Ukryta komnata promieniowała rezonującą zieloną poświatą. Dziwne cienie pojawiały się na ścianach i znikwały. Wyczuwała, że niektóre z nich to drzwi, ale za każdym razem, gdy próbowała się zbliżyć do przesuwającej się plamy ciemności, ona się rozplýwała, zanim udało jej się przez nią przejść.

Paniczny lęk ścisnął jej gardło. Wiedziała, że nie może pozwolić, by nad nią zapanował. Musi być jakieś wyjście z tej komnaty.

Ostrożnie zbliżyła się do czegoś, co wydawało się jeszcze jednym ciemnym otworem w ścianie z zielonego kwarcu. Wyciągnęła rękę, niemal pewna, że to przejście również zniknie, tak jak poprzednie.

Jednak zamiast ściany jej palce dotknęły powietrza. Wstrzymując oddech, przeszła przez drzwi do przedsionka.

Wyczuła energię iluzji i się zatrzymała. Przeszukała głębokie cienie. Nic nie odkryła, ale wiedziała, że pułapka jest gdzieś tutaj.

Potem ujrzała mały kuferek z onirytu. Powoli ruszyła w jego stronę, wyciągnęła rękę, uniosła wieko i w środku zobaczyła zdjęcie. Z fotografii szeroko uśmiechał się do niej Chester.

Lydia wzdrygnęła się i obudziła. Leżał na niej Futrzak, przednimi łapkami oparty o jej pierś. Obie pary jego oczu były otwarte.

- Co się dzieje? - szepnęła.

Rozejrzała się niespokojnie po małym salonie; szukała cieni. Ale wszystko wydawało się w porządku, przynajmniej na tyle, na ile coś może być w porządku, gdy na twojej sofie śpi łowca duchów.

Emmett, z odwróconą głową, leżał rozciągnięty na poduszkach, wciąż pogrążony w głębokim śnie.

Futrzak zdjął łapki z jej piersi, zamknął oczy do polowania i zwinął się w kłębek. Zamknął też oczy do światła dziennego. A to znaczyło, że rzeczywiście wszystko jest w porządku.

Zamyślona, pogłaskała jego puszyste, szare futerko. Pewnie go przestraszyła, gdy śniła ten niespokojny sen. Prawdopodobnie zadrzała albo coś wymamrotała.

Wzięła Futrzaka na ręce i ułożyła go wygodnie w wielkim fotelu. Nie otworzył oczu, tylko poruszył się i w niego wtulił.

Wstała i podreptała do sofy. Podciągnęła wyżej koc okrywający Emmetta. Nawet nie drgnął. Podeszła do okna, włożyła szlafrok i spojrzała na widoczny stąd miniaturowy skrawek Wymarłego Miasta. Obrazy ze snu przemykały jej przez głowę.

Po chwili odwróciła się i ruszyła do holu prowadzącego do jej sypialni. Tym razem w porę przypomniała sobie o stoliczku i ominęła go.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, podeszła do toaletki i spojrzała na zdjęcie, które tam zostawiła. Padało na nie światło z na wpół otwartych drzwi łazienki. Zobaczyła Chestera - uśmiechał się do niej szeroko, dokładnie tak, jak w tamtym śnie. Popatrzyła na „Dzienniki Para-archeologii” w jego ręce. Był taki dumny, że wymieniono go jako konsultanta.

Wróciła do salonu i znów zapadła się w głęboki fotel.

Wyciągnęła nogi, oparła stopy w pantoflach na tabo-reciku i szczelnie owinęła się szlafrokiem.

Długo po prostu tak siedziała, i, zamyślona, wpatrywała się w noc.

Emmett obudził się, zdezorientowany. Fałą powróciły wspomnienia walki z łowcami w uliczce. Uniósł rękę, otworzył oczy i spojrzał na tarczę zegarka. Pięta nad ranem. A więc po stopieniu bursztynu trzy godziny spał głębokim snem. Krótki wypoczynek, ale wystarczający, by jego organizm odzyskał siły po ogromnej utracie energii psi.

Wyczuł czyjąś obecność w małym pokoju i odwrócił głowę. Lydia, owinięta szlafrokiem, siedziała skulona w dużym fotelu przy oknie. Znad jej łokcia błysnęły na niego niebieskie oczy.

Odsunął na bok kołdrę i ostrożnie usiadł. Spojrzał w dół. Zobaczył, że ktoś, pewnie Lydia, zdjął mu koszulę. Myśl, że go rozbierała, wydała mu się intrygująca. Po chwili zauważył, że

wciąż ma na sobie spodnie. Albo nie dała rady ich ściągnąć, albo nie miała na to ochoty. Może po prostu była bardzo zdenerwowana? - pocieszał się.

Wstał. Koc zsunął się z niego. Nie pamiętał, żeby sam się nim przykrył. Ruszył korytarzem do łazienki - tam zawsze paliło się światło. Odkręcił kran i pochylił się nad umywalką, by opłukać twarz zimną wodą. Zobaczył swoje odbicie w lustrze i się skrzywił.

Wszedł do salonu. Lydia się nie poruszyła, ale Futrzak zniknął. Emmett zajrzał do kuchni i dostrzegł go na blacie, tuż przy słoiku z precelkami. Chyba się do nich doberze bez niczyjej pomocy.

Wrócił na sofę, usiadł wśród porzucanych poduszek i oparł łokcie na udach. Splótł palce i popatrzył na Lydię. Dlaczego, u diabła, śpi w fotelu? Uznała, że musi go pilnować? A może się bała, że mu odbije po stopieniu bursztynu? Kolejne drobne dziwactwo łowców? Czyżby martwiła się, że zdemoluje jej mieszkanie?

Zauważył, że nie śpi, lecz go obserwuje.

- Jak się czujesz? - odezwała się cichym, ochryłym głosem.

- Prawie dobrze.

- Trochę mnie przestraszyłeś wczoraj wieczorem - powiedziała. - Jeszcze nigdy nie widziałam łowcy duchów w takim stanie.

Przesunął dłonią po twarzy. Poczł szorstki, jednodniowy zarost. Musi się ogolić. I to zaraz.

- Szczerze mówiąc, staram się tego unikać - odparł.

- Wyobrażam sobie. Wciąż nie wyglądasz najlepiej. Może powinieneś jeszcze sobie pospać?

- Nic mi nie jest, do cholery.

- Nie musisz się na mnie wściekać. To nie moja wina, że sprawiasz wrażenie, jakbyś w nocy wdał się w jakąś burdę na tyłach podejrzonej speluny.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zmienił zdanie.

- Czemu śpisz w tym fotelu?

- Chciałam cię mieć na oku. Zane i Olinda uważali, że nic ci nie będzie. Ja miałam wątpliwości.

- Cholera. Wiesz, nie jestem inwalidą. Syndrom po-stopienny niemal zawsze występuje wtedy, kiedy zużyło się tyle energii, ile ja wczoraj w nocy.

Ziewnęła.

- A jakże.

To nie szło w dobrym kierunku. Znów się zirytował, jak to przy Lydii. Spróbował skupić myśli na czymś innym.

- Dzięki, że mnie tu przytaszczyłaś - wymamrotał. - Miałaś rację. Spędzić noc na parkingu to chyba nie był najlepszy pomysł.

- Co tam, Zane i Olinda mi pomogli.

- Mhm... - Niejasno przypomniało mu się, jak go ciągnęli przez pięć pięter. Musiał wyglądać jak inwalida, bez dwóch zdań. Nic dziwnego, że spała w fotelu. Pewnie myślała, że potrzebna mu pielęgniarka.

- Szkoda, że winda nie działa. Świetnie. Teraz zaczął narzekać.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. Drifffieldowi jeszcze kiedyś się za to dostanie. - Ciaśniej owinęła się szlafrokiem pod szyją i wstała. - Cóż, skoro i tak nie wygląda na to, żeby któreś z nas miało zasnąć, wezmę prysznic i się ubiorę.

Podniósł się dokładnie w tej samej chwili co ona i zablokował drzwi, by nie mogła przejść.

Zatrzymała się tuż przed nim i spojrzała mu w twarz.

- Jesteś pewien, że wszystko z tobą w porządku? - spytała.

- Nie. Nie jestem. - Ujął jej twarz w dłonie. - Ale nie oszaleję i nie zdemoluję ci mieszkania.

- Nigdy nie myślałam, że zrobiłbyś coś takiego.

- Owszem, myślałaś. Nie umiałaś tego ukryć. Od samego początku byłeś przy mnie nerwowa. A za każdym razem, kiedy wychodzi na jaw jakieś drobne dziwactwo związane z fizjologią łowcy, wymiękasz. Tak jak ubiegłej nocy, prawda?

- No nie! - Wpatrywała się w niego, czując, że narasta w niej wściekłość. - Jesteś zły, bo spędziłam tutaj noc, że nad tobą czuwałam?

- Nie jestem zły - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Ale wkurzony jak diabli. Cholera. Nie oszalałem. Nie odbije mi i nie zdemoluję ci salonu. Nie musiałaś nade mną czuwać, jak nad jakąś nieprzewidywalną dziką bestią.

Poczuł, że ogarnia ją wściekłość, i nagle jej rysy złagodniały.

- Nie denerwuj się. Wyluzuj. Nie odzyskałeś jeszcze pełnej równowagi. Może weźmiesz prysznic? A ja tymczasem przygotuję ci dobrą, gorącą rezoherbatę.

Próbowała go uspokoić, tymczasem stracił panowanie nad sobą.

- Nie chcę żadnej choleryjnej herbaty. Jej łagodna troska znikła bez śladu.

- Czemu jesteś dziś rano taki rozdrażniony? Wczoraj w nocy martwiłam się o ciebie! Przestraszyłeś mnie na śmierć, kiedy straciłeś przytomność na mojej sofie.

- Nie straciłem przytomności. Zasnąłem. To wielka różnica.

- Straciłeś przytomność.

- Zasnąłem. Ale wiesz co?

- Co?

- Teraz całkiem się rozbudziłem. - Przyciągnął ją do siebie i mocno przywarł ustami do jej ust.

Przez chwilę myślał, że Lydia się rozzłości. Głośno wciągnęła powietrze i zacisnęła palce na jego ramieniu.

A potem odwzajemniła pocałunek. Gorąco. Wszystko w nim osiągnęło najwyższy poziom rezonansu. Poczul palącą żądzę. I że jej ciało reaguje na niego. Objęła go.

Zdecydowanie nadajemy na tej samej częstotliwości, pomyślał. Ale jak dysonans ich wzajemnej wrogości tak nagle zmienił się w niemal gwałtowny seksualny rezonans? Nie miał teraz czasu, żeby to analizować.

Rozchylił jej szlafrok. Próbowala rozpiąć mu spodnie. Udało się. Poczul, jak tonie w jej spragnionych ramionach, i głośno jęknął. Gdy jej palce zacisnęły się na nim, omal nie krzyknął.

Odwrócił się lekko, pociągając ją z sobą, i niemal zapadł się w wielkim, miękkim fotelu. Potoczyła się za nim, ciepła, miękka i pachnąca pożądaniem. Jej szlafrok zatrzepotał, gdy siadła na nim i objęła go udami.

Wyciągnął rękę i odnalazł gorące, wilgotne miejsce między jej udami. Westchnęła, gdy wsunął w nie palce. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy zaczął pieścić jej łechtaczkę. Odchyliła do tyłu głowę. Włosy rozsypały się jej na plecach.

Chwycił cudowne krągłości jej pośladków, pchnął i wszedł głęboko w jej ciepłe ciało.

- Emmett.

Poczul, jak jej palce wbijają mu się w ramiona, i pchnął głębiej. Zaczęła się poruszać, podniecona. Szybko, pożądliwie. Odnalazł nabrzmiałą łechtaczkę i przycisnął do niej palec.

- Tak... - Jej ciepły oddech musnął mu ucho. - Tak.

Pchnął znowu, zapominając o wszystkim, wiedziony tylko palącą potrzebą spełnienia. Poczul, jak jej ciało drży i zaciska się na jego penisie. Zrodził się rezonans tak nieodparty, jak przyciąganie grawitacyjne.

Zapłonął w nim orgazm gorętszy od stopionego bursztynu. Wyrzucił z siebie wszystko, do ostatniej kropli, i po raz drugi tej nocy padł z wyczerpania.

Ocknął się długą chwilę później. Lydia, spocona, wciąż siedziała na nim z twarzą przytuloną do jego szyi. Czul na jej skórze swój własny zapach. Zaborczo objął palcami jej uda.

- Chciałam jeszcze raz powtórzyć moją główną kwestię - wymamrotała.

- Jaką? Chyba nie pamiętam.

- Nie spałam tutaj dlatego, że myślałam, że oszalejesz i zdemolujesz mi salon.
- Na pewno?
- Na pewno... - Przerwała. - Ale jeśli tego naprawdę chcesz, to się nie krępuj.
- Dzięki. Może innym razem.
- Nieważne. - Uniosła głowę i spojrzała na niego, zarumieniona. Jej usta i oczy uśmiechały się łagodnie.

Znów poczuł budzącą się w ciele żądzę. Zacisnął dłonie na jej udach.

- Zastanowiłem się; chyba jednak oszaleję i zdemoluję ci mieszkanie.

Wstawił wodę na rezoherbatę, podczas gdy Lydia kroїła na plasterki łśniące pomarańcze i układała je w dwóch miseczkach. Zauważył, że czuje się już o wiele zbyt swobodnie w jej ciasnym mieszkaniu.

Musi wymyślić jakąś wymówkę, by dalej się tu kręcić, kiedy już uprzątnie cały ten bałagan z Quinnem. Nie potrafił nazwać tego, co się działo między nim a Lydią, ale cokolwiek to było, nie chciał tego tak zostawiać.

- I co teraz zrobimy? - spytała, siadając obok niego przy kuchennym blacie.

Poczuł przypływ optymizmu. Najwyraźniej tego ranka nadawali na tej samej fali. Życie było piękne.

- Zabawne, że o to pytasz. Właśnie się zastanawiałem.
- Ja też. - Wsunęła do ust plasterki pomarańczy. - Wszystko wskazuje na schronisko Fundacji Gildii, prawda?
- Zgadza się. -1 to tyle z nadawania na tej samej fali. Emmett stłumił nieśmiały przebłysk optymizmu i spróbował się skupić.
- Gildia z Kadencji zaczęła finansować schronisko na początku tego roku. - Lydia spojrzała na niego, ocierając z ust sok. -1 wiemy, że to Tamara Wyatt stała się siłą napędową tej nowej świadomości obywatelskiej w Gildii. Mercer Wyatt uważa, że w jego otoczeniu jest zdrajca. Może nawet jeszcze bliżej, niż sądzi?
- Wiem, do czego zmierzasz, ale to nie ma sensu.
- Emmett, rozumiem, że coś łączyło cię z Tamarą. Kochałeś ją. Niewykluczone, że nadal kochasz...
- Nie.
- Wypieranie uczuć to nie jest dobry sposób, żeby sobie poradzić z taką sytuacją.
- Nie wypieram żadnych uczuć. Mówię ci, że nie zależy mi już na Tamarze.

- No dobrze. Rzuciła cię dla innego faceta. Na pewno nie jest to dla ciebie obojętne.
- Możemy trzymać się tematu? - spytał spokojnie.

Wyglądała, jakby chciała się z nim spierać, ale musiała zobaczyć coś w jego twarzy, bo zmieniła zdanie. Od-kaszlnęła.

- Jasne. W porządku - odparła swobodnie. - Chyba rozważaliśmy możliwość, że Tamara jest zamieszana w to, co się dzieje w tym schronisku.

- Nie sądzę - powiedział Emmett. Posłała mu wściekle spojrzenie.

- Dlaczego tak się upierasz, że jest niewinna? Doszliśmy przecież do wniosku, że wszystko, co się wydarzyło, było ze sobą powiązane. Oniryta Chestera, jego śmierć, zaginięci młodzi ludzie i zabójstwo Greeleya.

- Wiem.

- I wspólnym mianownikiem jest schronisko.

- Lydio...

- Nie możesz ignorować faktu, że to, co się wydarzyło, wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Po ślubie Tamary z Wyattem. Gdy już tak pokierowała Gildią, by założyć fundację charytatywną i zacząć finansować Poprzeczną Falę. Wszystko wskazuje na Tamarę, musisz przyznać.

Nie mógł zaprzeczyć tej logice. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, starając się znaleźć słowa, które wyraziłyby to, co do tej pory było jedynie instynktowną reakcją na fakty.

- Zgadzam się z tobą, że cokolwiek dzieje się w tym schronisku, ma pewnie związek z onirytem - powiedział w końcu.

- No i?

- Pomyśl. Oniryta jest prawdopodobnie niezwykle cenny jako znalezisko archeologiczne, jak również przedmiot na rynku prywatnych kolekcjonerów.

- Właśnie. Ktokolwiek go dostanie w swoje ręce, może go wykorzystać, by błyskawicznie wyrobić sobie doskonałą reputację w świecie akademickim. Ale to mu się uda, tylko jeśli przekaże go do muzeum.

- Jeśli ktoś niezwiązany z uniwersytetem chciałby wykorzystać odkrycie onirytu, by zdobyć sławę, musiałby je upublicznić, czyli organizować konferencje prasowe. Udzielać wywiadów.

- Hm.

- Z drugiej strony, jeżeli odkrywca chciałby zbić na oniryte olbrzymią fortunę, miałby dobre powody, by trzymać to w tajemnicy, póki nie będzie go mógł sprzedać na prywatnym rynku. Zwłaszcza jeśli prace wykopaliskowe przeprowadził nielegalnie.

- To chyba oczywiste, że ktoś próbuje trzymać takie odkrycie w tajemnicy i że wykopaliska przeprowadził nielegalnie. I co z tego? W jaki sposób uniewinnia to Tamarę?

- Fakty wskazują na kogoś, kto nie chce rozgłosu -stwierdził Emmett. - Gdyby była w to zamieszana Tamara, rozgłos interesowałby ją znacznie bardziej niż pieniądze.

- Hmm - mruknęła znów Lydia.

- Jako żona Mercera Wyatta dysponuje znacznie większymi pieniędzmi, niż mogłaby kiedykolwiek zapragnąć.

- Niektórzy nigdy nie mają dość.

- Tamara pragnie statusu społecznego i władzy, jaka się z nim wiąże - tłumaczył cierpliwie. - Chce się otaczać właściwymi ludźmi. Chce siedzieć w zarządach fundacji charytatywnych, prowadzić kwesty na rzecz sztuki, być zapraszana do domów tych, którzy trzęsą miejscową społecznością. Wierz mi, gdyby dostała w swoje ręce oniryta, chciałaby to upublicznić, i to w wielkim stylu.

Lydia postukała łyżeczką w krawędź swojej miski z pomarańczami.

- Cóż, znasz ją lepiej niż ja.

- Tak. - Wyjął z szafki płatki śniadaniowe i sobie nasypał. - Znam ją lepiej.

Posłała mu szybkie, nieprzeniknione spojrzenie, ale nie drażyła tematu jego związku z Tamarą.

- W porządku, wykluczamy Tamarę na podstawie twojego przeczucia, że jej motywacja nie pasuje do tego scenariusza, który sobie wyobrażamy. I nie wygląda też na to, by Ryan był w to bezpośrednio zamieszany.

- Jednak ktoś próbował go wykorzystać, by dowiedzieć się, co wiesz o zaginionym kawałku oniryta - zauważył Emmett. - Ktokolwiek się za tym kryje, zdaje sobie sprawę, że wkrótce odkryjemy prawdę.

Lydia odłożyła łyżeczkę.

- Wczoraj w nocy sporo myślałam. Między innymi przyszło mi do głowy, że ktokolwiek zwabił Ryana do Zielonego Muru, mógł chcieć czegoś innego niż po prostu się go pozbyć.

Chrząknął i skupił się na jedzeniu płatków.

- Emmett?

- Tak?

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Oczywiście, że słyszałem.

- Ubiegłej nocy bardzo chciałeś udowodnić Ryanowi, że chronią cię koneksje z Gildią.

- Mhm.

- Gdybyś jednak zginął w tej uliczce, władze Gildii w Kadencji mogłyby uznać, że ta tragedia wydarzyła się dlatego, że ruszyłeś z pomocą ofierze napadu. Ot, znalazłeś się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Wszystkim jest przykro, ale to niczyja wina.

- Wyatt i tak musiałby wytłumaczyć Gildii w Rezonansie, dlaczego napadu dokonali dwaj łowcy.

- O to właśnie chodzi. Ci chłopcy prawdopodobnie nie należą do Gildii. Sam mówiłeś, że są niewyszkoleni. A gdyby zostali złapani, Mercer Wyatt mógłby zrzucić z siebie wszelką odpowiedzialność.

Wzruszył ramionami.

- To nie znaczy, że Gildia w Rezonansie nie rozpętałaaby piekła. Młodzi, silni pararezonery energii dysonansu, tacy jak ci dwaj, powinni być pod jej kontrolą.

- No to Gildia z Rezonansu narobiłaby hałasu. Wielkie rzeczy! Wyatt obiecałby, że przeprowadzi śledztwo i znajdzie napastników. I na tym by się skończyło.

Uśmiechnął się smutno.

- Uwierz mi, Lydio. Polityka Gildii nie jest tak prosta.

- Specjalnie udajesz, że nie wiesz, o co mi chodzi - oświadczyła bardzo spokojnie. - Myślę, że wczoraj ktoś liczył na to, że pójdziesz za Ryanem.

Podniósł swoją rezoherbatę.

- Sugerujesz, że ktoś próbował mnie wczoraj wystawić?

- Tak.

Przełknął łyk herbaty i nic nie odpowiedział. Nie miał nic do powiedzenia. Właściwie był pewien, że się nie myliła. Wiedział o tym od chwili, gdy wybiegł za Ryanem w uliczkę.

- No i? - naciskała.

- Potrafię sam o siebie zadbać, Lydio.

- Cholera, wiedziałam! Ktoś cię wystawił. Poderwała się ze stołka tak szybko, że trąciła łokciem

filizankę rezoherbaty i ją przewróciła. Nie zwracając na to najmniejszej uwagi, chwyciła go za T-shirt.

- Spokojnie, kochanie - wyszeptał łagodnie.

- Mam rację, prawda? Wczoraj wieczorem ktoś próbował cię zabić.

- Wszystko jest w porządku.

- Nie! Nic nie jest w porządku. Uświadamiam ci, gdybyś tego nie zauważył, że wpakowaliśmy się w niezłe

kłopoty. Musimy coś zrobić. Może skontaktować się z detektyw Martinez?

- I dać się aresztować pod zarzutem morderstwa. To nam raczej nie wyjdzie na dobre.

- W takim razie co proponujesz, panie były szefie Gildii?

Przez chwilę milczał.

- Proponuję, żebyśmy zrealizowali nasze wcześniejsze plany.

- Jakie plany? Dlaczego nic o nich nie wiem?

- Nie miałem okazji ich z tobą omówić.

- To znaczy, że nie chciałeś mnie w nich uwzględnić, zgadza się?

- Lydio...

- Nieważne. Więc co zamierzasz zrobić? Wzruszył ramionami.

- Zamierzam dziś w nocy rozejrzeć się po biurze schroniska Poprzeczna Fala. A nuż uda mi się znaleźć coś, co nam podpowie, kto wykorzystuje to schronisko, by rekrutować z ulicy młodych pararezonatorów do wydobywania onirytu.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Nie pójdziesz.

- Będziesz mnie potrzebował, Emmett.

- Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie poradzę sobie z tym sam.

Uśmiechnęła się chłodno.

- Mówiłam ci, że wyczułam energię pułapki iluzji gdzieś w pobliżu biura schroniska, pamiętasz?

Obserwował ją, teraz zaniepokojony.

- Ustaliliśmy, że ślady wycieków energii tak blisko Starych Murów to nic niezwykłego.

Rozdział 25

Kielanie Toft zajrzała przez drzwi biura.

- Myślałam, że masz wolny dzień. Co tutaj robisz?

- Przeglądam papiery. - Lydia odwróciła się od regału i uśmiechnęła. - Nie martw się. Nie zostanę tu długo.

- Oby. Nie wiem, ile razy ci już powtarzałam, że nie wolno ci dawać Shrimpowi do zrozumienia, że prawdziwa paraarcheolog, profesjonalistka, taka jak ty, będzie za darmo pracować po godzinach.

- Obiecuję, że za niecałe dziesięć minut zniknę.

- Świetnie. - Melanie przyjrzała jej się uważnie. - Coś nie tak?

- Nie, Melanie. Wszystko gra.

- Posłuchaj. Wiem, że żyłaś w stresie. Śmierć Chestera i nie tylko... Jeśli potrzebujesz więcej niż jeden dzień wolnego, nie bój się tego powiedzieć. Shrimp nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Nie martw się. - Wzięła do ręki długopis, a potem mocno cisnęła nim w biurko. - Nie załamie się pod wpływem stresu.

Melanie wyraźnie się spieszyła.

- Nie chciałam sugerować...

- Wiem, wiem. Okej. - Lydia wzięła się w garść i zmusiła do uśmiechu. - Nie martw się o mnie, Melanie. Nic mi nie jest. - Cholera. Teraz gadała jak Emmett wczoraj wieczorem, kiedy omal nie zginął, a próbował jej wmówić, że wszystko w porządku.

- No dobrze. - Melanie popatrzyła na nią z powątpiewaniem. - Pamiętaj tylko, że nie musisz nic udowadniać ani mnie, ani Shrimpowi. Jeśli chcesz więcej wolnego, po prostu powiedz.

- Dzięki.

Lydia odczekała, aż drzwi za Melanie się zamknęły. Potem znów odwróciła się do regału i spojrzała z namysłem na „Dzienniki Paraarcheologii”. Wyjęła zdjęcie Chestera, to, które znalazła w płóciennym torbie razem z oni-rytem. Chester uśmiechał się szeroko z dumy, mocno ściskając w ręce numer „Dzienników”, w którym był wymieniony jako konsultant.

Przez głowę przemykały jej fragmenty snu. Wraz z nimi pojawiło się pytanie, które zadawała sobie wczoraj, kiedy przeszkodził jej Ryan. Co, jeśli Chester już wychodził z Muzeum Shrimptona tej nocy, kiedy został zabity?

Podeszła bliżej i przesunęła palcem po grzbietach „Dzienników”. Zatrzymała się na tym, który zawierał artykuł z nazwiskiem Chestera.

Wzięła tom z półki i otworzyła go na wielokrotnie czytanej stronie. Uderzył ją w oczy tytuł publikacji: Ocena wariacji częstotliwości pararezonansu źródeł energii efemerycznej.

Na podłogę wypadła karteczka. Lydia pochyliła się i ją podniosła. Charakteru pisma Chestera nie dało się pomylić z niczym innym. Był tam rząd cyfr, a pod każdą - litera.

Godzinę później Lydia położyła na kuchennym blacie karteczkę ze współrzędnymi, a obok klucz Chestera. Następnie rozwinęła archeologiczną mapę Wymarłego Miasta, wydaną przez Uniwersytet.

- Kod jest dość prosty - powiedziała. - Chester użył dat naszych urodzin, numerów telefonów i daty wydania „Dzienników”, w którym pojawił się mój artykuł. Natychmiast je rozpoznałam. Potem musiałam już tylko połączyć poszczególne punkty.

Emmett obserwował, jak ołówkiem nanosiła na mapę współrzędne. Jej rosnące podniecenie wibrowało w powietrzu wokół niej. Ona desperacko pragnie wrócić pod ziemię, pomyślał. Udowodnić samej sobie, że nadal sobie radzi w katakumbach.

- Jeśli informacje Brady'ego są rzetelne, wskazują na nienaniesione na mapę, prowadzące do katakumb przejście w Murach; znajduje się pod schroniskiem.

Kiwnęła głową, skupiona.

- Oczywiście są ich dziesiątki. Władze uniwersytetu zapieczętowały wszystkie odkryte przejścia, ale szczury ruin bez przerwy znajdują nowe.

- Tak jak w Starym Rezonansie.

Odłożyła ołówek i uniosła wzrok. Policzki płonęły jej z podekscytowania.

- Kiedyś ktoś musiał odkryć ten konkretny otwór w murze. Z tego, co wiemy, z upływem lat odnajdywano go i zapominano o nim wielokrotnie. Jednak tym razem tam na dole, w jednej z katakumb, ktoś odkrył oniryt.

Przekonał się, że przejścia są strzeżone przez duchy i pułapki iluzji, pomyślał Emmett. Pewnie zdał sobie sprawę, że musi zorganizować zespół, aby oczyścić to miejsce tak, by spokojnie prowadzić wykopaliska.

- Nie mógł jednak stworzyć legalnego zespołu wykopaliskowego, bo wtedy musiałby zgłosić swoje znalezisko władzom uniwersytetu. A wówczas uniwersytet przejąłby oniryt. r.

- Przyszło mu jednak do głowy, że ma pod nosem doskonałe źródło nielegalnej siły roboczej. Dzieciaki z ulicy cały czas pojawiają się w schronisku i znikają. Wielu tych młodych ludzi to niewyszkoleni pararezonery energii dysonansu i energii efemerycznej. Łatwo ich rekrutować, zwłaszcza jeśli się im obieca darmowe szkolenie i udział w zyskach.

- I jeżeli bez skrpułów ryzykuje się ich życie - dodała ponuro Lydia. - Prace wykopaliskowe w niezmapowanych częściach katakumb są niebezpieczne nawet dla doświadczonych i wyszkolonych splataczy i łowców. Kiedy myślę o tym, że ktoś posłał grupkę młodych ludzi, by oczyścili te tunele...

- Mięso armatnie - mruknął Emmett. Spojrzała na niego uważnie.
- Co takiego?

- To stare wyrażenie z Ziemi. Natrafiłem kiedyś na nie w jakiejś książce.

- Aha! Cóż, jedno wiemy na bank. Jeśli ktoś wykorzystuje otwór w Murach, do którego dostęp jest na terenie schroniska, i jeśli rekrutuje dzieciaki ze schroniska, to niemal na pewno należy on do personelu Poprzecznej Fali. Tylko dzięki temu może tam swobodnie wchodzić i stamtąd wychodzić.

- On albo ona - powiedział cicho Emmett.

- Właśnie - przyznała Lydia. - Trudno uwierzyć, że ktoś prowadziłby prace wykopaliskowe w katakumbach tuż pod nosem Helen Vickers, a ona nawet by nie zauważyła, że dzieje się coś dziwnego. Musi być w to zamieszana.

- Kazałem paru ludziom w Rezonansie ją sprawdzić. Przy odrobinie szczęścia prawdopodobnie jutro uzyskamy jakieś informacje.

- Mówimy o dwóch morderstwach, podstawowym szkoleniu dla łowców i poważnych pracach z pułapkami iluzji. Nie wyobrażam sobie, że Vickers robi to wszystko sama.

Emmett pomyślał o kluczu do szafki, który znalazł w kieszeni jednego z łowców.

- A kiedy Bob Matthews zaczął pracować społecznie w schronisku?

- Kilka miesięcy temu.

Przyglądał się bacznie mapie, rozważając różne możliwości. Gorąco pragnął, żeby istniał inny sposób, ale wiedział, że nie istnieje: musi przejść przez to nieoznaczone wejście do katakumb i potrzebuje do pomocy dobrego splatacza iluzji. Lydia należy do najlepszych.

Poczuł, że go obserwuje i dokładnie wie, o czym on myśli.

- Czy ci się to podoba, czy nie, do tej roboty potrzebny jest zespół łowca-splatacz, i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę - powiedziała.

Racja.

- Zrobimy to dziś w nocy - oznajmił.

Spojrzała na Futrzaka; chrupał precelki na kuchennym blacie.

- Nie martw się. Ktoś nas wesprze.

- Kto taki?

- Futrzak. - Zdjęła kurzaka z blatu i pogłaskała skłębione futerko. - Jego widzenie w nocy i węch są znacznie lepsze niż u człowieka. - Zawahała się. - No i to mój talizman szczęścia.

Rozdział 26

Lydia stała w ciemnym biurze schroniska i spoglądała na cichą, tonącą w mroku ulicę. Minęła druga w nocy. Poprzeczną Falę, zarówno jej drzwi, jak i okna, zamykano o północy. Na dole nie kręciły się żadne dzieciaki. Od dwóch godzin nikt nie wchodził do schroniska ani z niego nie wychodził. Nielegalnych prac wykopaliskowych albo nie prowadzono nocą, albo ich na dziś nie zaplanowano.

O tym, że okolica nie całkiem opustoszała, świadczyło dwóch pijaków, których Lydia widziała w bramie, gdy szła z Emmettem uliczką. Jedynym źródłem światła był mdły neon tawerny pół przecznicy dalej.

- Wszystko w porządku? - spytał Emmett z cienia za metalowym biurkiem.

Odwróciła się szybko, poirytowana.

- Nic mi nie jest - burknęła. - Po prostu wczuwam się w to miejsce. Próbuje wychwycić wibracje pułapki iluzji, które przechwyciłam, kiedy ostatnio tu byliśmy.

- No tak.

Przez okno nie wpadało dość światła, by mogła dostrzec wyraz twarzy Emmetta. Jego głos nie wyrażał żadnych emocji.

London odwrócił się i ruszył korytarzem w stronę biura Boba Matthews.

Lydia poszła za nim, zmagając się z paniką wzbierającą gdzieś głęboko w niej. To nie lęk przed ciemnością, pomyślała. Przynajmniej jeszcze nie teraz. To coś innego. Proszę, nie trać we mnie wiary. Jesteś jedynym człowiekiem, oprócz mnie, który uważa, że wciąż potrafię to robić. Proszę, wierz we mnie, chciała powiedzieć Emmettowi.

Ale milczała. Samo wypowiedzenie na głos tej prośby byłoby przyznaniem się sobie i Emmettowi, że ona boi się tego, co nieuchronnie nastąpi. Odkąd odzyskała równowagę psychiczną po Zaginionym Weekendzie, desperacko walczyła, by wrócić do katakumb. Teraz ta chwila nadeszła. Lydia potrafiła myśleć wyłącznie o tym, że nie wolno jej tego schrzanić.

A jeśli Ryan, psychiatry i cała reszta mieli rację? Jeśli rzeczywiście straciła część swoich zdolności dostrajania się do częstotliwości psi?

Przestań, nakazała sobie. Rozrezonowałaś tę małą pułapkę iluzji we flakonie z onirytu. To była koronkowa robota. Jeżeli z tym sobie poradziłaś, nic nie stanowi dla ciebie problemu.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć Futrzaka na jej ramieniu. Tym razem nie zamruczał w odpowiedzi, tak jak zwykle, gdy go głaskała. Wiedziała, że szeroko otworzył obie pary oczu, że czuwa.

Emmett nie włączył kieszonkowej latarki, póki nie znaleźli się w biurze Matthews'a. Lydia zdała się na niego, niech przeszuka szuflady biurka. Otworzyła wszystkie swoje zmysły, fizyczne i paranormalne, by przechwycić niewidzialne ślady energii efemerycznej, oznakę obecności pułapki iluzji.

Tak blisko murów Wymarłego Miasta niełatwo rozróżnić impulsy psi. Przytłaczający ciężar energii nagromadzonych obcych zabytków maskuje częstotliwości, które łatwiej wyczuć w innych częściach miasta, pomyślała.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że Emmett chodzi po biurze, ale skupiła się na własnym zadaniu. Podkraśniała się do drzwi i nasłuchiwała. Bursztyn w jej bransoletce lekko się rozgrzał. Poczowała go na skórze.

Nic.

Futrzak wiercił się niespokojnie, jakby świadom jej napięcia. Chciała wyciągnąć rękę, by go uspokoić, i nagle zamarła. Jej bursztyn coraz bardziej się rozgrzewał.

- Tam - szepnęła.

Emmett bez słowa zatrzymał się i uważnie ją obserwował.

Pierzaste macki ciemnego psi wiły się w niewidzialnych prądach powietrza, niemal niedostrzegalne wśród wycieków energii. Ale teraz namierzyła już pułapkę.

- Mam ją! - zawołała. Poczowała, jak błyskawicznie odzyskuje pewność siebie.

Emmett zamknął szufladę, którą przetrząsał, i podszedł do niej.

- Zbłąkany wyciek?

- Raczej nie. Wyraźna, stabilna częstotliwość. A przynajmniej tak stabilna, jak energia efemeryczna. -Odwróciła się, próbując wskazać kierunek. - O tam, przy tamtych drzwiach.

- Pomieszczenie gospodarcze.

Włączył latarkę i wyprowadził ich z małego biura. Usiłował przekręcić gałkę w drzwiach. Nawet nie drgnęła.

- Chyba to trochę za łatwe - szepnęła Lydia.

- Uhm. - Emmett wyjął małe metalowe narzędzie, którym otworzyli wcześniej frontowe drzwi. Jego dłoń zacisnęła się na bursztynie w ręczce. - No proszę - powiedział po chwili. - Niezły wynalazek. To nie jest zwykły zamek magneto-rezonansowy, choć mogłoby się tak wydawać.

Lydia się zaniepokoiła.

- Bądź ostrożny.

W ciemnościach nie dostrzegła miny Emmetta, ale wyczuła arogancję. Najwyraźniej bardzo nie lubił, by ktoś kwestionował jego umiejętności, tak jak ona.

- Niezbyt prawdopodobne, żeby tam rzeczywiście była pułapka iluzji - powiedział spokojnie.

- Po pierwsze, nie ma nic, do czego można by ją zakotwiczyć.

- Nie zapominaj o flakoniku, który znalazł Chester. O tej paskudnej pułapce w środku. Wygląda na to, że oni-ryt działa jak kotwica nawet poza murami.

- Kto by zostawił bezcenny oniryt w pomieszczeniu gospodarczym? - A jednak bardzo ostrożnie otworzył drzwi. Lydia odetchnęła, gdy zorientowała się, że energia iluzji nie staje się silniejsza.

Emmett szerzej otworzył drzwi i poświecił przed siebie latarką.

Lydia poczuła napięcie Futrzaka na jej ramieniu. Nie wydawał się zaniepokojony, tylko po prostu skupiony i czujny. Wszedł w tryb polowania, pomyślała. Tak jak Emmett.

No i ona.

Światło latarki ukazało ich oczom kilka szafek na akta, parę kartonów materiałów biurowych i stos rocznych raportów.

Lydia weszła do sporego pomieszczenia.

- Uważaj na cienie. Łatwo w nich ukryć pułapkę.

- Od jakiegoś czasu nie pracuję w terenie, ale nie jestem żółtodziobem, Lydio.

- Przepraszam.

- Nieważne. Rejestrujesz coś?

Poruszała się powoli, wpatrzona w plamy ciemności między szafkami. Unikalne fale psi wytwarzane przez iluzję były tutaj zdecydowanie silniejsze, ale gdy Emmett kierował snop światła w ciemne zakamarki, podejrzane cienie znikwały.

Wyciągnęła rękę i przesunęła opuszkami palców po najbliższej ścianie. Nie poczuła wzrostu rezonującej częstotliwości. Okrążyła pomieszczenie, dotykając po kolei wszystkich ścian. Gdy dotarła do wschodniej, zamarła.

Energia silnie pulsowała. Ciemna energia iluzji. Lydia wbiła wzrok w rząd szafek wzdłuż ściany.

- Myślę, że źródło jest za jedną z tych szafek, Emmett. Nie zaprzeczyl.
- W porządku. Pewnie to jedna z tych mniej zapchanych. Nikomu by się nie chciało przesuwac ciężkiej szafki za każdym razem, kiedy przechodziłby przez wejście. Otwórz parę szuflad i poszukaj w połowie pustej.

Lydia pociągnęła najbliższą szufladę: wypakowana aktami. Chwyciła rączkę kolejnej i ją otworzyła. Było w niej pełno starych, ciężkich akt.

- No proszę - szepnął Emmett.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że stoi przed ostatnią szafką, z oczami wbitymi w coś, co wyglądało jak pusta szuflada.

Szybko podeszła do niego.

- Cień iluzji?

Skierował światło latarki do środka.

- Raczej nie.

Zatrzymała się i wpatrzyła w ciemność.

- W porządku. - Skupiła się. Poczula, jak bursztyn na jej nadgarstku się rozgrzewa. - Wibracje biegną z tej ściany z tyłu.

- Pomóż mi.

Futrzak zeskoczył z ramienia Lydie i usadowił się na najbliższej szafce, żeby wszystko obserwować.

Dziwnie łatwo odsunęli ją od ściany. Za nią nie było nic, tylko boazeria.

Emmett wyciągnął rękę i wymacał niemal niewidoczne spojenie w tanim drewnie. Lydia poczuła, jak rośnie w niej podniecenie i tłumi lęk.

- Niesamowite - powiedziała.

- Niesamowite - przytaknął.

Pchnął fragment ściany. Drzwi na dobrze naoliwionych zawiasach otworzyły się do środka.

Otwór blokowała nieprzenikniona, nieskończona ciemność. Emmett poświęcił w nią latarkę.

Cienie nie znikły. Jeśli w ogóle się zmieniły, to jeszcze bardziej zgęstniały.

- Odsuń się - szepnęła Lydia. - To tak zarabiam grubą kasę.

- Proszę bardzo. - Emmett się cofnął.

Jego głos nie zdradzał ani powątpiewania, ani niepokoju, choć oboje widzieli, że pułapka jest bardzo duża. Lydia ruszyła naprzód.

Jej naturalna zdolność rezonowania ze specyficznymi częstotliwościami energii iluzji została wyostrzona dzięki szkoleniu na uniwersytecie i doświadczeniu w praktyce. Przygotowała się do rozplecenia pułapki. Wszystkie jej zmysły osiągnęły najwyższy rezonans.

Za pomocą swoich paranormalnych instynktów badała kłębiące się warstwy energii efemerycznej, maskujące główną częstotliwość rezonansu pułapki. Spoglądała w nią tą częścią siebie, która potrafiła odbierać wrażenie poza normalnym spektrum doznań. Widziała niezwykle kolory, czuła harmoniczne impulsy istniejące tylko w innym wymiarze.

Pułapka była bardzo stara. Należała do najstarszych, na jakie Lydia kiedykolwiek się natknęła. Człowiek, który wykorzystywał to wejście do tuneli, musiał ją wielokrotnie zastawiać i derezonować, jednak wyglądało na to, że niewiele straciła ze swojej pierwotnej siły.

Lydia odnalazła właściwą częstotliwość; zaczęła z nią rezonować, umyślnie posyłając ku niej wibracje tłumiące niewidzialny ruch fal psi. To była najniebezpieczniejsza część zadania. Gdyby popełniła błąd, impulsy energii odbiłyby się w jej stronę, zalały jej zmysły i wessały ją w obcy koszmar.

Mijały sekundy, ale Lydia straciła poczucie czasu. Pułapka okazała się bardziej skomplikowana, niż początkowo sądziła. Opierała się jej próbom wytłumienia wzorca. Jednocześnie wydawała się zachęcać do szybkich, pochopnych działań, które natychmiast by ją zderezonowały. Lydia nie dała się jednak zwieść. Już niejednen splatacz wpadł w ten sposób w zasadzkę.

Cechami charakterystycznymi dobrego splatacza były intuicja, umiejętności i finezja w pracy. Jeszcze raz dostroiła częstotliwość. Poczwała, że energia pułapki słabnie.

- Niezła robota - pochwalił Emmett.

Obca ciemność znikła z wejścia do tunelu. Spowite zieloną poświatą kwarcowe schody prowadziły w dół, do katakumb.

- Wszystko jasne. Dziura w murze - stwierdził Emmett.

- Ściana Poprzecznej Fali musi bezpośrednio przylegać do murów Wymarłego Miasta - oświadczyła Lydia.

- Jakiś szczur ruin musiał postawić ten budynek wiele lat temu, żeby zamaskować ukryte przejście. - Emmett ruszył w dół po schodach. - Prawdopodobnie ktoś inny ponownie je odkrył ostatniego roku.

Lydia wyciągnęła rękę do Futrzaka. Kurzak wgramolił jej się na ramię, po czym podążyli za Emmetem.

Kiedy dotarli na sam dół, Emmett wyłączył latarkę. Stali obok siebie w milczeniu, gdy ich oczy przyzwyczajały się do zielonkawej poświaty emanującej od pradawnych ścian. Pod ziemią zielony kwarc promieniował dziwnym światłem, które od wielu tysiącleci rozjaśniało mroki katakumb.

- Gotowa? - Emmett wyjął z kieszeni rezokompas w bursztynowej oprawie.
- Gotowa.

Poczuła przyływ euforii, ulgi i adrenaliny. Znów była pod ziemią. Miała własny kompas. I czuła się świetnie.

Niesamowity świat harmonijnych katakumb nic się nie zmienił. Wszystko wydawało się takie samo: od ciężaru stuleci sączącego się z kwarcu, aż po słabą zieloną poświatę.

- Pieprzyć Ryana i parapsychiatrów - mruknęła.
- W ten sposób próbujesz mnie zapewnić, że się nie załamiesz?
- Tak.
- I tak się tego nie obawiałem.
- Dzięki.
- Wygląda na to, że nie będziemy potrzebować kompasu - stwierdził po chwili Emmett.

Ma rację, pomyślała. W oczyszczonym tunelu katakumb droga wśród gruzu, starego i nowego, była dobrze widoczna. Lydia zauważyła papierki po cukierkach, puste butelki kurzyn-coli i pudełka po pizzy.

- Wyjątkowo mało profesjonalnie - prychnęła.
- Wykorzystują dzieciaki, zapomniałeś? A dzieciaki jedzą, i to dużo.

Korytarz był wąski, w przeciwieństwie do wielu większych odgałęzień katakumb, w których Lydia pracowała z uniwersyteckimi zespołami.

Chwilami, idąc, ledwie mieścili się obok siebie. Tak jak w przypadku wszystkich tajemniczych tuneli, nie sposób było się domyślić, czemu ich budowniczowie zaprojektowali je i stworzyli.

Ten konkretny odcinek miał prostą konstrukcję. Kilka razy zakręcał, wił się i rozgałęział. Lydia i Emmett bez trudu podążali bitym traktem wśród papierków po cukierkach.

- Pewnie pracują tyle godzin dziennie, ile się tylko da - powiedział Emmett - I próbują jak najszybciej wykonać swoją robotę. Zawsze, kiedy zastawiasz pułapkę, ktoś musi ją rozplatać, kiedy następnym razem będzie tamtędy przechodził.
- To czasochłonne. I niebezpieczne, jeśli biorą się do tego amatorzy.

Podążali coraz dalej jarzącym się zielonym korytarzem. Miękkie podeszwy sunęły cicho po twardym kwarcu. Od czasu do czasu Emmett zerkał na Futrzaka.

- Nie martw się. Bardzo wyraźnie nas ostrzeże, jeśli wyczuje kogoś w korytarzu - uspokajała go.

- Skoro tak twierdzisz... - Emmett badał kolejny zakręt tunelu. - Nigdy wcześniej nie pracowałem z kurzakiem.

- Futrzak jest stałym członkiem mojego zespołu. Kiedyś ci opowiem, jak wyciągnął mnie z katakumb po

moim Zaginionym Weekendzie... - Nagle urwała, bo Futrzak warknął tuż przy jej uchu. - Oho! Emmett przystanął.

- Nic nie słyszę.

- Futrzak słyszy. Może wyczuwa ducha.

- Nie będę się z nim spierał. Oboje stańcie za mną.

- Cholera, Emmett...

- To ja jestem łowcą duchów, zapomniałaś? Wykonałaś swoją robotę, pozwól mi wykonać moją.

No tak. Sięgnęła jednak po Futrzaka i posadziła go na ramieniu Emmetta.

- Weź go. Macie ze sobą coś wspólnego.

- Na przykład co? Uśmiechnęła się.

- Kiedy widzisz zęby, jest już za późno.

Emmett uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Odwrócił się i z Futrzakiem wyciągającym szyję minął zakręt tunelu.

Lydia podeszła za nim w pewnej odległości. Niech robi swoje, pomyślała. Tobie na to pozwolił.

Chwilę później zza zakrętu dobiegł ją głos Emmetta.

- O cholera!

Lydia rzuciła się naprzód. Jednak gdy wybiegła za róg, nie zobaczyła światła ducha. Ujrzała natomiast Emmetta - stał przed wielką plamą podejrzanego cienia.

- Możesz się tego pozbyć? - spytał niespokojnie.

- Jasne. - Robisz się zbyt pewna siebie, pomyślała. Niedobrze. Zachowuj się jak profesjonalistka.

Szybko poradziła sobie z pułapką. Gdy cienie znikły, stanęli z Emmetem przed niewielką niszą. Na brudnych materacach, pogrążeni w głębokim śnie, leżeli szczupły chłopak i dziewczyna o długich, zmierzwionych włosach. Oboje mieli poplamione, podarte, od dawna chyba nieprane ubrania. Obok nich wałały się butelki kur-tyn-coli i puste torebki po kanapkach. Przy wejściu stała mała waza zronirytu; Lydia i Emmett zobaczyli ją dopiero teraz, po zderezonowaniu zakotwiczonej w niej pułapki iluzji.

Emmett postąpił kilka kroków naprzód.

Młody mężczyzna na ziemi poruszył się i otworzył oczy. Powoli usiadł i parę razy półprzymkniętymi zamrugał osłupiały.

- Wuj Emmett? - Spojrzał przytomniej. Na jego twarzy pojawiła się ulga. - Wiedziałem, że będziesz mnie szukał.

- Wziąłeś mój sekretarzyk. - Emmett wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać. - Co, u diabła, innego miałem zrobić, Quinn?

Rozdział 27

Lydia spiorunowała Emmetta wzrokiem. W lot zrozumiał. Uważała, że zachował się bezdusznie.

- Na litość boską - burknęła. - To nie jest odpowiedni moment na wykład o tym głupim sekretarzyku. - Zwróciła się do Quinna. - Nic ci nie jest?

Quinn, trochę zdumiony tym, jak wtrąciła się do rozmowy, szybko kiwnął głową.

- Nie, nie. Wszystko w porządku.

- Quinn? - Dziewczyna na materacu poruszyła się i powoli usiadła. - Co się dzieje? Co to za ludzie?

- Poznaj wuja Emmetta, Sylvio. Mówiłem ci, że prędzej czy później się tu zjawi. - Pomógł jej wstać. - Chodź, znikamy stąd.

Lydia rozejrzała się wokół.

- Jest tu ktoś jeszcze prócz was?

- Nie, nie o tej porze - odparł ze złością Quinn. - Kiedy odchodzili, zamykali mnie i Sylvie w tej pułapce. Ale pozostali przychodzili i wychodzili według planu. Naprawdę im się to podoba. Lubią nosić na szyi te łańcuszki z trzema falistymi liniami. Zupełnie jak harcerskie odznaki albo coś w tym stylu. Ci idioci myślą, że będą bogaci.

- A strażnicy? - drążył Emmett.

- W tej chwili to raptem dwóch łowców. Kiedy tu trafiłem, był jeszcze jeden, ale się podsmażył i powędrował w tunel. Potem już go nie widziałem. Nie udało im się wciągnąć w to nikogo innego.

- Pewnie uznali, że nie muszą zostawiać strażników - zauważyła Sylvia, pocierając ramiona. - Ta pułapka absolutnie wystarczała, by zatrzymać nas tutaj, kiedy odchodzili. - Spojrzała na Lydię. - Musisz być bardzo dobrą splataczką.

- Najlepszą - powiedział Emmett, zanim Lydia zdążyła otworzyć usta. - Co z twoim bursztynem, Quinn?

- Żartujesz? Zabierają nam wszystko na czas odpoczynku. Główny tunel to jedyna dość dobrze oczyszczona część tych katakumb. W żaden z bocznych korytarzy nie można wejść bez bursztynu nawet na parę metrów.

- A gdzie jest oniryt? - spytała zaciekawiona Lydia.

- Zawsze jak wykopią jakiś artefakt, zanoszą go do komnaty w innym korytarzu - wyjaśniła Sylvia. Zostawiają go wyłącznie w paru miejscach takich jak to, gdzie używają go, by zastawiać pułapkę w przejściu, i to u szczytu schodów.

Emmettowi nie spodobał się niebezpieczny błysk zainteresowania w oczach Lydii.

- Zapomnij o onirycie. Nie mamy teraz na to czasu. Wrócimy po niego.

- Aha. - Przez chwilę wyglądała na rozczarowaną, ale się z nim nie spierała.

Emmett odwrócił się do Sylvii i Quinna.

- Znacie inne wyjście oprócz schodów prowadzących do biura schroniska?

Quinn pokręcił głową.

- Nie. Tak jak mówiłem, w bocznych korytarzach aż się roi od pułapek i duchów. Nie pofatygowali się, żeby oczyścić któreś z bocznych przejść, a co dopiero je zbadać. Zależy im tylko na wydobyciu onirytu.

Sylvia zagryzła wargę.

- Już prawie skończyli. Ja i Quinn pracowaliśmy najwolniej, jak się dało, ale już niedługo udałoby nam się ich opóźnić.

- Tak się cieszę, że was widzę - w głosie Quinna brzmiała ulga. - Zdawaliśmy sobie sprawę, że kiedy tylko skończymy prace wydobywcze, przestaniemy być im potrzebni.

Emmett położył dłoń na jego ramieniu.

- Dobrze zrobiłeś, mały. Chodź, spadamy stąd. Ly-dio, żadne z nich nie ma bursztynu, więc będą iść między nami. Ja z Futrzakiem poprowadzę. Jasne?

- Jasne. - Stała za Sylvia i Quinnem. - Jeśli Futrzak warknie albo uznasz, że jest spięty, zachowaj ostrożność.

- Nie martw się, będę zwracał na niego uwagę.

Emmett ruszył w powrotną drogę z kurzakiem na ramieniu. Przed nim, w spowitym słabą poświatą kwarcowym tunelu nic nie wirowało - żadne dziwne cienie ani błyski w powietrzu. Futrzak wydawał się czujny, lecz spokojny.

Emmett już zaczął mieć nadzieję, że uda im się bez problemów wydostać z katakumb, gdy Futrzak nagle zeszywniał, a on poczuł słabe mrowienie energii.

- Cholera. - Wyciągnął w bok rękę, by zatrzymać pozostałą trójkę.

Quinn potknął się, ale odzyskał równowagę.

- Co u... - zaczął.

Emmett nie miał czasu na odpowiedź. Korytarz przed nim eksplodował jaskrawozieloną energią. Potężny duch rozdymał się i rozdymał, blokując wąskie przejście.

Sylvia cicho krzyknęła. Wszyscy zamarli w bezruchu.

Futrzak zaskomlał. Jego drobnym ciałem wstrząsnął dreszcz, ale wszystkimi sześcioma łapkami mocno trzymał się koszuli Emmetta.

- Dokładnie tego nam było trzeba - burknęła Lydia.

- Nie rozumiem. Myślałam, że oczyścili ten korytarz. Ciągłe tędy przechodzą - szepnęła Sylvia.

Emmett uznał, że to nie najwłaściwszy moment na wyjaśnienia, że ten duch został świadomie przyzwany dzisiejszej nocy. Niezwykły wzorzec dysonansu powiedział mu, że w rzeczywistości są to dwa mniejsze duchy, połączone w jedną istotę.

Dwóch łowców pracujących razem przy wejściu do korytarza, pomyślał. Ale ten, którego przysmażył ubiegłej nocy, tak szybko nie odzyskałby sprawności. Poza tym, ktokolwiek kontrolował podwójnego ducha, nie mógł być niewyszkolonym nowicjuszem. Stopienie dwóch pól energetycznych dysonansu w całość wymagało doświadczenia.

A więc inny łowca. Matthews?

Duch zaczął powoli sunąć ku nim korytarzem.

- Wuju Emmecie? - W głosie Quinna brzmiał niepokój.

- W porządku, Quinn. Tak naprawdę to dwa duchy w jednym. Trzeba go potraktować inaczej. Teraz oddziela nas od dwóch łowców. Nie widzimy ich, ale oni też nie widzą nas. Spróbuję przejąć kontrolę nad tym duchem i odesłać go z powrotem do tych, którzy go przywołali. Jeśli jednak to się nie uda, będę go musiał zderezonować.

Tak czy inaczej, na koniec przyjdzie nam zmierzyć się z łowcami. Mogą mieć broń.

- No tak. - Quinn minął *Sylvie* i stanął za Emmet-tem. - Niestety bez bursztynu nie na wiele ci się przydam.

- Wierz mi, przy tym tempie, w jakim zużywają energię psi, nie dadzą rady przywołać nawet paru iskierek, zanim do nich dotrzemy. Ale trzeba działać szybko. Kiedy tylko duch zniknie, musimy ich obezwładnić.

Quinn kiwnął głową, że rozumie.

- Walka wręcz, tak?

- Prawdopodobnie.

- Emmett? - za jego plecami rozległ się pełen niepokoju głos Lydii.

- Zajmij się *Sylvia* - polecił. - A ja resztą.

Pewnie gadam jak dumny macho ze zniechęconej przez nią Gildii, pomyślał. Ale nie miał czasu na dyplomację. Na szczęście nie protestowała. Zobaczył, jak podbiega do *Sylvii*.

Skupił się na skłóceniu wzorców dysonansu podwójnego ducha. Wymieszana energia stanowiła zarówno siłę, jak i największą słabość NiZOED-a. Duch tych rozmiarów posiadał dużą moc, lecz z natury był niestabilny, a więc jeśli udałoby się namierzyć jego dwie główne częstotliwości, można by nad nim zapanować.

Duch sunął ku nim coraz prędzej, wciąż jednak wolno.

Nikt nie zna zielonego NiZOED-a, który szybciej zmieniałby pozycję, niż w morzu przemieszcza się człowiek. Ponadto, im większe pole energii, tym trudniej nim władać. Jednak jeśli zapędzi cię w kąt, po prostu cię usmaży.

Emmett szukał wzorców częstotliwości. Najpierw odnalazł tę słabszą. Tak jak się spodziewał, ten, kto kontrolował tego ducha, nie miał nad nim pełnej władzy. Łowca manipulujący tak silnym duchem, by przypieczętować połączenie, wpłynął znacząco na wzorzec fali.

Duch podpłynął bliżej; coraz większy, pulsował wściekłym zielonym światłem, spychając Emmetta i jego towarzyszy dalej w korytarz.

Emmett poczuł na skórze nadgarstka, jak bursztyn w jego zegarku się nagrzewa. Przełał w niego więcej energii psi.

Duch zwolnił, próbując zachować wewnętrzne rytmy, ale się nie zatrzymał. Emmett dokładnie wyczuł chwilę, w której tarczę jego zegarka pokryła mgła. Wtedy skoncentrował się na zapasowym bursztynie w łańcuszku na szyi.

I dopadł podwójnego ducha, który przystanął, dziko pulsując, co oznaczało, że gaśnie.

- Mam go - syknął Emmett. - Spróbuję go zawrócić, ale jeśli się nie uda, bądź gotów, Quinn.

- Dobrze.

Emmett, najdelikatniej jak potrafił, przejął kontrolę nad słabnącym duchem. Popychał go lekko, aż NiZOED podążył tam, skąd przybył.

W pobliżu kwarcowych schodów rozległ się krzyk strachu.

- Cholera. Dostał go! Quinn uśmiechnął się szeroko.

- Niezła robota, wuju Emmecie.

- Chodź. - Emmett ruszył naprzód. - Ten, kto go połączył, spróbuje go zderezonować, gdy tylko uświadomi sobie, co się dzieje.

- Idę za tobą.

- Ja też - oznajmiła stanowczo Lydia. -1 Sylvia.

Ta kobieta potrafi wybrać najmniej stosowny moment, żeby sprzeciwić się poleceniom, pomyślał Emmett. Otworzył usta, by nią pokierować, lecz właśnie wtedy duch zapulsował po raz ostatni i zgasł.

- Teraz, Quinn!

Na tle zielonej poświaty schodów, niecałe trzy metry od nich majaczyły sylwetki dwóch postaci. Gdy Emmett i Quinn natarli na nie, odwróciły się i rzuciły do ucieczki.

Emmett rozpoznał jednego z młodych łowców, którzy zaatakowali Kelsa w uliczce za Zielonym Murem, i drugiego: Boba Matthews. Jeśli choć jeden z nich miał nielegalną broń magnetorezonansową, był zbyt wyczerpany utratą psi, by jej użyć.

Obaj pomknęli w górę po schodach, w mrok nieoświetlonego pomieszczenia magazynowego. A Emmett - za nimi, przez otwór w murze. Młody łowca zdążył już zniknąć w bezpiecznej, ciemnej ulicy. Jednak Matthews poruszał się wolniej. Emmett zdawał sobie sprawę, że zmysły odmawiają mu posłuszeństwa po tym, jak jego własny duch zwrócił się przeciwko niemu. Coś takiego boli. Naprawdę boli.

Emmett dopadł go, obrócił i walnął nim w najbliższą szafkę na akta.

Twarz Matthews wykrzywiła się z lęku i wściekłości. Zacisnął pięść i zadał dziki cios. Emmett ledwie się uchylił, by uniknąć uderzenia w krocze. Trafiony jednak w bok, zatoczył się do tyłu.

Matthews natychmiast na niego natarł; obaj runęli na podłogę.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął, siadając na Emmecie. Wsunął rękę pod kurtkę. Gdy ją wyciągnął, trzymał w niej nóż. - Sukinsynu, niewiele brakowało, ty pieprzony sukinsynu!

Emmett chwycił dłoń Matthews, a on wrzasnął i upuścił nóż czubkiem w dół, prosto w lewe oko Em-metta.

Emmett odrzucił głowę w bok i usłyszał brzęk -ostrze utkwilo w podłodze tuż przy jego uchu. Szarpnął się z całych sił i zwałił z siebie Matthews. Rozległ się głuchy dźwięk uderzenia. Emmett zdał sobie sprawę, że Matthews rąbnął głową o róg szafki na akta, osunął się na ziemię i zmarł.

W drzwiach do zewnętrznej części biura pojawiły się dwie cuchnące alkoholem postacie w poplamionych lachmanach. Emmett, wstając, spiorunował je wzrokiem.

- Gdzieście, u diabła, byli? - spytał.

- Trochę się spóźniliśmy. Przepraszamy, szefie - odparł niefrasobliwie Ray Derveni. - Wpakowaliśmy się w małe kłopoty. Kiedy ty i twoja przyjaciółka weszliście do środka, ta kobieta zastawiła pułapkę iluzji przy frontowych drzwiach.

- Najpaskudniejszą, jaką kiedykolwiek widziałem -dodał Harry Adler. - Nie przypuszczałem, że można zastawiać takie ślicznotki nad ziemią.

Emmett się skrzywił.

- Jak ją ominęliście?

- Minutę temu wybiegł jakiś dzieciak. Chyba nie wiedział o pułapce. Wpadł prosto w nią. Przyszpiliło go. Kiedy wyczerpała swoje siły, mogliśmy przemknąć obok.

- Emmett, mamy problem - wtrąciła szybko Lydia.

- Sylvia! - krzyknął Quinn. - Ona ma Sylvie! Emmett błyskawicznie się odwrócił. Zobaczył Lydię

i Quinna u szczytu schodów; patrzyli w otwór.

- Puść ją! - wrzasnęła Lydia.

Emmett podbiegł do niej. U dołu zielonych schodów ujrzał Helen Vickers. Trzymała pistolet magnetorezonan-sowy przy głowie Sylvii. Skąd wzięła broń?

- Jak, u diabła, ona się tu znalazła? - warknął Emmett.

- Ukrywała się w cieniu schodów. Złapała Sylvie, kiedy walczyłeś z Matthewsem - wyjaśniła Lydia.

- Jeśli ktoś za mną pójdzie, zabiję ją - ostrzegła ochrypłym głosem Helen. - Przysięgam, że to zrobię.

- Nikt za tobą nie pójdzie - obiecała Lydia cicho, spokojnie. - Masz na to moje słowo.

- Myślisz, że choć na chwilę ci uwierzę? - Twarz Helen wykrzywiła wściekłość. - Wszystko zniszczyłaś, głupia suko. To ja znalazłam ten oniryt. Ja zderezonowałam pierwsze pułapki. Jest mój!

Emmett patrzył, jak Helen robi kolejny krok w tył. Jej stopa zahaczyła o coś, co wyglądało jak kupka śmieci.

- Proszę! - wykrzyknął zdesperowany Quinn. - Puść Sylvie!

- Zamknij się. Powinam się była ciebie pozbyć, kiedy tylko przeszedłeś przez te drzwi. Myślałam, że mi się przydasz, gdyby zjawili się ludzie z Gildii. Ale okazałeś się tylko jednym wielkim problemem. Powinam była kazać cię usmażyć i wyrzucić do katakumb.

- Helen, pomyśl racjonalnie. Zgubisz się w tych tunelach - perswadowała Lydia. - Nie chcesz chyba umrzeć pod ziemią?

- Nie zgubię się. Są stąd inne wyjścia. Spędziłam tu wiele miesięcy. Znam drogę... - urwała. Rozległ się przenikliwy krzyk. Mała kupka śmieci, na którą prawie nastąpiła, nagle się poruszyła. Futrzak zmienił się w zwinnego drapieżnika, którym zresztą był, i w mgnieniu oka wspiął się po spodniach Helen.

Wrzasnęła, wściekle waląc wolną ręką.

- Co to jest? Zdejmijcie to ze mnie! Zdejmijcie to! Futrzak dosięgnął jej gardła. Drobne zęby błysnęły tuż przy tętnicy.

Helen znów krzyknęła. Puściła Sylvie i rzuciła broń na zieloną posadzkę, zaciekle próbując oderwać Futrzaka od gardła.

- Futrzak... - Lydia popędziła w dół po schodach. -Skacz!

Kurzak zeskoczył z szyi Helen; wylądował na wszystkich sześciu łapkach i pognał do Lydie. Wyciągnęła rękę, złapała go i przytuliła.

Sylvia chwyciła broń, rzuciła się w stronę schodów i wpadła w ramiona Quinna. Emmett zauważył, że przejście prowadzące do schodów nagle zaroilo się od ludzi. Usłyszał odgłos kroków Helen biegnącej korytarzem.

- Moglibyście łaskawie zejść mi z drogi? - warknął. -Dopadnę ją.

Quinn odwrócił się i zajął w tunel.

- Ucieka.

- Nie ucieknie daleko - zapewniła Lydia.

- O czym ty mówisz? - spytał Quinn. - Słyszałaś, co mówiła? Zna inną drogę.

- To bez znaczenia. - Lydia chwyciła Emmetta za ramię. - Możesz mi wierzyć.

Od kwarcowych ścian odbił się echem kolejny krzyk. Dobiegał z samego serca koszmaru. Rozbrzmiewał długo; potem zapadła martwa cisza. Emmett uświadomił sobie, że dopiero teraz rozumie znaczenie słów „mrozący krew w żyłach". Spojrzał na Lydie.

- Zastawiłam małą pułapkę w onirycie, kiedy ty rozprawiałeś się z duchem - powiedziała cicho. - Umieściłam ją w korytarzu za nami. Tak na wszelki wypadek. Pomyślałam, że może nas ochronić, jeśli będziemy się musieli wycofać.

Przyjrzał jej się uważnie; powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Zawsze miło pracować z profesjonalistką.

Rozdział 28

Alice Martinez gwałtownie, ze złością rzuciła akta na biurko.

- Powinien był pan zgłosić zaginięcie.

- Mój siostrzeniec ma osiemnaście lat, a nic nie wskazywało, że popełniono przestępstwo. - Emmett oparł się o ścianę. - Nie sądziłem, że policja potraktuje tę sprawę poważnie.

Alice spojrzała na niego niechętnie.

- Znając pańskie koneksje w Gildii? Niech pan nie żartuje. Przetrzęsnelibyśmy całą Poprzeczną Falę.

- Śledztwo na taką skalę mogłoby przekonać Vi-ckers i Matthews, że powinni pozbyć się Quinna. Zabiliby go i wrzucili ciało do któregoś z niezbadanych korytarzy. Przecież utrzymywali chłopaka przy życiu tylko po to, by wykorzystać go jako zakładnika, gdyby ktoś z Gildii w Rezonansie zaczął go szukać, zanim skończą wydobywać oniryt.

Martinez nie wyglądała na zadowoloną, ale Emmett rozumiał taką jej reakcję. Jeśli chodzi o niego, nie miała powodów do narzekań. Bądź co bądź, to on i Lydia podali jej tę sprawę jak na tacy. Dzięki nim detektyw odnalazła brakujące fragmenty układanki, rozwiązała kwestię dwóch morderstw, dokonała kilku aresztowań i ujawniła, że nielegalnie wydobywano legendarny oni-, ryt. To zapewne ustawi całą jej karierę, pomyślał Emmett. Ale niektórzy ludzie po prostu nie dostrzegają jasnych stron życia.

Łatwo przyszło mu zignorować irytację Martinez, ale chłodny dystans Lydie go martwił. Obserwował, jak lakonicznie odpowiada na pytania Alice. Siedziała sztywno na krześle. Odwróciła twarz, by ich spojrzenia się nie spotykały. Wycofała się za grubą szybę lodowatej rezerwy. Coś tliło się pod powierzchnią, ale nie rozumiał co. Zachowywała się tak od chwili, gdy w nocy wyszli z katakumb. Zaczynał się zastanawiać, czy ponowne zejście pod ziemię nie wywołało jednak u niej opóźnionej psychicznej traumy.

Alice otworzyła raport na biurku.

- Według tego, co tu mam, pański detektyw w Rezonansie odkrył, że Helen Vickers była silną splataczką.

- I oportunistką - dodał Emmett. - Dwa lata temu zaczęła pracować dla Andersona Amesa i szybko stała się dla niego niezastąpiona. Jednym słowem, wykorzystwała go. Najwyraźniej gwałtownie się starzał i niedołążniał. Tak czy inaczej, manipulowała nim tak, by uwzględnił ją w swoim testamencie. Gdy zmarł, zresztą w sposób, który na pewno wymagałby dokładniejszego śledztwa, odkryła nagle, że jednak nie ma żadnych pieniędzy.

- Poszła do schroniska - ciągnęła dalej Lydia - żeby sprawdzić, czy znajdzie tam coś, co mogłaby sprzedać przed zamknięciem placówki. Quinn podsłuchał, jak wspominała, że znalazła starą pułapkę iluzji strzegącą otworu w Murze. Zderezonowała ją i zaczęła badać katakumby. Odkryła pierwszy artefakt z onirytu w tunelu, tuż przy szkielecie ostatniego szczura ruin, który próbował prowadzić tam wykopaliska. Zdała sobie sprawę, że jest tego więcej. Postanowiła nie zamykać schroniska, by służyło jako przykrywka, ale sprowadziła swojego dawnego kochanka i zaproponowała, że zostaną partnerami.

Alice uniosła brew.

- Boba Matthews.

- Właśnie. Oboje kiedyś pracowali razem. Jednak był pewien problem - wtrącił się Emmett. - Cały ten fragment katakumb aż się roił od duchów i pułapek, co więcej, każdy artefakt z onirytu był strzeżony odrębną pułapką. Musieli parę razy otrzeć się o śmierć. Potrzebowali więc taniej siły roboczej, którą łatwo byłoby zastąpić.

Twarz Alice spochmurniała.

- Młodych, niewyszkolonych łowców i splataczy ze schroniska.

Emmett kiwnął głową.

- Dziewczyna Quinna, Sylvia, usłyszała o pracy tutaj w Kadencji. Zadzwoiła do niego. Quinn zaczął się o nią martwić i pojechał za nią. A ja za Quinnem.

- Prosto do sklepu Chestera Brady'ego w Starych Dzielnicach - powiedziała Lydia. - Chester odkupił od Quinna ten sekretarzyk. Musiało go to jednak zaciekawić, bo zaczął śledzić Quinna i wypytywać o Sylvie. Vickers puściły nerwy i kazała porwać Quinna. Wtedy chyba nie wiedziała jeszcze o jego związkach z Gildią. Potem było już za późno.

- Sądźmy, że Brady był świadkiem tego porwania -kontynuował Emmett. - Zapewne śledził porywaczy i Quinna i w ten sposób trafił do katakumb. Prawdopodobnie to właśnie wtedy ukradł flakonik z onirytu.

Dzięki Matthewsowi, który po aresztowaniu im

Owszystkim opowiedział, znali już dalszą część tej historii. Matthews chciał natychmiast pozbyć się Quinna. Jednak Vickers uznała, że może im się przydać jako polisa ubezpieczeniowa. A tymczasem wykorzystają go do pomocy w pracach wykopaliskowych.

Lecz później znaleźli weksel w kieszeni Quinna

I zrozumieli, że sprzedał jakiś cenny przedmiot Chesterowi Brady'emu. Tak więc dowiedzieli się, że pozostawił po sobie ślad. Matthews i jeden z łowców śledzili Chestera. Gdy poszedł do Muzeum Shrimptona, założyli, że chce ukraść stamtąd jakiś artefakt. Stwierdzili, że to wspaniała okazja, by się go pozbyć, więc z niej skorzystali.

Jednak gdy zabili Chestera, Helen Vickers zorientowała się, że brakuje jednego z artefaktów z onirytu. Wiedziała wystarczająco dużo o ciemnej działalności Brady'ego i jego zdolnościach splatacza, by zacząć podejrzewać, że to on ukraść cenny przedmiot. Było już jednak za późno, aby go o to zapytać. Chester nie żył. Helen wysłała Matthews'a, żeby przeszukał jego lombard i mieszkanie, lecz Bob nic nie znalazł.

Vickers i Matthews nie mieli pojęcia, że Chester pozostawił w biurze Lydii wskazówki, jak dotrzeć do niszy z onirytem.

Kiedy się dowiedzieli, że Emmett jest w mieście, a Lydia zadaje pytania o sekretarzyk, wpadli w panikę. Wysłali jednego ze swoich łowców do jej mieszkania, by ją nastraszył. A że mu się nie udało, postanowili zrobić ją w śledztwo w sprawie morderstwa. Dlatego właśnie mieszkanie Lydii zostało przeszukane. Zaplanowali to tak, żeby wyglądało jak zwykłe włamanie, ale łowca znalazł się tam po to, by zdobyć coś, dzięki czemu mogliby ją powiązać z miejscem zbrodni. No i ukraść jedną z jej bursztynowych bransoletek. Martinez spojrzała na Lydię.

- Zakładali, że pani i prawdopodobnie także pan London możecie zostać aresztowani za morderstwo Greeleya, a w najgorszym razie pochłonie was oczyszczanie się z zarzutów.

- Wtedy chcieli już tylko zyskać na czasie, by wydobyć resztę onirytu i wyjechać z Kadencji
- stwierdził Emmett.

- Gdy ich plan nie wypalił, jeszcze raz spróbowali się dowiedzieć, ile wiemy, więc wciągnęli w całą aferę mojego byłego współpracownika - wyjaśniła Lydia. - A potem usiłowali zamordować Emmetta.

- Potrzebowali jeszcze tylko paru dni - powiedział cicho.

Tego wieczoru o szóstej ktoś głośno zapukał do drzwi Lydii. Nie było to charakterystyczne pukanie Zane'a, więc postanowiła je zignorować.

Nalała sobie kieliszek wina i sięgnęła po wieczko słoika z precelkami.

Znów rozległo się pukanie. Zlekceważyła je.

- Przy takim tempie, w jakim je pożerasz - powiedziała, podając Futrzakowi precelka - powinnam chyba wykupić akcje w firmie, która je produkuje.

Futrzak zamruczał radośnie na jej ramieniu i, jak zwykle chciwie, zaczął chrupać precelka.

- Na zdrowie, mały. - Lydia wyciągnęła rękę i go pogłaskała. - Zaslugujesz na nie. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Wzięła do ręki kieliszek i ruszyła w stronę balkonu. Po chwili zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Chyba nikt już nie pukał. Wmówiła sobie, że czuje ulgę, lecz gdzieś głęboko w duszy wiedziała, że okłamuje samą siebie.

Był ciepły wieczór. Otworzyła przesuwane drzwi balkonu, usadowiła się w jednym z leżaków, i wtedy usłyszała, jak ktoś otwiera zamknięte na klucz drzwi salonu za jej plecami.

Futrzak dalej chrupał precelki, pogrążony w błogim zadowoleniu. Lydia nie obejrzała się przez ramię. Domyśliła się, kto wszedł do jej mieszkania.

- Nie wiem, co tu się, u diabła, dzieje, ale jeśli sądzisz, że pozwolę ci udawać, że przestałem istnieć, to grubo się mylisz - burknął Emmett, wychodząc na balkon.

- Wierz mi, wiem, że istniejesz. - Pociągnęła łyk wina, z nadzieją, że to ją uspokoi. - Raczej trudno cię nie zauważyć, London.

- Podobno. - Usiadł na drugim leżaku. - Zechcesz mi powiedzieć, co jest nie tak?

- Nic nie jest nie tak.

- Chodzi o to, że wróciłaś pod ziemię? Czy to sprawiło, że napłynęły złe wspomnienia? Lydio, jeśli musisz porozmawiać z psychiatrą, znam dobrego w Rezonansie. To przyjaciel rodziny.

- Przyjaciel rodziny. - Tak mocno walnęła kieliszkiem w stolik, że wino się wychlapało. - Czyli psychiatra związany z Gildią, tak?

- Cóż, tak. Leczy pararezonerów energii dysonansu pracujących dla Gildii w Rezonansie, ale to nie znaczy, że nie potrafiłby sobie poradzić z pararezonerką energii efemerycznej. To fachura.

- A jakże - syknęła. - Nie wątpię, że jest świetny. Ale tak się składa, że nie potrzebuję psychiatry.

- Na pewno? Zachowujesz się bardzo dziwnie, odkąd wyszliśmy z katakumb. Może tak szybki powrót pod ziemię, po twoich przeżyciach pół roku temu, nie był dla ciebie dobry?

Wycelowwała w niego palcem.

- Nie zaczynaj. Jeśli mi oświadczysz, że wreszcie dołączyłeś do ludzi, którzy myślą, że się nie nadaję na para-rezonerkę, przysięgam, że zrzucę cię z tego balkonu.

- Wiem, że nie straciłaś swoich zdolności - odparł spokojnie. - Dowiodłaś tego, radząc sobie z pułapkami w tunelach. Ale możesz mieć problemy innego rodzaju.

- Aha. - Znów podniosła kieliszek. - A jakże, mogę mieć problemy innego rodzaju.

Już chyba się o nią nie martwił. Raczej jej nie ufał.

- Czegoś nie rozumiem.

- Ty? Skądże znowu. - Pociągnęła kolejny łyk wina. -Ty czegoś nie rozumiesz. Przecież jesteś szefem Gildii!

- Byłem szefem Gildii. I mówiłem ci: wolę określenie „dyrektor wykonawczy”.

Skrzywiła się.

- O, przepraszam. Jesteś byłym dyrektorem wykonawczym Gildii w Rezonansie! Jakże coś mogłoby umknąć twojemu wszechwidzącemu spojrzeniu?

- Lydio, przyszedłem, bo się niepokoję. Przez ostatnie dwa dni nie zachowujesz się normalnie.

- Nic mi nie jest - rzuciła bardzo spokojnie.

- Tak? To dlaczego nie odbierasz moich telefonów? Nie otwierasz drzwi, chociaż wiesz, że stoję tam, na tym cholernym korytarzu? Nie ruszę się stąd, póki nie usłyszę odpowiedzi.

Spojrzała na niego. Wrzała z gniewu; dławił ją i szukał ujścia.

- Chcesz usłyszeć odpowiedź? Dobra. Mój jedyny problem polega na tym, że jestem wściekła.

- Wściekła? - Zawahał się. - Na mnie?

- Nie. Na siebie. Trochę się rozluźnił.

- Dlaczego?

- Bo ci zaufałam.

- Co to ma, u diabła, znaczyć? Co takiego zrobiłem, że przestałaś mi ufać?

- Zacznijmy od tego, że sprowadziłeś tu tych dwóch facetów z Gildii w Rezonansie i postawiłeś ich na warcie przed schroniskiem.

- Chodzi ci o Harry'ego i Raya? Wiem, nie wyszło tak, jak planowałem. To przez tę pułapkę, którą Vickers zastawiła przy drzwiach. Ale wydawało mi się, że postępuję rozsądnie. Nie

wiedzieliśmy, czy ktoś z Gildii w Kadencji nie jest zaangażowany w prace wykopaliskowe, więc ze względu na ryzyko nie chciałem zwracać się do kogoś z miejscowych.

- Nie rozumiesz? Czemu mi nie powiedziałeś, że sprowadziłeś dwóch łowców spoza miasta? Wzruszył ramionami.

- Z tych samych powodów, dla których nie wspomniałem o tym detektyw Martinez. Ponieważ nie uzgodniłem tego z Mercerem Wyattem. Nie chciałem, by ktoś wiedział, że bez jego zgody sprowadziłem łowców. Polityka Gildii bywa czasami skomplikowana.

- Polityka Gildii! - Miała ochotę krzyknąć ze złości. -A więc o to chodziło, tak? Polityka Gildii była ważniejsza niż lojalność wobec partnera?

Zdenerwował się.

- Jesteś wkurzona tylko dlatego, że ci nie wspomniałem, że sprowadziłem pomoc spoza miasta?

- Jestem, wkurzona, bo wciąż się zastanawiam, o ilu jeszcze rzeczach nie raczyłeś mi wspomnieć, bo polityka Gildii jest najważniejsza!

- Lydio...

- Mieliśmy być partnerami, co? Partnerzy są sobie równi. Partnerzy się o wszystkim informują.

- Informowałem cię, do cholery.

- Okłamywałeś mnie od samego początku, London. Najpierw mnie namierzyłeś, bo myślałeś, że ukradłam twój durny sekretarzyk. Potem mnie wynająłeś, żebym pomogła ci go odnaleźć, ale nie raczyłeś wspomnieć o tym, że nie tylko jesteś łowcą duchów, ale i szefem Gildii.

- Byłem szefem Gildii.

- Raz w Gildii, na zawsze w Gildii. Nagle ogarnął go lodowaty gniew.

- Raz wśród splataczy, na zawsze wśród splataczy. Nie tylko ja nie wyłożyłem od razu wszystkich kart na stół.

- O czym ty mówisz?

- W całej tej sprawie kierowały tobą dwa cele. Chciałaś dopilnować, żeby zabójca Chestera Brady'ego został złapany, i udowodnić sobie i wszystkim wokół, że możesz wrócić do katakumb. Byłem ci do tego potrzebny. Wykorzystałaś mnie.

Dławiła się z wściekłości.

- To ty do mnie przyszedłeś, nie pamiętasz? Twierdziłeś, że chcesz mnie wynająć, ale przez cały czas myślałeś, że ukradłam tę twoją głupią rodzinną pamiątkę. A potem bezczelnie mnie uwiodłeś!

Zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, jego ręce zacisnęły się na jej ramionach. Podniósł ją z leżaka, jakby nic nie ważyła. Kątem oka dostrzegła drobne wyładowania energii. Iskierki. Futrzak dyskretnie stoczył się z jej ramienia i zniknął w mieszkaniu.

- To jakieś nieporozumienie - powiedział Emmett niebezpiecznie cicho. - Mógłbym przysiąc, że to ty mnie uwiodłaś.

- Jak śmiesz sugerować, że...

- ...że wykorzystałaś seks, żeby mną manipulować?

- Nieprawda, i dobrze o tym wiesz.

- Tak? To dlaczego mnie uwiodłaś?

- Nie uwiodłam cię!

- No to jak byś to nazwała?

- Uprawialiśmy seks, okej? To się czasami zdarza dwojgu ludziom, którzy... - urwała, bo nagle zabrakło jej tchu.

- Dwojgu ludzi, którzy czują do siebie pociąg? To próbowałaś powiedzieć?

Chwyliła się jedyne sposobu, by zachować twarz w sytuacji coraz bardziej niebezpiecznej.

- Tak. Tak. To był tylko seks.

- A nie umyślne uwiedzenie.

- Nie. - Zastanowiła się, czy istnieje jakaś różnica, ale uznała, że to nieodpowiedni moment, by to roztrząsać. - Stało się, i tyle.

Pochylił głowę. Jego usta niemal dotykały jej ust.

- Ale to był świetny seks, prawda? Zaszło jej w gardle.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Po co się kłócimy? Nie warto. Proponuję, żebyśmy wrócili do seksu.

- Typowy facet. Próbujesz wykorzystać pożądanie, żeby uniknąć rozmowy o związku. To znaczy o partnerstwie biznesowym.

- Mhm - wymruczał tylko, wpatrzony w jej usta. -Szczerze mówiąc, nie mam teraz ochoty na żadne rozmowy.

Powietrze przestało iskrzyć, ale wciąż czuła w nim energię. Bała się, że emanuje od niej.

Przełknęła ślinę.

- Emmett?

Był tak blisko, że czuła jego pożądanie. Próbowała to zlekceważyć. - Seks nie wystarczy.

- Może nie całkiem mi ufasz, ale byliśmy cholernie dobrym zespołem tam w katakumbach. A to coś znaczy.

Pocałował ją, zanim zdążyła odpowiedzieć. Przez chwilę się wahała, na próżno szukając kontrargumentów. Ale było już za późno. O wiele za późno.

- Masz rację... - wyszeptała w jego usta. - To coś znaczy.

Chwycił ją i zaniósł do mieszkania. Zamknęła oczy i otworzyła je dopiero wtedy, gdy położył ją na łóżku.

Błyskawicznie rozpiął koszulę, odrzucił ją na bok i dobrał się do klamry przy pasku. Patrzyła, jak się rozbiera, i uświadomiła sobie, że gdzieś głęboko w niej wzbiera fala pragnienia.

Był duży i lśniący - wyrażał wielkie podniecenie. Żądza w oczach Emmetta płonęła gorętszym ogniem niż stopiony bursztyn. Kiedy osunął się na łóżko i wziął ją w ramiona, czuła, że wpada w pułapkę iluzji prawdopodobnie najniebezpieczniejszą w jej życiu.

Ale to nie był koszmar z innego świata, lecz niejasny sen. Podjęła decyzję. Będzie się nim upajać i upajać, jak najdłużej.

A potem jego dłonie zaczęły pieścić całe jej ciało. Nie myślała o niczym, skupiła się wyłącznie na nim. Zawirowała w niej energia zmysłów. Poczwała, że staje się gorąca i wilgotna. Przywarła głową do jego piersi i pocałowała go, wdychając jego zapach.

A potem przygniół ją swym ciężarem do łóżka. Przyciągnął jej kolana do swoich ud i znalazł się między jej nogami.

Zapadał się w nią powoli - niech współgra z nim, ale nie ucieknie. Tak jakbym chciała uciec, pomyślała. Jeszcze nigdy w życiu nie pragnęła nikogo tak bardzo, jak teraz Emmetta.

Wbiła paznokcie w mięśnie jego pleców i mocniej ścisnęła go kolanami. Zacharczał i pchnął głębiej, całkowicie ją wypełniając.

Znów ją pocałował, namiętnie, z desperacją. Rozumiała to dziwne połączenie, bo i ją rozpalało. Musiała go mieć, chciała, tylko dzięki niemu, się spełnić. Chwyciła go kurczowo i przyciągnęła.

Poruszał się powoli, jakby z namysłem, zagłębiał się w nią i cofał. A ona, podniecona do granic wytrzymałości, uzmysłowiła sobie, że Emmett zaraz przestanie nad sobą panować. Jego plecy pokrył pot.

- Tak - wyszeptała, ściskając go mocno. - Tak, teraz. - Uniosła się ku niemu.

- Lydio.

Znów się w niej zagłębiał. Poczwała, jak eksploduje w niej orgazm, a potężne dreszcze targają ciałem Emmetta. Otworzyła usta w cichym krzyku, a potem, wirując, odpłynęła w ciemność rozświetloną roziskrzonym onirytem.

Minęło wiele czasu, nim otworzył oczy i spojrzał w sufit. Lydia leżała wtulona w niego. Och, jak dobrze. Jest taka ciepła, rozluźniona. Nie odezwała się, ale wiedział, że nieśpi.

- Instynkt cię nie zawiódł - zamruczał. - Nie powiedziałem ci wszystkiego.
- Nie żartuj. - W jej głosie nie było już gniewu, tylko cierpka rezygnacja.
- Miałem swoje powody. Gildie się zmieniają, ale długo potrwa, nim stare nawyki zostaną wykorzenione.
- Wiem. - Westchnęła i leniwie się przeciągnęła. - Nie mogę cię winić za to, że nie zdradzasz tajemnic. Musiałeś chronić Quinna i miałeś rację, twierdząc, że z całą tą sprawą wiąże własne plany. Wykorzystaliśmy się nawzajem.
- Działaliśmy razem - syknął. - Może nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego, ale to nie znaczy, że nie współpracowaliśmy.
- Nie kłóćmy się już o to. Nie sądzę, żeby któreś z nas wygrało. Poza tym, to koniec.
- Niezupełnie.

Lydia zamarła. Po chwili uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Zawahał się. Bądź co bądź, to była sprawa Gildii. I to bardzo poważna. Czuł jednak, że co do Lydii podjął decyzję. Miała prawo się dowiedzieć, jak się to wszystko skończy.

- Został jeszcze jeden brakujący fragment tej układanki - oznajmił.

Rozdział 29

J. o sprawa Gildii. - Tamara Wyatt odwróciła się od okna. Gdy poruszyła głowę, w bursztynowych kolczykach w jej uszach odbiło się poranne słońce. Zapłonęły ciemnym złotem. - Cokolwiek masz nam do powiedzenia, Emmett, to nie powinno wyjść poza Gildię. Nie należy mieszać w to pani Smith.

Jadąc do rezydencji Mercera Wyatta na wzgórzach, Lydia obiecywała sobie, że nie będzie się odzywać i zda się na Emmetta. To była w końcu jego gra. Jednak Tamara potraktowała ją jak powietrze, a to było już za wiele. Nie wytrzymała.

- Nie zgadzam się z panią, pani Wyatt - odezwała się ostro. - Zamordowani zostali mój przyjaciel i Bartholomew Greeley, człowiek, z którym współpracowałam. Młodego chłopca

sterroryzował łowca duchów. A jakby tego było mało, moje mieszkanie zostało zdemolowane.

Tamara spojrzała na nią.

- Gildia w Kadencji nie jest za to odpowiedzialna.
- Mylisz się, Tamaro. Gildia w Kadencji była w to zamieszana - zainterweniował Emmett.
- Możesz to udowodnić? - zapytał zimno Mercer Wyatt.

Emmett pokazał teczkę, którą przyniósł ze sobą.

- Może i nie mam dowodów, które uznałby sąd, ale ciebie powinny przekonać. A w sprawach Gildii tyle wystarczy, prawda?
- Tak - odparł spokojnie Mercer. - Jeśli mnie przekonasz, to wystarczy.

Tamara spojrzała na Emmetta.

- Jeśli rzeczywiście masz dowody, że ktoś z Gildii w Kadencji brał udział w tym, co działo się w schronisku, powinieneś porozmawiać o tym z Mercerem na osobności. On się tym zajmie. Nadal uważam, że to nie jest sprawa pani Smith.
- Niesłusznie - odezwała się Lydia. - Bo tak się składa, że pani Smith tutaj jest i nigdzie się stąd nie ruszy, dopóki się to nie wyjaśni.

Nim Tamara zdążyła odpowiedzieć, rozległo się ciche, dyskretne pukanie do drzwi.

- Proszę wejść! - zawołał Mercer.

Drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł poważnie wyglądający mężczyzna.

- Pani Smith - Mercer zwrócił się do Lydii - proszę pozwolić, że pani przedstawię Denvera Galbraitha--Thorndyke'a. Denver jest administratorem Fundacji Gildii. Denver, to Lydia Smith.

Denver uprzejmie skinął głową.

- Dostałem wiadomość, że chce się pan ze mną widzieć, sir - powiedział do Mercera.
- Emmett London ma parę pytań dotyczących grantów przyznawanych przez naszą Fundację
- Mercer spojrzał na Emmetta.

Denver również. Poprawił okulary i uśmiechnął się lekko.

- Tak, panie London?

Emmett nie ruszył się ze swego miejsca przy regale.

- Mówił mi pan, że nim zaczął pan finansować program w schronisku Poprzeczna Fala, bardzo dokładnie sprawdził pan Helen Vickers.
- Zgadza się - odparł Denver. - O co chodzi? Jakiś problem?

- Owszem. - Emmett rzucił teczkę z aktami na stół. -Problem. Kazałem moim ludziom w Rezonansie ją sprawdzić. Odkryli kilka interesujących faktów. Dziesięć lat temu Helen Vickers była zamieszana w poważny wypadek przy wykopaliskach. Nie postawiono żadnych zarzutów, ale dwóch ludzi zmarło i zaginął cenny artefakt. Członkowie zespołu wykopaliskowego obwiniali o to Vickers.

- Dobry Boże! - Denver wpatrywał się w niego. - Nie dotarłem do takich informacji o panie Vickers.

- A powinien pan - odparł Emmett. - Moim ludziom udało się to w ciągu dwudziestu czterech godzin. Używała wtedy innego nazwiska.

- Nie rozumiem.

- To nie wszystko - ciągnął Emmett. - Dwa lata temu założyciel schroniska Poprzeczna Fala, Anderson Ames, zginął w tajemniczym pożarze. Helen Vickers była jego jedyną spadkobierczynią.

Denver zeszywniał.

- Sugeruje pan, że nie dość szczegółowo sprawdziłem pannę Vickers, zanim dokonałem autoryzacji finansowania schroniska?

- Nie, myślę, że bardzo dobrze ją pan sprawdził - odparł lodowato Emmett.

Lydię przeszył dreszcz. To był ten zagadkowy Emmett London, który kiedyś trzymał w ryzach Gildię w Rezonansie i sam jeden ją zmienił. Ryan powiedział jej, że Emmett London narobił sobie wtedy mnóstwo wrogów. Mogła w to uwierzyć.

- Odkrył pan to, co moi ludzie, i jeszcze więcej. Miał pan mnóstwo czasu, by głęboko drążyć. I drążył pan, zgadza się? - spytał Emmett.

- Nie wiem, co chce pan dać do zrozumienia, ale z całą pewnością nie zamierzam wysłuchiwać tych niedorzecznych oskarżeń - wypalił Denver.

- Owszem - uciął Mercer. - Zamierzasz. Tamara spojrzała na niego.

- Nie rozumiem. O co tu chodzi?

- Wszystko we właściwym czasie, moja droga - powiedział Mercer. - Wszystko we właściwym czasie.

Emmett przyglądał się Denverowi.

- Doskonale zdawał pan sobie sprawę, że Vickers nie była bezinteresowną altruistką. Więc przeprowadził pan bardzo dokładne śledztwo, prawda?

Denver zacisnął dłonie w pięści. Wyraźnie drżał.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Dowiedział się pan, że ona i niejaki Bob Matthews byli kiedyś kochankami. Odkrył pan ich projekt wydobywania oniryty i przejście w Murach. Przypuszczam, że działając anonimowo, szantażował ich pan, więc odpalali panu udział. W zamian obiecywał pan dalsze finansowanie schroniska i odwrócenie od nich uwagi Gildii.

- To skandal - warknął. - Jak pan śmie coś takiego insynuować?!

- Prowadził pan całą operację, naturalnie anonimowo. Jestem pewien, że Vickers i Matthews już opowiadają swoim prawnikom o jakimś tajemniczym szantażyście, ale nikt ich nie potraktuje poważnie. W końcu nie znaleziono przecież żadnych dowodów. Zadbał pan o to, by mieć czyste ręce.

- Oszałał pan - wyszeptał Denver. Tamara zmarszczyła brwi.

- Denver, czy to prawda?

- Nie, nie. Oczywiście, że nie, pani Wyatt. - Odwrócił się do Mercera. - Chyba nie wierzy pan w takie brednie, sir?

- Nie chciałem w nie wierzyć - odparł smutno Mercer. - Ale dziś rano, gdy Emmett powiedział mi przez telefon o swoich podejrzeniach, że był pan zamieszany w nielegalne wykopaliska w schronisku, kazałem przeszukać pański dom.

Denver zbladł.

- Wysłał pan swoich ludzi do mojego domu? Przecież to sprzeczne z prawem! Nie wolno panu tego robić!

- Znaleźliśmy rodzinną pamiątkę Londona - ciągnął Mercer. - Sekretarzyk osobliwości, o ile dobrze pamiętam. Był ukryty w szafce w piwnicy. Po śmierci Chestera Brady'ego ukradł go pan z jego sklepu. A później udawał pan nowego właściciela, żeby wystawić Greeleya.

Tamara dotknęła ramienia Mercera.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, moja droga. Absolutnie pewien.

W tej chwili Denver się załamał. Skulił się, jakby z trudem stał na nogach. W gabinecie zapadło milczenie.

- Jak śmiałeś? - Szlachetne rysy Tamary wykrzywiła złość i odraza. - Wszystko zniszczyłeś. Wszystko! Przez rok pracowałam nad Fundacją Gildii. Od tego zaczęłam zmieniać wizerunek Gildii w Kadencji. A teraz coś takiego! Jeśli się rozniesie, że Gildia była zamieszana w nielegalne wykopaliska w schronisku, będziemy musieli zaczynać od zera. Media sobie na nas użyją.

- Nie martw się, moja droga - uspokajał ją Mercer. - Nikt się o tym nie dowie. To sprawa Gildii. Załatwimy to tak, jak zwykle.

Lydia prychnęła cicho.

- No jasne.

Tamara spiorunowała ją wzrokiem.

- A co z nią? Ona nie należy do Gildii. Kto ją uciszy? Zapadło krótkie, nieprzyjemne milczenie. Wszyscy

popatrzyli na Emmetta.

Wzruszył ramionami. Nic nie powiedział. Lydia uśmiechnęła się chłodno do Tamary.

- Chce pani zmienić wizerunek Gildii? To proszę przestać samej wymierzać sprawiedliwość członkom. Niech pani przekaze Denvera policji. Weźmie na siebie ataki prasy.

- Wykluczone - najeżyła się Tamara. - Nie możemy ryzykować złego wizerunku w mediach. I tak już przedstawiają Gildię w Kadencji jako coś niewiele lepszego od potężnej mafii, a oddanie Denvera w ręce policji jeszcze pogorszyłoby sytuację.

Denver zdjął okulary i zaczął je czyścić chusteczką.

- Nic mi nie zrobicie. Wiecie o tym. Moja rodzina już o to zadba. Nie obchodzi mnie, jak silna jest Gildia. Chronią mnie Galbraithowie-Thorndyke'owie.

Mercer patrzył badawczo na Emmetta, który stał przy oknie z rękoma w kieszeniach.

- Co ty na to, Emmett?

- Wydadź Denvera policji. Jego rodzinę stać na dobrych adwokatów. Pewnie nawet nie trafi do więzienia. Mamy bardzo niewiele mocnych dowodów.

- To po co w ogóle cała afera? - zaprotestowała Tamara. - Po co upokorzenie?

- Koniec końców - odparł Emmett - informacją dnia okaże się nie to, że Denver był zamieszany w nielegalne wydobycie oniryty, lecz fakt, że Gildia z Kadencji zwróciła się do wymiaru sprawiedliwości. Lydia ma rację. To ogromny krok w stronę zmiany mafijnego wizerunku.

- Posłuchaj - Tamara zwróciła się do Mercera. - Nie możemy ryzykować, że zniszczymy wszystko, nad czym pracowaliśmy cały rok.

Mercer, zamyślony, długo przyglądał się Lydii. Miała wrażenie, że ją prześwietla i ocenia. Znów przeszył ją dreszcz. Czasem widywała taką zimną inteligencję w spojrzeniu Emmetta. Może władza zawsze się tak przejawia?

Mercer uśmiechnął się łagodnie do Tamary.

- Oni mają rację, moja droga. Jeśli naprawdę chcemy zmienić wizerunek Gildii w Kadencji, od tego musimy zacząć. Sam zadzwonię na policję.

Rozdział 30

Kolejk a przed Domem Pradawnej Grozy Shrimptona była trzy razy dłuższa niż w dniu, gdy rozeszła się wiadomość o znalezieniu ciała Chestera w jednym z sarkofagów. Liczba czekających na otwarcie pierwszej publicznej wystawy obrobionego onirytu rosła z minuty na minutę. Lydia jeszcze nigdy nie widziała swojego szefa w tak wspaniałym nastroju.

- Dostałam podwyżkę - zwierzyła się przyjaciółce.
- Zasłużyłaś na nią. - Melanie uśmiechnęła się szeroko. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że wycięłaś taki numer. Jak, u diabła, udało ci się przekonać władze uniwersytetu, by zgodziły się na wystawę w takim miejscu?

Lydia spoglądała na tłum przy eksponatach.

- Po prostu pociągnęłam za parę sznurków. Emmett wyszedł zza krypty wystawowej, gdzie oglądał niewielką wazę z onirytu.
- Chciała przez to powiedzieć, że przekonała Mercera Wyatta, by przypomniął uniwersytetowi, że jest mu winien kilka przysług.

Melanie się skrzywiła.

- Nie zapytam, jakie to przysługi.
- Ja też nie pytałam - zawtórowała jej wesoło Lydia.
- Cóż, jedno nie ulega wątpliwości. Shrimp nie zapomni tego dnia do końca życia - stwierdziła Melanie. - Po prostu rozpiera go duma. Nie zdziwiłabym się, gdyby zostawił ci w spadku całe to cholerne muzeum.

Lydia uniosła dłoń.

- Proszę, nawet tego nie sugeruj. Melanie się roześmiała.
- Tylko żartowałam. Już niedługo będziesz tak zajęta swoją firmą konsultingową, że rzucisz pracę tutaj.
- Zobaczymy - powiedziała Lydia. - Klientów nie pozyskuje się od razu.

- Zwłaszcza jeśli jest się zbyt wybrednym - mruknął Emmett.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Przepraszam. Lepiej pomogę Philowi przy głównym wejściu. Na pewno jest już wykończony sprzedawaniem tych biletów - oświadczyła dyplomatycznie Melanie.

Pomachała im ręką i dała nura w tłum.

Przez jakiś czas Emmett stał w milczeniu obok Ly-dii. Razem obserwowali kolejkę ludzi przesuwającą się wzdłuż eksponatów.

- Melanie miała rację - odezwał się w końcu. - Pewnie bez problemów zdobędziesz klientów.

- Zobaczymy - powtórzyła Lydia.

- A nie przydałby ci się partner przy następnej sprawie? - rzucił lekko.

- Wątpię. Jak to widzisz?

- Może będziesz potrzebować usług dobrego łowcy duchów.

- Bo ja wiem.

- Cóż, w takim razie umów się ze mną na randkę dziś wieczorem? Co ty na to?

- Już myślałam, że nigdy nie zapytasz.